



EMIL RICHEBOURG



**SKRZYPEK
PARYSKICH ULIC**

Tytuł oryginału: Na Golgotę

Wszyscy się z tym zgadzają, że Paryż to wielka stolica cywilizowanego świata. Twierdzenie to nie jest błędne. Paryż stanowi o modzie; zarazem nadaje on ton wszystkim miastom stołecznym Europy. We Francji nie znajdzie się miasteczka, które by się nie starało wstępować w ślady Paryża; wszędzie naśladowują sposób mówienia prawdziwych paryżan, przyswajając sobie ich ruchy i maniery. Moda zaledwie stworzona w stolicy, rozpowszechnia się po całym kraju.

W miastach na prowincji ludność dzieli się na trzy klasy, tworzące każda z osobna szerokie, zamknięte w sobie koła. Mamy więc: arystokrację, mieszczaństwo i lud. Pod tym względem prowincja jest wiernym odbiciem Paryża.

Czyż wielkie miasto nie ma swej arystokracji na przedmieściu Saint-Germain, mieszczan w wielkich dzielnicach i olbrzymiej liczby ludności, składającej się z drobnych przemysłowców i robotników?

Jak powiedzieliśmy przed chwilą, każde miasto na prowincji ma swą arystokrację, zajmującą najczęściej jedną dzielnicę, lub tylko jedną ulicę; ze szlachtą łączy się duchowieństwo, popierające jej dążenia i przekonania; dalej znajdujemy stare mieszczaństwo, którego się trzymają parweniusze i dorobkiewiczze, w ogóle ludzie bogaci. Lud, który podporę znajduje sam w sobie, patrzy ze wzgardą na dumę jednych, a pychę drugich. Pełen ufności we własną siłę, potęgę, przyszłość, trzyma się na uboczu. Jeżeli cierpi, to ma nadzieję i czeka...

Tak w Paryżu, jak i w innych miastach, zima jest piękną porą ludzi bogatych, lubiących się bawić. Salony otwierają się na przyjęcia i bankiety. Od pierwszych dni grudnia do końca kwietnia bale i koncerty następują po sobie bez przerwy.

Tuluza to miasto arystokratyczne. Pomimo oddalenia od Paryża i osobnych właściwości należy ona do miast usiłujących postępować śladem wielkiej stolicy. Tuluza, jako główne miasto jednej z najbogatszych prowincji, jest podobnie jak Lion, Bordeaux lub Marsylia, małą stolicą.

Pewnego wieczoru w marcu 1870, pani baronowa de Cernac przyjmowała w swych przepysznie oświetlonych salonach śmietankę towarzystwa Tuluzy.

Program wieczoru należał do najbardziej pociągających, miał bowiem być koncert, a po nim bal do jutra rana.

Wiedzano dobrze, że najpierwsi śpiewacy głównego teatru dadzą się słyszeć, a dwoje spomiędzy nich, diva Baptisti i sławny baryton Niclaux,

odśpiewają po raz pierwszy dwie nowe romanse Fryderyka Boissiera, utalentowanego młodego kompozytora, którego zapiał współziomków wywyższał pod niebiosa. Nazywano go już mistrzem, kładąc na równi z Auberem, a nawet z Meyerbeerem. Fryderyk Boissier był przedmiotem prawdziwego uwielbienia: piękne damy szalały za młodym i przystojnym kompozytorem. Trzeba dodać, że był on protegowanym baronowej de Cernac i że jej zawdzięczał swe powodzenie, trochę za prędko i za wcześnie zdobyte.

Przed piętnastu dniami, za radą pani de Cernac, Fryderyk Boissier dał koncert we wspaniałej sali Meissonier, aby publiczność miała sposobność ocenić jego utwory. Był to pierwszy występ artysty. Powodzenie było szalonym, prawdziwym triumfem. Młody muzyk, oszołomiony, rozplakał się z radości. Przypiąwszy sobie skrzydła w marzeniach, widział przed sobą świetną przyszłość. Od tego czasu mógł wierzyć, że przeznaczenie powoła go do wielkich celów.

Dzięki pani de Cernac, która w tym celu rozwinęła całą swą energię, wszystkie bilety sprzedano w jednym dniu. Dochód z koncertu wynosił trzy tysiące franków.

Młoda jeszcze wdowa, bardzo bogata, wykształcona, miłośniczka rzeczy prawdziwie pięknych, sama trochę artystka, baronowa de Cernac lubowała się w sztuce, zachęcając i protegując artystów.

Dewotki z wielkiego świata ganiły w niej to, co nazywały brakiem godności. Jedne mówiły:

— Pani de Cernac to osoba zanadto ekscentryczna, posiadająca gust i maniery małej mieszczki.

Inne, ażeby wszystkich zadowolić, dodawały:

— Cóż chcecie? Toż to kobieta szalona!

Baronowa śmiała się z plotek i przezwisk, nie zwracając na nie głębszej uwagi.

Nie zmieniała w niczym trybu życia, zadawałając swoje pragnienia artystyczne. Zresztą te, które najbardziej gorszyły się jej niezawisłością, nie odmawiały nigdy zaprosinom, uszczęśliwiając gości baronowej swą obecnością.

O godzinie dziesiątej z wyjątkiem kilku osób, spóźniających się z reguły, stawili się wszyscy zaproszeni goście. Przeszło sto pięćdziesiąt osóbapełniało wspaniałe salony. Wszyscy byli zadowoleni i szczęśliwi. Oczywiście błyszcząły radością, na ustach widniał swobodny uśmiech.

Stary hrabia de Montmorin oświadczył, że po raz pierwszy w Tuluzie ma szczęście oglądać tak świetne zgromadzenie pięknych kobiet.

— Dwór, którego pani jesteś królową — dodał, skłoniwszy głowę przed baronową.

Wśród uroczych panien i mężatek nowy Parys znalazłby się w niemałym kłopotcie, chcąc przyznać jednej z nich jabłko piękności. Wszystkie były równie czarujące, miłe i dystygowane.

Pani Surmain, śliczna kobieta lat dwudziestu dwu i panna Emelina de Révilly, nie mniej piękna, niż jej przyjaciółka, Helena Surmain, odznaczały się między innymi wdziękiem nie do opisanego, wdziękiem czysto kobiecym.

Zachwyty ogarniał każdego, kto rzucił okiem po sali, gdzie panie zajęły miejsca przed koncertem. Ze strony mężczyzn podnosił się szmer podziwu.

Pod oślepiającym blaskiem kinkietów, brylanty i inne drogie kamienie migotały jak gwiazdy. Promienie krzyżowały we wszystkich kierunkach swe różnobarwne ognie.

Na widok tych wspaniałych toalet, tych prześlicznych główek, otoczonych kwiatami lub diademem, tych ramion, jak utoczonych, można było uwierzyć, że przeniesiono nas do Paryża, do jednego ze sławnych salonów.

Fryderyk Boissier był królem wieczoru, wszystkie ręce wyciągały się ku niemu. Rozmawiano wiele o jego koncercie i o powodzeniu młodego artysty. Mężczyźni mu wieszowali, kobiety miały dlań najmiłsze uśmiechy.

- Teraz — mówiono mu — już się pan rozpędził, dla pana przyszłość zachowuje same obietnice, znalazłeś się pan na drodze sławy i szczęścia. Wkrótce wydawcy paryscy dobijając się będą o pańskie czarujące utwory, każda pańska praca pójdzie na wagę złota. A kiedy wyda pan tę cudowną symfonię „Pory roku“?

— Trzeba żebyśmy najpierw udał się do Paryża.

— Spiesz się pan. W samej Tuluzie sprzedasz pan ze dwa tysiące egzemplarzy. Może nam pan da drugi koncert? Trzeba kuć żelazo póki gorące. Powodzenie zobowiązuje, kochany panie.

— Trochę później, przy końcu jesieni.

— Czekamy, czekamy; pańscy przyjaciele wiedzą, czego się po panu można spodziewać, toteż znajdziesz się pan wobec surowych sędziów.

— Zrobię wszystko, co będę mógł, ażeby zasługiwać dalej na ich życzliwość!

— A pańska opera komiczna?

- Skończyłem właśnie pierwszy akt.
- Sądzę, że usłyszymy w najbliższym czasie główne arie?
- Postaram się o to.

W ten sposób schlebiano miłości własnej młodego muzyka, nie zważając na to, jak złą oddawano mu przysługę.

Serce jego napępniało się pychą. Przesadzone pochwały współziomków podniecały jego próżność, wszczepiając w duszę zabójczy jad. Nie widząc przed sobą przeszkód do zwalczania, nie przeczuwał ich nawet. Nie spoglądał na dół; myślą sięgał do najwyższych szczytów.

Oszołomiony, upojony zbyt łatwo zdobytym zwycięstwem, błędził wyobraźnią wśród sławy i szczęścia. W istocie był to człowiek bardzo inteligentny, lecz brakło mu doświadczenia. Nie znając życia, nie obawiał się trudności i kłopotów.

Po koncercie, który trwał do północy, podczas gdy orkiestra balowa zajmowała miejsca na estradzie, pozwolono panom wejść do głównego salonu, aby powitać panie. Utworzono liczne grupy.

Pani de Revilly zagarnęła pod swoją władzę Fryderyka Boissiera, zmusiwszy go do towarzyszenia sobie.

Młody człowiek był wzruszony. Dlaczego? Pani de Revilly wiedziała o tym. Zresztą postawa i spojrzenia Fryderyka zdradzały, co się dzieje w jego duszy. Nie będąc bystrym obserwatorem, można było łatwo poznać, że młody muzyk nie pozostał nieczuły na wdzięki pięknej Emeliny.

— Panie Fryderyku — rzekła mu pani de Revilly — zasłużyłeś na dobre kazanie.

— Przyjmuję je z pokorą, jeśli zasłużyłem — odparł.

— Zasłużyłeś pan, to pewne; już od ośmiu dni nie złożyłeś nam pan wizyty.

Młody człowiek poczerwieniał jak panienska.

— Proszę wybaczyć... byłem bardzo zajęty — wykrztusił.

— To zwyczajna wymówka — odpowiedziała pani de Revilly z przebiegłym uśmiechem. — Ja ją jednak przyjmuję, ale pod warunkiem...

— Jakim?

— Że pańskie odwiedziny będą na przyszłość mniej rzadkie.

— Przrzekam pani nie zasłużyć nigdy na wymówki. Jutro będę miał zaszczyt złożyć pani uszanowanie w jej własnym mieszkaniu.

— I owszem, kochany panie. Pan wie, że ja i moja córka jesteśmy twymi najlepszymi przyjaciółkami. Ach, otóż i bal się zaczyna.

W istocie orkiestra zagrała wstęp do polki-mazurki.

— Panie Fryderyku — odezwała się pani de Revilly — czy nie zachce pan zacząć balu z Emeliną?

Nie miał czasu odpowiedzieć.

— Panie Boissier — rzekła pani Surmain, podnosząc się z fotela — nie zapomniałeś pan, żeś mi przyrzekł pierwszy taniec?

— Prawda — zauważył młody człowiek. Emelina przygryzła wargi.

— Panna de Revilly wyświadczy mi zaszczyt zatańczenia z nią pierwszego kadryla? — spytał, oddając ukłon młodej panie.

Odwróciła się gwałtownie, po czym podniósłszy się, podała ramię innemu młodemu człowiekowi, który ją zapraszał do polki. Pani Surmain pociągnęła swego tancerza.

Podczas tańca nie zamienili ani jednego słowa. Fryderyk był zaniepokojony. Dręczyła go myśl, że mimo woli naraził się pięknej Emelinie.

Muzyka przestała grać. Fryderyk podał ramię swej partnerce, aby ją odprowadzić na miejsce.

— Nie — przemówiła żywo — chodź pan tędy.

— Pani ma mi coś do powiedzenia?

— Tak.

Przeszedłszy przez salon, zatrzymali się we framudze okna. Tu mierzyli się przez chwilę wzrokiem w milczeniu.

Pani Surmain była blada i lekko drżała. Chwilę wahała się, po czym odezwała się szorstko:

— Kocha pan Emelinę? Fryderyk drgnął.

— Dlaczego zadaje mi pani to pytanie? — zapytał.

— Abyś pan na nie odpowiedział.

— Ale...

— No, przyznaj pan, kochasz ją?

— Odkryłaś pani moją tajemnicę. A więc tak, kocham ją. Twarz młodej kobiety stała się jeszcze bledsza, a piękne czarne brwi ściągnęły się na czole.

— Panie Fryderyku — rzekła dziwnym głosem — strzeż się pan! Ich spojrzenia skrzyżowały się ze sobą.

— Co pani chce powiedzieć? — spytał młody człowiek.

— Że pan błądzi.

— Nie rozumiem, proszę się wytłumaczyć.

— To przestroga, którą panu daję.

— Mam być wdzięczny? — zapytał ironicznie. Wzruszyła ramionami i odparła poważnie:

— Emelina jest moją przyjaciółką, znam ją; to, co panu przed chwilą powiedziałam, leży w interesie tak jej, jak i pańskim.

— Naprawdę? — szyderczy uśmiech zaigrał mu na ustach.

— Gdyby panu powiedziano, panie Fryderyku, że nie możesz być szczęśliwy z Emeliną, czy przestałbyś myśleć o małżeństwie z nią?

— Nigdy! — zawołał.

— Kocha ją pan bardzo?

— Ubóstwiam!

Ciemna błyskawica zamigotała w oczach pani Surmain.

— Jeżeli tak — odparła sucho — nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

I oddaliła się szybko.

Młody człowiek stał przez chwilę, wlepiwszy wzrok w podłogę salonu a podniósłszy czoło szepnął:

— Zazdrosna!

Nie mylił się wcale.

Tak jest, pani Surmain była zazdrosna.

Przed kilku miesiącami Fryderyk Boissier zajął się śliczną wdową. Ta, sądząc, że jest kochana, zaczęła trochę za wcześnie marzyć o szczęściu, czekającym ją w drugim małżeństwie. Na nieszczęście Fryderyk poznał Emelinę i zakochał się w niej szalenie.

Pani Surmain wkrótce spostrzegła, że Fryderyk wymykał się jej z rąk, i bez trudu odkryła, że zwycięską rywalką jest Emelina.

Jej piękność i młodość zostały wzgardzone. Co za poniżenie! Po grzecznościach i deklaracjach młodego artysty nastąpiły chłód i obojętność. Co za zniewaga! Fryderyk mimo woli zranił głęboko jej serce. Płakała z gniewu i żalu.

Kobieta nie przebacza nigdy mężczyźnie, jeżeli z jego przyczyny wylewa łzy.

Jeżeli pani Surmain kochała jeszcze Fryderyka, to była już gotowa nienawidzić go z całego serca.

Opuściwszy gwałtownie młodego człowieka, wymówiła głucho te słowa:

— Jeżeli zaślubi Emelinę, zemszczę się!

* * *

Fryderyk Boissier był dzieckiem Tuluzy.

Ojciec jego był organistą i najsłynniejszym w mieście profesorem muzyki. Narodziny syna organisty obchodzono jak radosne zdarzenie. Wszystkie dzwony dźwięczały przy chrzcinach małego Fryderyka.

Gdy ojciec umierał, Fryderyk miał lat dwadzieścia.

Młody człowiek przejął po ojcu całą wiedzę muzyczną; toteż mógł natychmiast objąć spadek po umarłym, składający się z krzesła organisty w kościele św. Klemensa i kilkunastu lekcji po pięć franków za godzinę.

Nie ubliżając wcale pamięci pana Boissier ojca, musimy przyznać, że uczeń przewyższał mistrza, pozwalając sobie na śmiałe eksperymenty w dziedzinie sztuki.

Fryderykowi nie wystarczało zostać wykonawcą pierwszej miary; bez niczyjej pomocy, ucząc się tylko rozumieć wielkich mistrzów, poznał zasady harmonii i odkrył część tajemnic kompozycji muzycznej.

W krajach południowych dziecko przychodzi na świat z miłością muzyki i poezji.

Tuluza należy do miast Francji, gdzie uczucie to dochodzi do najwyższych szczytów. Można ją nazwać gniazdem słowików.

Jeżeli materializm nie zepsuł jeszcze smaku mieszkańców Tuluzy, jeżeli nie wzgardzili oni dotychczas rozkoszą umysłu, zawdzięczają to dobrodziejstwu wpływowi klimatu. Wśród kwiatów i zapachów, które one roztaczają dokoła, podziwiając laur nieba usianego gwiazdami, człowiek zostaje poetą; na widok słońca, uśmiechającego się do ziemi i darzącego ją złotymi promieniami, zaczyna się kochać śpiew i muzykę!

Mieszkańcy Tuluzy dają się unosić zapałowi i namiętności. Ich imaginacja jest gorąca, umysł bystry a sercem powoduje uczucie. Lecz jeżeli zdolni są do miłości, to potrafią jeszcze lepiej nienawidzić. Kierują się zawsze miłością i nienawiścią. Są wielcy w poświęceniu, lecz nie zapominają nigdy o zemście.

Fryderyk Boissier nie stanowił wyjątku. W jego żyłach płynęła gorąca krew, krew południa. Nie był gorszy ani lepszy od swych współrodaków; jak oni odznaczał się wielkimi przymiotami i nie mniejszymi wadami.

Przyroda obdarzyła go hojnie. Urodził się na artystę. Gdyby nie był muzykiem, zostałby poetą lub malarzem.

Nie miał jeszcze dwudziestu czterech lat, kiedy orkiestra, złożona z sześćdziesięciu muzykantów, wykonała w obecności licznie zebranej publiczności jego symfonię pod tytułem: „Pory roku”.

Ażebym zadać kłam przysłowiu utrzymującemu, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, młody kompozytor zyskał nie tylko uznanie, lecz uwielbienie współziomków. A kiedy stanął w środku orkiestry, chcąc ukłonem podziękować publiczności, zniknął na chwilę pod deszczem kwiatów i bukietów, które padały z rąk nadobnych Tuluzanek.

Zapał był nie do opisania.

Nazajutrz towarzystwo miłośników muzyki ofiarowało mu złoty wieniec.

„Pory roku” nie były pierwszym utworem artysty. Jeszcze przedtem wydał kilka romanc, które śpiewano przeważnie w arystokratycznych salonach miasta.

Oczy wszystkich były zwrócone na młodego muzyka. Salony stały otworem. Wszędzie był upragnionym gościem, którego witano z radością.

Nie będąc uderzająco pięknym miał postać miłą i sympatyczną. Nie brakowało mu także dystynkcji. Dostatecznie wykształcony, rozmawiał z łatwością i dowcipnie. Lecz co w nim każdemu się podobało, to entuzjazm i młodzieńczy zapał.

Szczyście malowało się na jego świeżym obliczu. To pociągało wszystkich i ściskano z przyjemnością jego dłoń, zawsze otwartą, tak jak serce.

Po roku dał pierwszy koncert, który mu zyskał sławę wielkiego kompozytora. W marzeniach swych widział się już wśród olśnienia i upojenia sławą.

Kiedy kawaler ukaże się w salonie i z tej lub owej przyczyny ściągnie na siebie powszechną uwagę, znajdzie się zaraz jedna lub więcej pań, mających córki, siostrzenice itd. na wydaniu. Biedny młodzieniec znajduje się w bezustannym oblężeniu. Przede wszystkim wdowy mają manię kojarzenia małżeństw.

Fryderyk Boissier stał się celem ataków owych dam.

Wszystkim natarciom, tym bardziej niebezpiecznym, że ukrywały się pod pozorem żywego zainteresowania, młody człowiek przeciwstawiał swą młodość.

Odpowiadano:

— Młodość, panie Boissier, to najlepsza rękojmia szczęścia w małżeństwie.

Wymawiał się brakiem majątku i skromną pozycją artysty.

— O, pod tym względem wiemy czego się trzymać; zarabia pan sześć tysięcy franków rocznie. A następnie ma pan przyszłość, swój talent, swoje nadzieje. Zresztą pańska żona wniesie posag.

Fryderyk uśmiechał się zrazu. Lecz wkrótce musiał ustąpić.

Mógł wprawdzie łatwo uniknąć tych małych nieprzyjemności i uwolnić się od troskliwych pań, oświadczając, że serce jego zabrał ktoś inny. Lecz nie znając jeszcze uczuć Emeliny względem siebie, nie wiedząc czy państwo de Revilly zgodziliby się oddać mu rękę swej córki, postanowił milczeć do czasu.

A jednak tajemnicę, którą ukrywał tak dobrze, odkryły już trzy osoby.

Po pierwsze pani de Revilly, która pałała chęcią wydania córki za mąż, następnie Helena Surmain, a wreszcie Emelina.

Ta ostatnia już nieraz płonęła pod gorącymi spojrzeniami młodzieńca. Cudownym instynktem, który Bóg udzielił kobiecie, odgadła, że jest kochaną. Był to raczej tryumf jej miłości własnej, a nie radość dla serca.

Panna de Revilly była wysoka i prawdziwie urocza. Rzeźbiarz wzięłyby ją z pewnością na model, aby wykonać arcydzieło. W tańcu nie można było dość się napatrzeć jej smukłej i gibkiej postaci. Przepyszne czarne sploty włosów, długie i gęste, otaczały inteligentne czoło. Miała oczy marzące i słodkie spojrzenie. Gdy uśmiech zaigrał na koralowych wargach, odsłaniały się śliczne zęby. Jej ramiona były białe, a dłonie drobne i zręczne. Różowe lica domagały się pocałunku; wysmukła szyja, uszy prześlicznego rysunku, wszystko było doskonałe.

Nie można było patrzeć na nią bez zachwyty.

Wszystko w niej pociągało. Głos czarował, uśmiech upajał, a spojrzenie pozbawiało siły.

Na nieszczęście panna Emelina była kokietką; wiedziała, że jest piękna, dawała trochę za często poznać to po sobie, co osłabiało wrażenie, jakie sprawiała na pierwszy rzut oka. Nadto zachowywała się zawsze wyniośle, czego nie można było uznać za zaletę dobrze wychowanej panienki.

Jak większa część kobiet lubiła stroje, eleganckie toalety, czemu dawała dowód, ubierając się zawsze z wyszukaną starannością.

W każdym razie jej zalotność nie miała w sobie nic rażącego. Emelina nie umiała się nią jeszcze posługiwać jako zabójczą bronią.

Pani de Revilly przyjmowała bardzo wiele osób. Jej salon był w modzie; bawiono się u niej wyśmienicie, a cała złota młodzież wyznaczała sobie tu spotkania. Łatwe było do odgadnięcia, że pani de Revilly szukała dla córki męża.

Ze dwunastu miłych młodzieńców kręciło się koło Emeliny, szepcząc jej do ucha czułe słówka. Wszyscy wyglądali na zakochanych, lecz o dziwo, oświadczyzny zostawały zawsze w dalekiej perspektywie.

To mieszało wszystkie plany, wszystkie obliczenia pani de Revilly. Mówiąc prawdę, cierpiała bardzo, widząc przy sobie bez ustanku piękną dwudziestoletnią córkę, która wyjawiała każdemu, że mama przekroczyła czterdziestkę.

Sytuacja to arcyniemiła, jeżeli się ma pretensje, a nie można ukryć swego wieku. Pani de Revilly była bardzo długo gwiazdą w salonach Tuluzy. Teraz, strącona olśniewającą pięknnością córki, gwiazda spadała coraz niżej.

Oto na co pani de Revilly nie chciała się zgodzić. Stąd gorące pragnienie wydania córki za mąż.

Poznawszy, co się dzieje w sercu Fryderyka Boissier, zapragnęła go dla swojej córki.

„Nie posiada tyle, co inni — rozważała w duchu — ale ma młodość i talent. Będzie pracował i dojdzie do majątku z pewnością.”

Nie kłopotowała się dłużej o męża dla Emeliny.

* * *

Pewnego wieczoru, w trzy tygodnie po uroczystości w pałacu baronowej de Cernac, Fryderyk przed udaniem się na spoczynek, ucałował według zwyczaju serdecznie matkę i rzekł:

— Kochana mamó, jutro rano pomówimy o ważnej sprawie.

— Ach! — zawołała.

— Tak, tak, będziemy rozmawiać bardzo poważnie — dodał uśmiechając się lekko.

— Jeszcze nie tak późno — zauważyła matka, pieszcząc go spojrzeniem — dlaczego od razu nie chcesz mi powiedzieć tego, o czym jutro będziemy rozmawiali?

— Nie, nie — odparł żywo — jutro rano.

— Fryderyku, niepokoisz mnie bardzo.

— Przeciwnie, ciesz się, kochana mamó.

— A więc jakaś nowa radość spada na ciebie?

— Tak jest.

— I szczęście dla mnie?

— Tak, mamó, szczęście dla ciebie.

— W istocie, widzę wesołość w twym spojrzeniu. Chodź tu do mnie i pocałuj mnie jeszcze raz, Fryderyku, moje kochane dziecko.

Pani Boissier ułożyła się do snu zadowolona i usnęła z myślą o jutrze.

Nazajutrz rano wdowa obudziła się wcześniej. Już ubrała się i uczesała, gdy wszedł Fryderyk.

— Dobrze spałaś, kochana mamó? — zapytał.

— Tak, synku. Ty również, nieprawdaż? Mając lat dwadzieścia pięć, z twoim zdrowiem, śpi się zawsze dobrze. Usiądź tam, na fotelu, naprzeciw mnie, abym cię mogła dobrze widzieć. Tak, dobrze, zdaje mi się, że trochę pobladłeś.

Młody człowiek uśmiechnął się pod wąsem.

— Śmiejesz się — odezwała się pani Boissier — brzydaku, wyśmiewasz się z matki!

— Och! Mama wie, jak ją szanuję, nie pozwoliłbym sobie...

— Dobrze, dobrze, jesteś poczciwym chłopcem. A teraz, zacznijmy. Mimo woli czuję się nieco wzruszona. Ciekawam bardzo... No, moje dziecko, co mi masz do powiedzenia?

Fryderyk milczał, spuściwszy oczy, po chwili podniósłszy głowę, rzekł krótko:

— Kochana matko, chcę się żenić. Pani Boissier poruszyła się gwałtownie.

Ażeby ukryć swe zdziwienie i swój przestach, otworzyła złotą tabakierkę i wyjąwszy szczyptę tabaki, podniosła ją do nosa. Ta tabakierka, prawdziwy klejnot, cyzelowany delikatnie ręką artysty, była podarkiem i pamiątką po nieboszczyku mężu.

Pani Boissier należała do najtkliwszych matek, tak jak była dla zmarłego najlepszą żoną. Miała tylko małą, malutką wadę: zażywała tabakę.

— A więc — przemówiła, ochłonawszy ze zdziwienia — pragniesz się żenić?

— Tak jest, mam, jeżeli ty zgadzasz się na to także.

— W moim sercu jest za wiele miłości dla ciebie, ażeby ci się mogła sprzeciwić. Moje drogie dziecko, moja wola stała się po trosze twoją. Nigdy nie miałam sposobności żalić się na ciebie, gdyż zasługiwałeś zupełnie na zaufanie. Po bolesnej stracie, którą odczuliśmy oboje, żyłam wyłącznie dla ciebie. Dziś jak zawsze żądam, życzę sobie i pragnę twego szczęścia.

— Wiem o tym, matko.

— Zanim pomyślałeś o małżeństwie, czyś dostatecznie się zastanowił?

— Tak.

— Więc twoje postanowienie jest nieodwołalne?

— Tak jest, mam. Westchnienie wyrwało się z jej piersi.

— Jednakże, Fryderyku — zaczęła wzruszonym głosem — skończyłeś dopiero dwadzieścia pięć lat...

— Czy mama nie uważa, że jestem rozsądny i poważny?

— Nie to mam na myśli. Chciałam powiedzieć, moje dziecko, że tracę już część twego serca. Spodziewałam się być dłużej twą jedyną miłością!

— Ależ matczko — odparł gorąco — wszak nic się nie zmieni w naszym życiu. W miejsce jednego, dwoje dzieci będzie cię kochać i otaczać troskliwością.

Potrząsnęła smutnie głową.

— Już nie będzie to samo — szepnęła.

Dwie wielkie łzy błysnęły w jej oczach. Jej syn, jej drogi Fryderyk był dla niej wszystkim: radością, dumą, życiem, a teraz czuła, że już do niej nie należy.

Po chwili milczenia zaczęła:

— Ona z miasta?

— Tak, mamó.

— Ma się rozumieć, że ją kochasz?

— Z całego serca, z całej duszy!

— Długo?

— Od kilku miesięcy.

— A mnie nic o tym nie wspomniałeś!

— Czekałem.

— Jesteś kochany?

— Tak sędzę.

— Więc nie jesteś pewny?

— Rodzice przyjmują mnie bardzo uprzejmie i wiem, że są zdecydowani oddać mi rękę córki; lecz nie ośmieliłem się jeszcze zapytać panny Emeliny.

— Ach, więc nazywa się Emelina?

— Tak jest.

— Czy znam tę młodą dziewczynę?

— Spotkała ją mama dwa czy trzy razy u pani Surmain.

— Jak to! — zawołała pani Boissier — to panna Emelina de Revilly jest tą, którą kochasz i pragniesz poślubić?

— To ona, moja mamó.

— Ach, Fryderyku, strzeż się drogie dziecko!

Młody człowiek zadrżał. Słowa te, które już raz słyszał w ustach pani Surmain, sprawiły mu przykrość.

— Mamó — przemówił — czyż ona nie jest prześliczna?

— Tak, tak, prześliczna.

— Wykształcona, dystyngowana, uczciwa?

— To prawda.

— A miła i ładna?

— Może zanadto.

— Przecież to nie wada, kochana mamó.

— Z pewnością, przyjacielu, lecz rzecz to nieraz niebezpieczna.

Przymioty serca kładę daleko wyżej od piękności.

— Ale panna Emelina ma wszelkie zalety.

— W oczach zakochanego, przyjacielu. Mój Boże! — ciągnęła dalej — nie mam nic do zarzucenia tej młodej osobie, którą zaledwie znam. W

każdym razie, Fryderyku, nie ukryję przed tobą mych myśli. Zdaje mi się, że panna de Revilley zanadto pyszni się swą pięknnością. Przyznaję, że jest godna podziwu, lecz zbyt stara się, by ją podziwiano. Fryderyku, mogłabym się założyć, że przed zwierciadłem podziwia samą siebie.

— Matko!

— Pozwól mi skończyć; mówię ci to, co myślę, i opowiadam wszystko zgodnie z wrażeniem, jakie panna de Revilley wywarła na mnie od pierwszego spojrzenia. Tak ją osądziłam...

— Mamo, zaręczam ci...

— Nie pragnę niczego więcej jak pomyłki z mej strony — przerwała żywo. — Lecz raz zacząwszy, nie zatrzymam się, aż ci wszystko powiem. Zdawało mi się więc, że panna de Revilley nie ma wcale skromności, która tak przystoi panienkom w jej wieku; pod jej pięknym czołem odkryłam wielką próżność. Wreszcie, kochany Fryderyku, wszystko, co spostrzegłam, zamyka się w jednym wyrazie: panna de Revilley jest kokietką!

— Pomyśl tylko mamo, że Emelina ma zaledwie dwadzieścia lat; toż to jeszcze dziecko. Czyż może mieć zły zamiar lub złą myśl, ona, piękna i czysta jak anioł? W końcu jeżeli kokieteria nie jest zaletą, to nie możemy również nazwać jej straszliwą wadą. No, kochana mamo, czyż wszystkie kobiety nie są dziś trochę zalotne? Jeżeli, jak mama słusznie zauważyła, skromność przystoi młodej dziewczynie, to ja z kolei ośmielałam się twierdzić, że trochę zalotności nie zaszkodzi młodej, przystojnej kobiecie. Zaręczam mamie, że zalotność panny de Revilley nic a nic mnie nie przeraża.

Pani Boissier pokiwała głową.

— Wszystko dobre, wszystko doskonałe, gdy się kocha — westchnęła.

Zwróciwszy oczy na syna, mówiła poważnie: - Mógłbyś jednak, Fryderyku, poczekać jeszcze kilka miesięcy. Może się rozmyślisz. Taką radę dałby ci twój ojciec, gdyby go Pan Bóg zachował przy życiu.

— Mówiłem już, że moje postanowienie było następstwem długiego namysłu.

— Synu, małżeństwo to wielki akt, najważniejszy w naszym życiu; tu idzie o szczęście dwóch osób, o ich całą przyszłość.

— Myślałem już o tym wszystkim, moja matko; pytałem się mego serca, a ono zawsze odpowiadało: „Poślub Emelinę, jeżeli chcesz być szczęśliwy”. Kocham ją, kocham, czy mogę coś więcej powiedzieć? Wierz mi mamo, bez Emeliny nie znajdę szczęścia na ziemi.

Pani Boissier stłumiła westchnienie, które wyrywało się z jej piersi; spuściwszy głowę, namyślała się głęboko.

Fryderyk, nieco zaniepokojony, czekał na odpowiedź.

— Tak — szepnęła — trzeba przyjąć to, czego nie można odwrócić.

Po czym, podniósłszy oczy na syna, powiedziała:

— Chcesz się koniecznie żenić, więc nie mam ci nic do powiedzenia. Teraz będę składać modły za szczęście twoje i twej przyszłej żony.

— I za twoje, mamó.

— Co tam moje — westchnęła. Młody człowiek otoczył ją ramionami.

— Nie obawiaj się niczego — rzekł tkliwie — będę cię zawsze kochał!

— Wierzę ci — odparła, usiłując powstrzymać łzy, cisnące się do oczu — ale będziemy już dwie... Pierwsze miejsce w twym sercu zajmie kto inny. No — dodała siląc się na uśmiech — nie trzeba być zazdrosną!

Od śmierci męża jedyną myślą biednej kobiety był jej syn; jedynym marzeniem — szczęście ukochanego jedynaka. Dotychczas ich życie płynęło spokojnie i szczęśliwie. Z małżeństwem Fryderyka zajdzie wiele zmian. Była gotowa pokochać synową, lecz czy ta ostatnia nie odplaci za uczucie niewdzięcznością? Drżała na samą myśl, że nie będą się zgadzały w usposobieniach. Cóż się stanie w takim wypadku? Konieczność rozłączenia będzie nieunikniona. Naturalnie mąż ujmie się za żoną, a matka zostanie sama. Będzie opuszczona, zapomniana. Sama, zupełnie sama! To słowo ją przerażało. Może błdziła, lękając się przedwcześnie, lecz czyż podobnych wypadków nie widziała na własne oczy?

— Och! — mówiła w duchu — jeżeli zdarzy się takie nieszczęście, nie przeżyję go z pewnością!

Młody człowiek zaczął na nowo:

— Kochana mamó, chciałbym, abyś dziś złożyła wizytę państwu de Revilly.

— Dzisiaj?

— Tak jest, aby poprosić o rękę panny Emeliny.

— Jesteś pewny, że twa prośba zostanie wysłuchana?

— Przyjmą mamę bardzo dobrze; wizyta jest już tam od dawna oczekiwana.

— Widzę, że już znakomicie pokierowałeś tą doniosłą sprawą. Zgoda, będę dziś u państwa de Revilly.

— Dziękuję ci, mateczko.

— Czy wiesz, ile pan de Revilly może mieć majątku?

— Nie, mamu. Nie potrzebuję chyba mówić, że żeniąc się, pragnę poślubić młodą dziewczynę, którą kocham, a nie jej posag.

— Jestem o tym przekonana, gdyż znam delikatność twego charakteru.

— Zaręczają, że pan de Revilly posiada wcale ładny majątek. Nadto wspominało mi kilku przyjaciół rodziny i sama pani de Revilly, że kupili posiadłość w pobliżu Aveyron.

— Tak, pan de Revilly musi być bogaty, wnioskuję to z wydatków jego rodziny. Pani de Revilly była zawsze kobietą elegancką, lubiącą błyszczeć i otaczać się przepychem. Suknie, koronki, kapelusze, rękawiczki, to wszystko kosztuje drogo, jeżeli się ślepo służy modzie. Mam nadzieję, moje dziecko, że panna Emelina nie będzie podobna do matki... Fryderyku, przychodzi mi do głowy pewna myśl...

— Cóż takiego?

— Będąc tak piękną, panna Emelina musi mieć wielu wielbicieli.

— W istocie, wiem nawet, że kilku młodych ludzi z bardzo dobrych rodzin, nadszłało pannie de Revilly.

— A więc przyjacielu, czy cię to nie dziwi, że państwo de Revilly przenieśli cię, ubogiego artystę, nad tamtych młodych ludzi, lepiej od ciebie uposażonych pod względem majątku?

Młody człowiek milczał chwilę zakłopotany.

— Kochana mamu — odparł wreszcie — państwo de Revilly, podobnie jak ty, pragną tylko szczęścia swej jedynaczki; znając mnie, wiedzą o mej gorącej miłości do Emeliny i są pewni, że uczynię ją szczęśliwą. Tak więc moje łatwe zwycięstwo da się wytłumaczyć. Po wtóre wiedzą, że mam talent i widoki na przyszłość. To wiele znaczy. Ty sama, kochana mamu, zachęcając mnie do pracy, do przełamywania trudności, czy nie masz nadziei, że i do mnie szczęście się uśmiechnie?

— Prawda, prawda... Wierzę w twoją twórczość. Zostaniesz chyba sławnym człowiekiem.

— Chyba?

Przesunęła gwałtownie ręką po czole.

— Nie — rzekła — nie chcę wątpić. Tak Fryderyku, zostaniesz sławny, będziesz wielki! Ach, proszę Boga, by mi pozwolił oglądać za życia twój sukces i twoje szczęście!

* * *

Pani Boissier wyszła z ulicy Cordeliers o godzinie dziesiątej, aby spełnić prośbę syna.

Dom, w którym mieszkali państwo de Reville, znajdował się w alejach Lafayette, będących tym dla Tuluzy, czym Pola Elizejskie dla Paryża, odległość więc nie była wielka. A jednak na trzy kwadransy na dwunastą matka Fryderyka nie wróciła jeszcze do domu.

Tego dnia młody człowiek nie miał rano lekcji w mieście; pozostał w mieszkaniu, czekając na matkę z gorączkową niecierpliwością.

Chcąc skrócić czas i rozproszyc niepokojące go myśli, siadł do fortepianu, lecz po chwili palce zatrzymały się na klawiszach, a on spuściwszy głowę, zatopił się w głębokim marzeniu.

Wreszcie zjawiała się pani Boissier. Fryderyk, zerwawszy się spieszenie z krzesła, pobiegł naprzeciw niej, zapytując ją niemym spojrzeniem.

— Przyjęto mnie bardzo uprzejmie — odezwała się. — Rozmawialiśmy o tobie długo, po czym przedstawiłam twoją prośbę.

— I...?

— Jak przewidziałeś, nie okazywano mi najmniejszych trudności.

— O! Mamo, jakże jestem szczęśliwy!

— Daj Boże, żebyś był nim zawsze! — pomyślała matka.

— Czy była mowa, kiedy ma się odbyć ślub? — zapytał młody człowiek.

— Tak jest, pani de Reville wyraziła życzenie, abyście się połączyli jak najprędzej.

— Czy i ty jesteś tego zdania, mamo?

— Moje drogie dziecko, zgadzam się na to, czego ty pragniesz.

— Widziała mama pannę Emelinę?

— Widziałam.

— No i jakże?

— Rozumie się, że nie w jej obecności przedstawiłam moją prośbę.

— Naturalnie.

— Okazała się bardzo miła; przypatrywałam jej się uważnie; rzeczywiście jest prześliczna. Zrozumiałam, że to panienka bardzo na swoim miejscu i nie wywarła na mnie wcale tego wrażenia, co przy pierwszym widzeniu u pani Surmain.

— Och, pokochasz ją, mateczko!

— Wszystko co ty kochasz i ja Kocham. Panna de Reville musiała być uprzedzona przez matkę lub też sama odgadła powód mej wizyty, gdyż po chwili podała mi rękę i odeszła. Pani de Reville prawie wszystko z góry przygotowała, co jest dowodem, że od dłuższego czasu zwróciła na Ciebie uwagę, jako na przyszłego zięcia. Tak na przykład, nie będąc u nas nigdy, zna dokładnie rozkład naszego mieszkania i wyznaczyła pokój dla Twojej przyszłej żony. Obawiałam się, że pani de Reville zechce zatrzymać córkę przy sobie; przekonałam się jednak, że niepokój mój jest płonny. Muszę Ci też oznajmić, że podczas rozmowy pani de Reville powiedziała o posagu swej córki wynoszącym trzydzieści tysięcy franków.

— Moja mammo, nie chcę słyszeć o kwestii pieniężnej!

— Tak właśnie odpowiedziałam pani de Reville, pewna z góry, że zyskam Twoje uznanie. Podzielałam Twój sąd, Fryderyku, gdyż małżeństwo jest rzeczą świętą, która nie powinna być nigdy przedmiotem targu.

— Trzydzieści tysięcy franków! — szepnął młody człowiek — to za wiele, bezwarunkowo za wiele!

Tak — pomyślała pani Boissier — za wiele lub za mało!

W tej chwili służąca powiadomiła panią domu, że śniadanie czeka na stole.

Przeszedłszy do sali jadalnej, usiedli do stołu.

Na czole młodego muzyka jaśniała radość, szczęście błyszczało w jego spojrzeniu.

Wesołość syna wystarczała pani Boissier; a jednak pomimo że starała usilnie uspokoić się, jakiś niepokój targał matczynym sercem.

— Kochana mammo — rzekł Fryderyk — oto jeden z moich najpiękniejszych snów stał się rzeczywistością. Dziś nadzieja i ufność w szczęśliwą przyszłość wzrosły w moim sercu bardziej niż kiedykolwiek. Widzisz mammo, wszystko mnie cieszy. Patrz tylko; nigdy błękit nieba nie był piękniejszy, nigdy słońce jaśniej nie świeciło, śpiew ptaków brzmi dźwięczniej niż zwykle, nawet woń kwiatów napełnia powietrze dziwnym zapachem... Zdaje mi się, że przyroda obchodzi uroczystość! Tak matko, czuję odwagę w moim sercu, przejdę zwycięsko wszystkie próby! Gotów byłbym podnieść cały świat na moich barkach! Zaczę pracować z zapalem; przed końcem roku muszę skończyć moją operę komiczną.

* * *

Przed domem państwa de Reville znajdował się mały ogródek, rodzaj tarasu upiększonego krzakami i kwiatami. Za nim wznosił się dosyć wysoki mur, łączący tę kamienicę z innymi budowlami w alei Lafayette.

Na całej długości muru urządzono taras pełen róż i lilii, mirtu i laurowych drzewek. Ażeby tu się dostać, trzeba było przejść po kilku kamiennych stopniach, znajdujących się na obu końcach muru.

Na lewo od domu, artystyczna ręka wzniosła uroczy mały pawilon. Z jednej strony wchodziło się tu drzwiami; po przeciwnej stronie rozciągała się przed widzem panorama miasta, którą można było oglądać przez małe okienko.

W kilka godzin po odwiedzinach pani Boissier, a więc około piątej, panna Emelina de Reville ukazała się na tarasie i zwróciła się ku pawilonowi. Otworzywszy książkę, którą ze sobą przyniosła, zaczęła czytać. Czy dzieło było mało zajmujące, czy też inne powody rozstrajały jej myśli, dość że wlepiwszy wzrok w książkę, siedziała długo nie odwracając kartek. Z twarzy można było odgadnąć, że jest niespokojna, roztargniona; od czasu do czasu spoglądała w głąb alei.

A jednak nie wyglądała na osobę, oczekującą kogoś z niecierpliwością.

Była to godzina, w której młodzi miastowi próżniacy i piękne damy zaczynają ukazywać się na ulicy. Młoda panna znajdowała przyjemność w przyglądaniu się przechodzącym i krytykowaniu ich toalet.

Przed chwilą odbyła bardzo poważną rozmowę z matką. Oto co usłyszała z ust pani de Reville:

— Zapewne domyślasz się, że wizyta pani Boissier pozostaje w związku z tobą. Matka pana Fryderyka prosiła o twoją rękę dla syna. Nie ma potrzeby mówić ci, że ja i twój ojciec oceniamy należycie przymioty pana Boissiera. Odpowiedzieliśmy też przychylnie i począwszy od dnia dzisiejszego, pan Fryderyk jest twoim narzeczonym, a najpóźniej za miesiąc zostanie twoim mężem.

Panna Emelina spuściwszy oczy, jak przystało panience pełnej uszanowania dla matki, słuchała w milczeniu. Gdy matka skończyła, rzekła krótko:

— Dobrze, mamó.

Pani de Reville uściskawszy córkę, wyszła na miasto, ażeby zawiadomić przyjaciółki o przyszłym małżeństwie Emeliny.

Ta ostatnia, znalazłszy się sama w domu, udała się do pawilonu, pragnąc tam znaleźć jakieś zajęcie.

O czym myślała? Może i ona marzyła o szczęściu, czekającym ją w przyszłości? Nie moglibyśmy tego zaręczyć.

Nagle dał się słyszeć odgłos kopyt końskich na ulicy, zwracając uwagę młodej dziewczyny.

Powstała szybko i z książką w ręku wychyliła się przez okienko.

Obraz był godny uwagi malarza.

Młody i elegancki kawaler na arabszczyku czystej krwi przejeżdżał przez aleje. Spostrzegłszy młodą osobę, poruszył się ze zdziwieniem, okazując tym swój zachwyty. Ruch ten oddział na wędzidło rumaka, gdyż ten zatrzymał się nagle naprzeciwko pawilonu.

Spojrzenia młodego człowieka i Emeliny skrzyżowały się szybko jak dwie błyskawice. Równocześnie jeździec podniósł rękę do kapelusza, pochylając się na siodle.

Twarz młodej kobiety oblała się rumieńcem. Mimowolnie przymknęła oczy. Kiedy je otworzyła, młody człowiek, spiąwszy konia ostrogami, zniknął w kierunku placu Lafayette.

Emelina odwróciła się i wydała okrzyk zdziwienia.

Pani Surmain stała o trzy kroki przed nią.

Wszedłszy do pawilonu w chwili, gdy koń się zatrzymywał, widziała wszystko.

Panna de Reville podała jej rękę. Nie spostrzegła na ustach przyjaciółki ironicznego uśmiechu.

* * *

Pani Surmain posiadała w wysokim stopniu sztukę udawania. Umiała zarówno dobrze okazywać uczucia, o których się jej nawet nie śniło, jak ukrywać wrażenia, przykre czy też przyjemne. Jej piękne oblicze pokrywało się co chwilę maską.

Emelina była również obdarzona energiczną wolą; potrafiła powściągnąć się w gniewie, przywołać na usta kłamliwy uśmiech i nie wyrwać się nigdy z niepotrzebnym słówkiem.

Pomimo tego łatwo było przewidzieć, że w razie walki między obiema młodymi kobietami, pierwsza z nich weźmie górę.

Pani Surmain, siadając naprzeciw przyjaciółki, zmierzyła ją przenikliwym spojrzeniem, mówiąc z wolna:

— Czy nie zauważyłaś tego młodego człowieka, który przed chwilą przejeżdżał na koniu?

— Widziałam go przez krótką chwilę — odparła śmiało Emelina.

— A jednak... zdawało mi się, że zatrzymał się na twój widok.

— Ach, zatrzymał się... ale nie na długo.

— Miał dosyć czasu, aby ci złożyć ukłon.

— Jak to, ten pan mi się kłaniał? — zawołała Emelina z dobrze udanym zdziwieniem.

— Tak jest, posyłając ci zarazem bardzo miły uśmiech.

— To szczególne, doprawdy, nic z tego nie widziałam.

— Nic dziwnego — rzekła pani Surmain z uśmiechem — byłaś zajęta, nie zwróciłaś na to uwagi...

— Zwłaszcza, że kłaniałam się w tej chwili paniom de Massiac, które przechodziły po przeciwnej stronie ulicy.

— Tym sposobem ukłon i uśmiech biednego kawalera nie odniosły pożądanego skutku. Przyznaj się, Emelinko, musisz go dobrze znać?

— Tego pana?

— Tak.

— Zaręczam ci, droga Helenko, że widziałam go po raz pierwszy.

— To dziwne.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Ten młody człowiek nie mieszka w Tuluzie i...

— Ach! — przerwała Helena ze śmiechem — zauważyłaś, że jest młody.

— Chyba bym była ślepa — odparła Emelina spokojnie — można łatwo spostrzec, że młody mężczyzna nie jest starcem.

— A więc nie znasz go wcale?

— Przed chwilą ci to powiedziałam.

— A więc, kochana Emelino, on cię zna. Widział cię już nieraz. Gdzie? Nie wiem. Lecz zaręczam ci, że zdarzało się to dość często, by został wielbicielem twojej piękności.

— Ale ty wiesz, kto to taki?

— Bardzo mało mogę ci o nim powiedzieć. Człowiek ten mieszka w Tuluzie od ośmiu dni. Wczoraj złożył wizytę pani Desloges w chwili, gdy i ja się tam znajdowałam. Pani Desloges pytała się o ciebie, w ten więc sposób dowiedział się, że jestem twoją przyjaciółką. Od tej chwili był bardzo uprzejmy i rozmawiał o tobie z zapalem, z jakim zapalem! Nie potrzebuję dodawać, że czułam się szczęśliwa, słysząc pochwały na cześć mej najlepszej przyjaciółki.

Tym razem rumieniec oblał twarzyczkę Emeliny.

— Czy zamierza stale tu mieszkać? — spytała obojętnie.

— Nie, przyjechał spędzić dziesięć lub piętnaście dni w domu swego wuja.

— Ach, więc ma wuja w Tuluzie?

— Pana Percier.

— Przemysłowca z ulicy Nazaret?

— Ojca Percier, jak go nazywają, chociaż nie posiada dzieci. Jak wiesz, ma on ze dwa miliony...

— Zatem ten nieznajomy nazywa się Percier?

— O! Nie. Jego matka była jedyną siostrą starego przemysłowca, on nazywa się Karol Dumey. Jeżeli cię to interesuje, to dodam, że rodzice młodego człowieka zostawili mu po śmierci znaczny majątek, który się zwiększył jeszcze przez miliony pana Perciera, gdyż ten ostatni nie ma innych spadkobierców. Dumey ma lat trzydzieści pięć i jest kawalerem. Wprawdzie nie można powiedzieć o nim: „Oto ładny chłopak"! lecz w razie gdy zechce się żenić, będzie miał tylko trudność wyboru.

— Ta kobieta będzie bardzo szczęśliwa! — odezwała się Emelina marząco.

— Tak — potwierdziła Helena — gdyż spełni się najpiękniejsze z jej życzeń. Cóż jej będzie brakowało? Wszystko będzie miała: brylanty, konie, powozy, służbę, pieniądze, zamek na prowincji i pałac w Paryżu!

Emelina stłumiła westchnienie.

— A więc — zaczęła — pan Karol Dumey mieszka w Paryżu?

— Prawdopodobnie przez większą część roku.

— Co za życie!

— Mimo olbrzymiego majątku zajmuje się pracą.

— Pracuje!

— Nawet bardzo wiele, przynajmniej zaręczała mi to pani Desloges, od której wiem o tych wszystkich szczegółach.

— Ciekawa jestem, co taki bogaty człowiek może robić?

— Człowiek majątny, moja droga, może robić, co mu się podoba. Pan Karol Dumey ma wielkie kapitały, ulokowane w interesach przemysłowych; nadto jest współnikiem w jakimś kantorze wymiany w Paryżu. W ten sposób zarabia rocznie sumę równą dochodom z kapitałów. Pani Desloges, znająca go bardzo dobrze, twierdzi, że może on wydać dwieście tysięcy franków rocznie.

— Ależ to cudowne!

— To zdumiewające, moja droga. Lecz już dość długo zajmujemy się panem Dumeyem i jego bogactwem; czas pomówić o tobie, Emelino.

— O mnie?

— Ma się rozumieć. Bardzo się cieszysz?

— Z czego?

— No, nie udawaj naiwnej. Możesz się domyślić, że wiem już o wielkiej nowinie.

Emelina, nie mogąc znieść przenikliwego wzroku przyjaciółki, spuściła oczy.

— Spotkałam panią de Révilly pół godziny temu na ulicy Boulbonne — ciągnęła Helena — zawiadomiła mnie czym prędzej o twym przyszłym małżeństwie. Zapowiedziała mi nawet, że jeszcze tej niedzieli wyjdą wasze zapowiedzi.

— Moja matka nie traci ani minuty; zdawałoby się w istocie, że pragnie pozbyć się mnie czym prędzej.

— Jakże możesz tak myśleć?

— Przecież miałam jeszcze czas.

— Jakim tonem to mówisz! Można by pomyśleć, że wychodzisz za mąż wbrew woli.

— Nie, Heleno, idę za mąż dobrowolnie, przyjmując za męża człowieka, którego wybrali moi rodzice. Zresztą pan Fryderyk Boissier ma w sobie

wszystko, co może podobać się kobiecie. Jako mężczyźni nic mu zarzucić nie można, ponadto jest wykształcony, jest artystą, mającym przed sobą przyszłość. Wszyscy mi to mówią. Ty sama, Heleno, wspominałaś nieraz o panu Fryderyku w słowach nader pochlebnych. Nie poznawszy się na jego zaletach, byłabym jedyną niewdzięczną osobą z tych, co go otaczają. Odkryłam od dawna jego gorące uczucie...

— Tak — przerwała pani Surmain — kocha cię tak, jak tylko kobieta pragnie być kochaną. Być kochaną gorąco, szalenie, oto sen, o którym kobieta marzy i wiecznie będzie marzyć.

— Pan Boissier ma tylko jedną wadę w mych oczach.

— Jaką?

— Jest ubogi.

— Prawda, nie posiada nic oprócz młodości i talentu, ale ma przyszłość przed sobą.

— Przyszłość! To rzecz bardzo niepewna.

To jest dobre, że zawiera w sobie nadzieję. Moja droga Emelino, majątek nie tworzy szczęścia. Wchodzi ono częściej pod dach wieśniaczy niż do pałacu magnata. Na nieszczęście małżeństwo bardzo często nie jest tym, czym być powinno; ileż to razy nie poślubia się młodej dziewczyny, lecz kupuje się tylko jej posag! Ty przynajmniej możesz być pewna, że pan Boissier działa bezinteresownie. Będiesz szczęśliwa w miłości, bo i ty go kochasz, nieprawda? Emelina milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała:

— Nie wiem.

— Jak to! — zawołała pani Surmain — wychodzisz za pana Boissiera nie będąc pewna, czy go kochasz?

— E! Moja kochana — odparła młoda dziewczyna niecierpliwie — czy ja wiem, co znaczy słowo kochać? Idę za męża, bo widzę, że sprawia to przyjemność moim rodzicom, bo mam lat dwadzieścia, a nie chcę zostać starą panną, brzydką, dziwaczną, złą, śmieszoną, nieznośną, słowem taką, jak panna de Beauregard, prawdziwa karykatura, podobna bardziej do potwora niż do istoty ludzkiej. A poza tym pan Fryderyk podoba mi się; rozmawia bardzo gładko, znajduję przyjemność w słuchaniu jego mowy, miłe jest, że wszyscy go chwala. Może to nazywają ludzie miłością.

Teraz jestem pewna — mówiła w duchu pani Surmain — nie kocha go! Ach, panie Fryderyku, wzgardziłeś mną, nie chciałeś zrozumieć mego ostrzeżenia. Dobrze, więc Emelina mnie pomści! Podniosła się z ławeczki.

— Okropnie tu gorąco — powiedziała oddychając głęboko. — Emelino, może byśmy się przeszły po tarasie?

Wyszły z pawilonu.

Piękna narzeczona Fryderyka Boissiera myślała o panu Karolu Dumeyu, który posiadał pałac w Paryżu, wspaniały zamek na wsi i dosiadał z niedbałością milionera ognistego rumaka.

RS

* * *

Kiedy termin ślubu młodych ludzi był już bardzo bliski, pani de Revilly rzekła przysłemu zięciowi:

— Muszę pana uprzedzić, panie Fryderyku, że życzeniem naszym jest, aby ślub był wspaniały. Musimy zadowolić naszych przyjaciół i siebie samych. Mówię panu to już teraz, chcąc poznać pańskie zamiary. Powinniśmy zgadzać się w najmniejszej drobnostce.

— Pochwalam wszystko, co pannie Emelinie sprawi przyjemność — odparł młody człowiek. — Polegając na pani doświadczeniu, ufam, że wszystko, co pani zrobi, będzie dobre.

— Zgoda. Czy pomyślałeś pan już o nowym mieszkaniu, a przede wszystkim o urządzeniu salonu i buduaru Emeliny?

— Tak jest pani. Spodziewam się, że mi pani nie odmówi swoich dobrych rad?

— Naturalnie. Jaką sumę zamierzasz pan przeznaczyć na ten cel?

— Około dwóch tysięcy franków.

— To mało; zresztą zobaczymy jeszcze. Widziałam u mego tapicera umebłowany pokój wraz z gabinetem do toalety, który bardzo przypadłby do gustu Emelinie.

— Kupimy go, łaskawa pani.

— A więc pójdziemy tam jutro razem. Nie zapomnij też pan zawiadomić swych przyjaciół z teatru du Capitole, gdyż pragnę, aby zagrali podczas wielkiej mszy. Niech przez pół roku nie rozmawiają w mieście o niczym innym, tylko o ślubie Emeliny.

Podczas każdej takiej narady pan de Revilly zjawiał się na chwilę, aby powiedzieć:

— Dobrze, bardzo dobrze.

Jako człowiek zajęty zupełnie swymi interesami, udawał się często do Paryża, żyjąc prawie ciągle poza domem. Z innych powodów niż jego żona pragnął czym prędzej wydać za mąż Emelinę.

Mimo protestów męża, pani de Revilly oświadczyła, że swej córki nie wyda za mąż bez kontraktu ślubnego.

Spisano więc kontrakt, w którym zaznaczono, że państwo de Revilly dają swej córce trzydzieści tysięcy franków posagu, który ma być wypłacony w dwa tygodnie po ślubie. Dalej ciągnął się długi spis przedmiotów, składających się na wyprawę panny młodej.

Pani de Revilly okazała się nielitościwa dla notariusza; kazała spisywać wszystkie przedmioty, pragnąc, aby wszędzie powtarzano:

— Nie można mieć nawet wyobrażenia o wszystkim, czym pani de Revilly obdarzyła swoją córkę.

Fryderyk podpisał kontrakt, nie zamknawszy oczu, lecz zwróciwszy je na narzeczoną, która się uśmiechała radośnie.

Rzeczywiście, dziękowała mu za to, że idąc za radą pani de Revilly kupił poprzedniego dnia meble za cztery tysiące franków i klejnoty za taką samą cenę, wszystko to dla sprawienia przyjemności Emelinie.

Pani Boissier nie sprzeciwiała się synowi w niczym; lecz w duchu mówiła sobie, potrząsając smutnie głową:

— Na cóż zda się ten zbytek? Czyż potrzebujemy zamydlać ludziom oczy? Niestety! Boję się, że to dopiero początek rozrzutności; z naszych oszczędności nie zostanie zgoła nic.

Co do Fryderyka, ten o niczym nie myślał, pragnąc przede wszystkim dać Emelinie jak najwięcej dowodów swej miłości. Żył teraz jak dziecko, a właściwie jak zakochany, bez troski o jutro.

Pani Surmain, a następnie jego własna matka, rzekły mu:

— „Strzeż się"! Przestroga była ważna; on już o niej zapomniał. Zresztą nie był już panem siebie, aby móc rozważnie postępować i obliczać.

Pani Surmain była może jedyną osobą w Tuluzie, która by mogła ostrzec go, otworzyć mu oczy i zwrócić uwagę na grożące niebezpieczeństwo.

Helena wiedziała dobrze, jaka jest prawdziwa sytuacja państwa de Revilly, lecz kochając dotąd Fryderyka, postępowała z nim chłodno, nie usiłując wcale ocalić go od zguby.

W ten sposób pozostawiała niewdzięcznika jego przeznaczeniu.

Gdyby Helena nie czuła miłości dla młodego artysty, gdyby była tylko jego przyjaciółką, poczytywałaby z pewnością za swój obowiązek objaśnić go co do stosunków, w jakich znajdzie się zaraz po ślubie.

Oto co by mu wyjawiała:

Pani de Revilly jest kokietką w całym tego słowa znaczeniu. Pomimo swego wieku, żyjąc tylko dla przyjemności, jest w stanie wszystko im poświęcić. W jej domu, prowadzonym bez porządku i oszczędności, wydatki były zawsze olbrzymie.

Na nieszczęście Emelina pod tym względem nie różni się od matki. Od czterech lat, to jest od czasu, jak opuściła pensję, wychowana pod dozorem

pani de Reville, przywykła do zbytku i wygody, zajmując się jedynie strojami.

Matka i córka lubują się we wszystkim, co świeci, co błyszczy i uderza w oczy; dlatego też pragną za wszelką cenę olśniewać wszystkich przepychem i wykwintnością.

Pani de Reville nie kochała nigdy męża, który ze swej strony nie mógł żywić do niej głębszego uczucia. Córka jest jej również zupełnie obojętna. Przecież kochając bale, zebrania, uroczystości, nie można przelewać zbyt wiele uczucia nawet na najbliższych krewnych.

Serce pani de Reville jest bardzo ciasne; zawiera ono tylko miłość własną i dumę. Próżność tam również znalazła schronienie. Zazdroszcząc piękności Emelinie, cieszy się z wydania jej za męża.

Pani de Reville opowiada chętnie o folwarku, który mąż posiada w okręgu de l'Aveyron. W istocie, posiadłość ta istnieje, lecz pani de Reville nie dodaje, że hipoteka obciążona jest powyżej wartości. W rzeczywistości pan de Reville nie jest ani właścicielem ziemskim ani kapitalistą.

To odkrycie zrobiło kilku bogatych ludzi z miasta, którzy, przyciągnięci zrazu pięknnością Emeliny, ograniczyli się wkrótce do niemego podziwu, trzymając się ostrożnie na uboczu.

Kiedy zachodzi obawa, że córka zostanie na zawsze w domu, wtedy nie można wypuścić z rąk sposobności wydania jej za męża.

Państwo de Reville urządzają zebrania, żyjąc jak prawdziwi magnaci. Dom, w którym mieszkają, koło placu Lafayette, w najpiękniejszej i najdroższej dzielnicy w Tuluzie, jest urządzony kosztownie, z przepychem. Mają dwoje służby, pokojowca i kucharkę. W swoim czasie pani de Reville miała pokojówkę. W ogóle sposób ich życia wymaga co najmniej od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy franków.

Gdyby każdy znał dokładnie stosunki, w jakich znajduje się pan de Reville, zdziwiłby się niepomierne, nie mogąc pojąć, jakim cudem ten człowiek może wydać rocznie tak wielką sumę.

Pana de Reville uważają powszechnie za człowieka, rozumiejącego się w rozmowach na interesach. Błędnie czy słusznie, uchodzi on za potęgę w sprawach finansowych. Rozporządzając pieniędzmi, które mu powierzono w nadziei, że je podwoi lub potroi, jest kapitalistą. Płacąc procenty właścicielom, zostawia sobie część pieniędzy, którą można by śmiało nazwać lwią częścią.

Można przypuszczać, że nie zawsze mu się szczęści w interesach, lecz nikt nie wie na pewno, jak postępuje w takim razie. Jeżeli ma książki rachunkowe, nie pokazuje ich prawdopodobnie nikomu. Kiedy się zaczyna coś chwiać, ofiarowuje stronom wysokie procenty, które sprawiają, że nikt nie pyta, czy kapitał pozostał nienaruszony.

W razie katastrofy, pan de Revilly, jako człowiek inteligentny, potrafi jeszcze długo utrzymywać równowagę, otaczając się zbytkiem i nie zmniejszając budżetu wydatków.

Państwo de Revilly dają córce posag, wynoszący trzydzieści tysięcy franków. Robią to, wiedząc, że nie wydaje się jedyne dziecko za męża, nie poświęciwszy dlań części majątku. Zresztą tak doradza im duma i miłość własna. Czy posag Emeliny będzie wypłacony? Bardzo wątpliwe. To jeszcze nie wszystko chcieć, trzeba móc. Państwo de Revilly spodziewają się móc, a nie będą mogli.

Fryderyk Boissier nie dowiedział się tego. Pomimo że znał wiele osób w Tuluzie, nikt nie powiedział mu o tym.

Dnia 22 maja odbył się ślub pana Fryderyka Boissier i panny Emeliny de Revilly z wielką wspaniałością, która zaspokoila oczekiwania zarówno matki jak i córki.

* * *

Pierwsze dni poślubne dwojga kochających się ludzi należą do najpiękniejszych w życiu. Oboje znajdują się w zachwycie; wszystko jaśniej naokoło nich, wszystko śpiewa. Wszędzie widzą uśmiechy, kwiaty i słońce, żyjąc w prawdziwym upojeniu szczęścia.

Myślą jedno o drugim, oboje zachwycają się sobą, olśniewają się nawzajem.

Ten krótki czas stanowi nieraz o całej ich przyszłości.

Młoda małżonka nie ukrywa zdziwienia, dowiadując się coraz to nowych i dotychczas jej nieznanych rzeczy. Uszczęśliwiona, nie opiera się wybuchom miłości męża, któremu zawdzięcza zrodzenie się świętego uczucia.

Jakże uroczy jest ten rumieniec, który występuje jej na czoło przy lada spojrzeniu lub, nieostrożnym słowie. Sami ze sobą, całują się, obejmują i milczą, uznając, że mową wszystkiego nie można wyrazić. Wobec obcych starają się powściągać, lecz głos, spojrzenie i uśmiech, przesyłają pocałunki. Na razie nie zajmują się niczym, zapominając o troskach i potrzebach życia codziennego.

Młodzi małżonkowie nie zastanawiają się nad prozą życia; do tego trzeba mieć czas, a ich godziny są tak idealnie wypełnione!

Przede wszystkim trzeba się kochać. Dzień tak piękny, po cóż myśleć o jutrze? Zresztą mają obowiązki względem rodziny i przyjaciół; przyjmują ich u siebie i oddają wizyty.

Szczęśliwe, szczęśliwe małżeństwo, nie doznające w tym czasie rozczarowania!

Emelina nie mogła pozostać nieczuła wobec gorącej miłości Fryderyka. Lód w sercu dumnej i wyniosłej panny, stopił się wkrótce bez śladu. Nie dzielając upojenia męża, czuła się wzruszona.

— Kocha mnie — powtarzał młody człowiek — jej uczucie odpowie temu, które wzbudziła w mej piersi. Ach! Jakże będziemy szczęśliwi!

Emelina widziała, że jej sny i marzenia nie są jeszcze spełnione, lecz zdawało się, że zadowolona zachwyca się wszystkim, co ją otacza i uwielbia.

Jej pokój, umeblowany przez tapicera pani de Revilly, był prawdziwym gniazdkiem zakochanych. Salon zawierał zbiór wszystkiego, na co Tuluza mogła się zdobyć.

Czując się w obowiązku podziękować Fryderykowi, wyraziła mu swoją radość i swój zachwyt.

— Więc jesteś zadowolona? — zapytał. — Nowa to przyjemność dla mnie, kochana Emelino. Toteż będę dla ciebie zawsze dobry i wyrozumiały.

Odpowiedziała mu wdzięcznym uśmiechem.

Fryderyk już nie pamiętał, że poprzedniego dnia zapłacił tapicerowi osiem tysięcy franków.

Jego żona się cieszyła. Cóż go wszystko inne obchodziło?

Młoda kobieta i pani Boissier zgadzały się we wszystkim. Pierwsza szanowała matkę męża, nie drażniąc jej uczuć; druga, marząc tylko o szczęściu jedynaka, nie pragnęła niczego więcej, niż pokochać z całego serca synową.

Młody człowiek zajął się na nowo uczniami, zabierając się z ufnością i odwagą do pracy. Większą część wolnego czasu poświęcał swej operze komicznej; akt drugi był już na ukończeniu.

Żona i matka zachęcały go gorąco.

— Znajduję w niej przepyszne rzeczy — mawiał im nieraz. — Mam przekonanie, że moje serce i wyobraźnia wydadzą na świat wielkie dzieło.

Zwykle dodawał:

— Szkoda, że mam tak mało czasu.

Czasami grywał na fortepianie różne arie, mając za słuchaczy te dwie, tak drogie mu istoty.

— To prześliczne! Zachwycające! — wołała matka, wzruszona do łez.

— W istocie, bardzo piękne — powtarzała Emelina.

— Czy rzeczywiście?

— Kochany Fryderyku — zaczynała pani Boissier — nie twoja matka powinna cię chwalić, lecz to pewne, żeś stworzony na mistrza. Nie wiem, co za siłę masz w sobie, coś ujmującego, a zarazem rozkazującego. Należysz do dobrej szkoły, do szkoły Herolda i Aubera.

Wtedy Emelina czuła ogarniający ją płomień, wtedy była zdolna ubóstwiać męża.

— Chciałabym już widzieć twoje powodzenie! — wołała. Powodzenie! Słowo to zapalało ją, przepelniając pierś nieznanym uczuciem. Słowo to zapewniało jej mężowi nie tylko sławę lecz i majątek.

Ileż pięknych nadziei mieściło się w tych rozrzuconych kartkach, w tych czarnych nutach, w tej rozpoczętej arii!

W trzy miesiące po ślubie, zjawił się w mieszkaniu Fryderyka jakiś człowiek, przedstawiając mu nie zapłacony rachunek. Był to restaurator, u którego odbyła się uczta weselna. Młody człowiek nie mógł ukryć swego zdziwienia, gdyż był pewny, że tę część kosztów zapłacił dawno pan de Revilly. Spostrzegłszy obok jakiś zapieczętowany papier, otworzył go i przeczytał:

Mój Najdroższy Fryderyku!

Pan de Revilly wyszedł dzisiaj, nie zostawiwszy mi kluczyków od biurka. Bądź tak łaskaw zapłacić załączony rachunek. Policzymy wszystko razem.

Luiza de Revilly

Fryderyk, nie zrobiwszy najmniejszej uwagi, zapłacił dwa tysiące sto czterdzieści pięć franków.

W cztery dni później przedstawiono mu do zapłacenia rachunek wynoszący sześćset pięćdziesiąt franków.

Tym razem pan de Revilly wyjechał do Paryża, zostawiwszy żonie pieniądze tylko na najniezbędniejsze potrzeby; lecz wkrótce miał powrócić, był to więc dług zaciągnięty za ledwie na cztery dni.

Młody człowiek i to zapłacił.

Dość, że w dwa tygodnie Fryderyk pokrył wszystkie wydatki z własnych oszczędności.

Musimy przyznać jednak, że za każdym razem pisano mu: „Policzymy wszystko razem”.

Tymczasem przewidywania pani Boissier sprawdziły się prędzej, niżby się ktokolwiek spodziewał. Dwanaście tysięcy franków, uzbieranych z takim trudem i móżolem, rozeszło się bez śladu.

Fryderyk przyznał się przypadkiem pani de Revilly, że posiada tę sumę. Ta ostatnia, nie zastanawiając się, czy położenie młodego małżeństwa nie stanie się kłopotliwe, pozbawiła go bez wahania pieniędzy, zapewniających mu spokój, a nawet utrzymanie w razie choroby lub innego nieprzewidzianego wypadku.

Pragnąc jednak usprawiedliwić choć w części tę miłą teściową, przyznajemy, że miała zamiar oddać zięciowi część jego pieniędzy.

Pani Boissier, dowiedziawszy się, jakim sposobem zniknęły prawdopodobnie na zawsze wszystkie oszczędności, poczuła ból serca. Pomimo że w ich skromnym gospodarstwie każdy grosz był skarbem, mniej chodziło jej o pieniądze; sposób jednak postępowania pani de Revilly i

pojmowanie obowiązków już nie względem zięcia, lecz względem rodzonej córki, dały jej wiele do myślenia.

Biedna matka nie zapomniała jeszcze o podejrzeniach, które ją trapiły od początku.

Żadna skarga nie wyrwała się z jej piersi, synowi nie zrobiła najmniejszej uwagi, lecz rzekła mu po prostu:

— Gdybyś zachorował i nie był zdolny do udzielania lekcji choćby przez jeden miesiąc, cóż poczęlibyśmy w takim razie?

— Nie, nie potrzebujemy obawiać się tego — odpowiedział — nigdy nie czułem się zdrowszy i silniejszy.

— Kochane dziecko, nieszczęście nadchodzi z szybkością błyskawiczną.

— A zresztą — pochwyił — pan de Reville odda, co mi winien.

— Kiedy dostaniesz posag twojej żony?

— Naturalnie, że dostanę.

— Ale kiedy?

— Nie wiem jeszcze, prawdopodobnie w tych dniach.

Pani Boissier nie zdradziła synowi swych spostrzeżeń, lecz w duchu dodała:

Biedaku, lękam się bardzo, by twoje oczekiwania nie spełzły na niczym.

Teraz matka Fryderyka była przekonana, że położenie państwa de Reville nie jest tak świetne, jak to sobie większość mieszkańców Tuluzy wyobrażała.

— Pozory, same pozory — szepnęła głucho. — Państwo de Reville żyją nad stan. Myśl ta dręczyła mnie nieustannie, lecz odsuwałam ją wytrwale; dziś dłużej wątpić nie mogę.

I smutnie, z sercem ściśniętym, dodała:

— Biedne, biedne moje dziecko! Pierwsze to twoje zawody i rozczarowania!

Lecz natychmiast podniósłszy głowę, przemówiła z błyszczącymi oczami:

— Zresztą, o cóż się trapić? Pieniądz to tylko marny kruszec. Rzecz główna, aby go Emelina kochała i była wierną żoną. Tylko... czy będzie go kochała tak, jak on na to zasługuje?

* * *

Emelina nie znała nigdy dokładnie położenia swych rodziców. Nie wiedziała nawet, że posiadłość w Aveyron jest obciążona długami.

Kiedy Fryderyk Boissier poprosił o jej rękę, matka chcąc ją nakłonić do przyjęcia oświadczyn, rzekła ogólnikowo:

— Doznawszy w ostatnich latach bardzo dotkliwych strat, nie możemy ci dać wielkiego posagu; w tych warunkach pan Fryderyk Boissier jest dla ciebie najlepszą partią w Tuluzie.

Emelina, żyjąc dotychczas w wielkim dobrobycie, jako młoda panna, mająca posiadać w przyszłości do trzydziestu tysięcy franków rocznego dochodu, wierzyła w bogactwo rodziców.

Nie lękając się jednak, aby znajdowali się w prawdziwych kłopotach pieniężnych, nie przewidywała, że państwo de Revilly nie tylko nie wypłacą Fryderykowi przyrzeczonego posagu, lecz oprócz tego zaciągną u niego dosyć znaczny dług.

Fryderyk powodowany delikatnością, łatwą do zrozumienia, nie wspominał żonie o tym, co mogłoby jej sprawić przykrość.

Przez pierwszy miesiąc Emelina nie miała czasu, aby się nudzić. W nowym trybie życia znalazła rozmaitość, do której nigdy nie była przyzwyczajona. Oddawała wizyty i przyjmowała odwiedziny przyjaciół. Dwa lub trzy razy na tydzień Fryderyk chodził z nią do teatru. Była szczęśliwa, mogąc pokazać się światu, budząc powszechny podziw świetnymi toaletami i dni płynęły szybko i przyjemnie.

Znalazła także zajęcie w urządzaniu całego mieszkania, a przede wszystkim swego buduaru.

Bieliznę umieściła w szafach; koronki, wstążki i inne gałganki w szufladach; suknie, staniki i mantyle w olbrzymiej szafie, wmurowanej w ścianę.

Na układaniu i odświeżaniu całej swej wyprawy spędzała większą część dnia i odczuwała prawdziwą przyjemność, trzymając i obracając w ręku kosztowne koronki lub kółko wstążek.

Tak jak dawniej, młoda kobieta marzyła o strojach i zabawach.

Każdego dnia otwierała kilka razy szkatułki zawierające klejnoty. Wyjmowała je ostrożnie i kierowała ku światłu, zachwycając się ich blaskiem i pięknnością; cieszyła się nimi jak dziecko.

Innym razem zawieszała na uszach kolczyki, na palce kładła pierścienie, na ręce bransolety, pod szyją przypinała kosztowną broszkę i wystrojona, czarująca, stawała przed zwierciadłem, które odbijało całą jej postać. Z rozjaśnionym czołem i płonącymi oczami oglądała się i podziwiała całymi godzinami.

— Jestem piękna! — myślała — tak, piękniejsza od pani Surmain, piękniejsza od wszystkich innych.

Obracała się na wszystkie strony, przybierając rozmaite pozy. I przypatrywała się swej odsłoniętej szyi, ramionom, rękom, nawet nóżkom, obutym w zgrabne pantofelki.

— Później — mówiła w duchu z nieokreślonym uśmiechem — kiedy on zdobędzie sławę i pieniądze, będę miała jeszcze piękniejsze rzeczy!

Podobał jej się bardzo salon i jej własny pokój. Wszystko było tam nie tylko eleganckie i zalotne, lecz także piękne i bogate. Emelina czuła się tu w swoim żywiole; otoczenie było godne jej osoby. Zadowolona, cieszyła się przepychem, przypominając pod tym względem panią de Révilly.

Pani Boissier zauważyła wprawdzie, że urządzenie salonu i buduaru młodej kobiety jest nieco za kosztowne, jak dla żony nauczycielką muzyki, lecz Fryderyk był innego zdania. Według niego wszystko było za skromne dla Emeliny.

Kiedy młoda kobieta skończyła odbywanie wizyt, a przyjaciółki odwiedzały ją mniej często niż w pierwszych tygodniach poślubnych, poczuła się nagle osamotniona, gdyż pani Boissier, poważna, myśląca, nawet smutna, nie mogła stanowić dla niej miłego towarzystwa, a Fryderyk cały dzień zajęty był lekcjami. Emelina obawiała się przede wszystkim samotności, potrzebując koniecznie ożywienia, hałasu, w ogóle jakiegokolwiek ruchu. Spokój, przedłużający się nad miarę, sprawiał jej niewymowny lęk.

Nie wiedziała, że można osamotnienie jeżeli nie uprzyjemnić, to w każdym razie uczynić mniej przykrym; nie wiedziała, że młoda kobieta zajęta pracą, unika nudów, a nieraz wielu myśli, nie będących dobrymi doradczyniami i przyjaciółkami. Spojrzała naokoło i spostrzegła pustkę. Uderzyła ją cisza tego spokojnego życia.

Usiadłszy z przygnębieniem na sofce, wyciągnęła ramiona, a zmarszczywszy lekko czoło, zaczęła ziewać. Bielizna, suknie, okrycia, wszystko było ułożone we wzorowym porządku. Mogła znowu opróżnić

garderobę, szuflady, szkatułki, i rozpocząć to, co było jej całym dotychczasowym zajęciem, lecz myśl ta nie przysła jej do głowy.

Zresztą, wszystkim można się znudzić. Emelina postępowała jak dziecko, potrzebujące co dzień nowej zabawki.

Stwierdzała, że salon stał się mniej wesoły, a buduar stracił również na pierwotnym uroku. Tu słońce świeciło w południe, a nie wieczorem; tam jak na złość zaglądało wieczorem, gdy ona pragnęłaby w południe.

Na pensji nauczono ją szycia i haftowania. Łatwo i przyjemnie mogła spędzić długie godziny, szyjąc, haftując, wyszywając i zajmując się łatwą pracą po trudniejszym zajęciu.

Na nieszczęście spędziła między wyjściem z pensji a małżeństwem trzy lata w domu, które wystarczyły, aby przyzwyczała się przy boku pani de Revilly do bezczynności, czując wstręt do pracy wszelkiego rodzaju, nawet najłżejszej. Zachęcona jednak przez matkę Fryderyka zaczęła kilka robótek, które jednakże wkrótce porzuciła; gdzie nie ma chęci do pracy, tam daremnie szukać wytrwałości.

Grała dobrze na fortepianie i należała do wcale niezłych śpiewaczek. Przy tym rysowała trochę, a nawet miała pojęcie o malowaniu akwareli. Chwyciła się tej rozrywki, przerzucając się co chwilę na inny przedmiot według upodobania. Naszkicowała całkiem dobrze kilka pejzaży i stary dom w ruinach, który zauważyła podczas przechadzki z mężem do wioski Blagerac.

Fryderyk i jego matka dodawali jej odwagi w usiłowaniach; lecz zapal do sztuki trwał w niej, jak mówią ludzie, tak, jak trwają róże.

Tak samo skończyło się z muzyką. Początkowo grała same stare melodie, które były w całym mieście znane i wyszły z mody; prawie co dzień kupował Fryderyk nowe, dołączając od czasu do czasu po kilka partii z ostatnich komicznych oper i operetek przedstawianych w Paryżu.

Przełęczając je szybko, po przetruceniu kartek i odegraniu kilku łatwiejszych kawałków, rzucała nuty na stolik, gdzie już stosy podobnych leżały od dawna w zapomnieniu, oczekując nadaremnie ludzkiego zmiłowania.

Wszystko to stanowiło dla niej rozrywkę bardzo krótką.

Nie mając zupełnie odwagi i chęci do pracy i kształcenia się, a nie wiedząc, jak oprzeć się nudom, biegła do matki lub do jednej ze swych przyjaciółek. Innym razem zasiadała do fortepianu i opuszczała go w tej

chwili, wyjmowała ołówki, a wyostrzywszy je wkładała na powrót do pudełka, nie skreśliwszy ani jednego znaku na papierze.

To nazywa się zabijaniem czasu.

Wreszcie chwyciła książkę w rękę i czytała. Jediną przyjemnością, która ją do pewnego stopnia pociągała, było przerzucanie najnowszych romansów, pisanych wedle wymagań dzisiejszego wieku.

Nie cierpiała Balzaka. Drażnił ją sposób jego rozumowania głęboki i spostrzegawczy. Ciekawsza była George Sand. Ta zachwycała ją swymi myślami, poglądami, filozofią, formą poetyczną, a przede wszystkim przesadą w przedstawianiu charakterów. Znajdowała wiele podobieństwa pomiędzy sobą a jej bohaterkami.

— Postąpiłabym tak samo — myślała nieraz — zdanie to zgadza się z moim usposobieniem, to wrażenie oddziaływuje i na mnie, słowa moje nie różniłyby się od poglądów autora.

Z równą przyjemnością czytała dzieła najlepszych współczesnych powieściopisarzy: Karola Deslysa, Pawła Sauniera, Oktawiana Feuilleta, wreszcie Borysa, który przeszedł jak meteor przez świat literacki.

Lecz faworytami jej byli Aleksander Dumas ojciec, Eugeniusz Sue, Paweł Feval, Emil Gaboriau, a nawet Ponson du Terrail. Lubując się w ciemnych opowiadaniach, pochłaniała w przeciągu kilku dni „Dramaty Paryża” lub „Młodość króla Henryka”. Zresztą romanse tego rodzaju były wtedy w modzie: można je było ujrzeć w ręku damy z pierwszego piętra, sklepikarki na parterze i stróża w suterrenach. Od tego czasu zaszło wiele zmian: Ponson du Terrail umarł w Bordeaux w czasie wojny; dziś już zapomniany, lecz długo jeszcze czytelnicy będą wspominać imiona jego bohaterów.

Fryderyk, coraz bardziej zakochany w żonie, wstępował nieraz do księgarni i kupował najnowsze powieści, dokładając wszelkich starań, ażeby się przypodobać Emelinie. Lecz na książki, przedmioty zbytku, podobnie jak piękne malowidła, marmury i brązy, nie każdy może sobie pozwolić, a tym mniej nauczyciel muzyki, który powinien myśleć o codziennym chlebie. Czując nieraz kieszeń zupełnie pustą, co teraz często się zdarzało, zmierzał w kierunku czytelnicy i tam wypożyczał książki.

Ale lektura, jakkolwiek bardzo jest ponętna i przez długi czas przygotowuje niejednemu coraz to nowe a miłe niespodzianki, męczy prędko, jeżeli oddajemy jej się zbyt namiętnie. Oczy nużą się, głowa ciąży, w uszach słyhać niemiły szum: jednym słowem, doznajemy uczucia

oszołomienia. Emelina nie była pod tym względem wyjątkiem. Odkładając czytanie książek, podobnie jak muzykę i malarstwo, miała już wszystkiego do syta.

Nie mogła przyzwycząć się do jakiegokolwiek zajęcia. Zdawało jej się, że znajduje się w więzieniu, że pozbawiono ją wszelkich przyjemności życia; czuła na piersiach jakąś zbitą masę, olbrzymią, ciężącą bez ustanku. Otoczenie to, które innemu usposobieniu zapewniłoby szczęście, dławiło ją jak zmora. Wyobraźnia przenosiła ją na uroczystości i światowe zabawy. Bóg wie, co za szalone myśli przelatowały przez tę głowę!

Teraz wychodziła z domu dzień w dzień, czując potrzebę poruszania się i oddychania. Odwiedzała znajome osoby, pragnąc nabrać przekonania, że jeszcze żyje; biegając po sklepach, trwonila pieniądze, udzielane jej zbyt łatwo przez pobłażliwego małżonka. Odbijało to się na gospodarstwie domowym i w miejsce dawnego dobrobytu nastąpiły kłopoty, lecz ona nie wiedziała o niczym.

Fryderyk dawał jej tyle pieniędzy, ile mógł, lecz nigdy nie czynił zadość jej wymaganiom. Kobieta ta była zdolna do roztrwonienia największego majątku. Włożywszy na ręce kilka razy nową parę rękawiczek, rzucała je w głąb szuflady i zastępowała nowymi, naśladując pod tym względem wybornie swą matkę; miała całe stopy trzewików, kapeluszy, które prawie całkiem nowe, walały się bezużytecznie po kątach.

Jeżeli nawet w Paryżu młoda kobieta nie powinna sama wychodzić na ulicę, to w miastach na prowincji uważa się to po prostu za nieprzyzwoitość. Emelina śmiała się z opinii mieszkańców Tuluzy; będąc emancypantką chciała być wolna jak Amerykanka.

Gdy Fryderyk lub pani Boissier pytali ją o powód nieobecności w domu, odpowiadała, że musiała odwiedzić matkę, panią Surmain lub inną serdeczną przyjaciółkę.

Matka Fryderyka zrazu niepokoiła się tylko, lecz widząc, co się dzieje, przeraziła się dalszych następstw.

Z początku tajiła przed synem obawy, które ścisnęły jej serce ale spostrzegłszy, że zakorzenione zło podkopie wkrótce spokój całego domu, zwróciła uwagę Fryderyka na wydatki jego żony, nieproporcjonalne wcale do dochodów.

Młody człowiek był zmuszony przyznać matce zupełną słusność.

On od dawna rozumiał niebezpieczeństwo, od dawna cierpiał za siebie i za Emelinę, która nic nie czuła, bo nie zastanawiała się nigdy nad niczym.

Nazajutrz, gdy go prosiła o pieniądze, odpowiedział:

— Nie mogę ci ich dać; mam tylko sumę, potrzebną do wyżywienia domowników przez te dwa tygodnie, które nas dzielą od końca miesiąca.

Mówił prawdę. Po czym dodał:

— Chciałbym być bogaty, bardzo bogaty, Emelino; na nieszczęście nie jestem nim, toteż mimo najszczerzych chęci, nie będę mógł jeszcze nieraz zaspokoić twoich żądań!

— Dobrze, dobrze, obejdę się — odparła sucho.

Po trzech dniach wróciła znowu, oświadczywszy, że potrzebuje pary trzewików i rękawiczek.

Fryderyk zwrócił jej łagodnie uwagę, że widział w jej pokoju buciki i rękawiczki, które jeszcze są w dobrym stanie.

— Ach! — zawołała — więc chcesz, bym chodziła jak nędzarka? Ponieważ nalegała dłużej o pieniądze a sakiewka Fryderyka nie znajdowała się w lepszym stanie niż poprzednio, odpowiedział jej ze smutkiem:

— Nie mogę.

— To obrzydłe, bezwstydne! — krzyknęła.

I ze łzami w oczach pobiegła do swego pokoju, gdzie spędziła cały dzień aż do wieczora.

Przy kolacji Fryderyk starał się jej wszystko spokojnie wytłumaczyć.

— Daj mi spokój — odparła gwałtownie.

Po chwili, widząc, że patrzy na nią z miłością, wyciągnęła ręce nad stołem, wołając:

— Boże, jak ja się tu nudzę!

Straszliwa bladeść pokryła twarz Fryderyka. W piersi poczuł ból, jak gdyby ostry grot przeszył mu serce.

Takie sceny powtarzały się często. Dla niego były one zawsze bolesnym wstrząsem.

Charakter Emeliny stawał się coraz przykrzejszy; na każdym kroku okazywała, że wszystko się jej nie podoba. Wprawdzie względem teściowej postępowała zawsze z szacunkiem, gdyż ta ostatnia wzbudzała w niej respekt swoimi cnotami, lecz unikała jej stale i nieraz przeszedł tydzień, a nie zamieniły ze sobą ani jednego słowa.

Męża swego nie traktowała lepiej, pokazując mu się zawsze z twarzą znudzoną lub rozgniewaną. Usiłowania młodego człowieka, ażeby ją rozweselić i przywołać uśmiech na skrzywione usta, nie odnosiły żadnego skutku. Odpowiadała mu zimnym skinieniem głowy lub częściej obojętnym

wzruszeniem ramion. Nieszczęśliwy cierpiał, widząc, że jego miłość i przywiązanie nie mogą zapewnić szczęścia ukochanej kobiecie.

Broniąc swego szczęścia przed nieprzyjacielem, dotychczas nieznanym, wyczerpywał swe siły w tej ciągłej walce. Nigdy już nie siadał do fortepianu nie czuł chęci do pracy. Kłopoty przytłumiały genialne myśli. Chcąc oddać się całą duszą jakiegokolwiek pracy, musiał mieć umysł wolny od trosk i niepokoju.

Fryderyk nie zajmował się już operą komiczną. Dzieło nie dokończone, przedmiot tylu pięknych marzeń, leżało zapomniane, opuszczone. Nie czując w sobie natchnienia, zniechęcał się powoli do wszystkiego...

Pani Boissier była w rozpacz. Ukrywała przed synem cichą i niemą boleść. W jej sercu jątrzyła się głęboka rana, krwawiąca, nieuleczalna.

— Ona nudzi się — szeptała nieszczęśliwa matka — tak, nudzi się, nasze spokojne życie uważa za ciężar. Nudzi się... A dlaczego? Bo nie kocha swego męża... Oto prawdziwe nieszczęście, przerażające, którego tak się obawiałam! A ja nic nie mogę pomóc, nic zupełnie. O! Ja nieszczęśliwa! Mój biedny syn! Moje biedne dziecko! — powtarzała co chwilę.

Biedna kobieta, dawniej tak szczęśliwa, ugięła się pod brzemieniem nieszczęścia. Przyszłość Fryderyka, która się przedstawiała tak świetnie, dziś wydawała jej się ciemna i ponura. Obawy te dręczyły ją bez ustanku.

Przed sobą widziała czarną przepaść.

Fryderyk żył teraz wśród ciągłych kłopotów; położenie jego stawało się z każdym dniem trudniejsze.

Napoleon III wydał wojnę Prusom. Nierozważni doradcy wpędzili go w matnię, a obie izby patrzyły na wszystko spokojnie, choć miały prawo sprzeciwić się działaniu cesarza.

Generałowie i oficerowie, zwyciężający dotychczas tylko w salonach, faworyci i żołnierze, ruszyli na wojnę, jak się idzie na przyjemną zabawę.

To co przewidziało kilka świątłych umysłów, zajętych dobrem ojczyzny, wkrótce stało się rzeczywistością.

Prusacy przedarli się przez granice i milion wrogów zalał nieszczęśliwą Francję. Jedni z nich runęli na największe prowincje, drudzy otoczyli Paryż żelaznym i ognistym kołem i oddzielili stolicę Europy od reszty świata.

Przeżyliśmy takie dni, jak dzień walki pod Sedanem, pogromu nie mającego sobie równego w historii Francji, a po nim nastąpiła straszliwa klęska, którą zawdzięczamy zdradzie Bazaine'a.

Ojczyzna znajdowała się w niebezpieczeństwie; trwoga ogarnęła cały kraj, od wschodu do zachodu, od północy do południa.

Wszędzie rozbrzmiewał rozpaczliwy okrzyk; — „Do broni”!

Przygotowywano się do śmiertelnej walki, bo szło tu o nasze żony, nasze dzieci i ogniska domowe, a nadto chciano ocalić Alzację i Lotaryngię.

Dnia 4 września, wśród powszechnego oburzenia, Paryż ogłosił Republikę.

Wobec postanowienia ludu nikt nie śmiał się podnieść i bronić cesarstwa.

Przyjaciele cesarza-więźnia, senatorowie, deputowani, omdleli, można było sądzić, że zsunęli się w otchłań, która przed chwilą stała się grobem Napoleona.

Nie do nas należy sąd o wypadkach; musimy się zadowolić, przypominając o nich, jeżeli nam to potrzebne. Wszystko, co nie wchodzi w zakres jego działania, powieściopisarz powinien zostawić historykowi.

Jak powiedzieliśmy, przerażenie opanowało wszystkie umysły. Wsie i miasta dostarczały kontyngentów wojennych; czego nie przywieziono z Ameryki, otrzymywano we własnych fabrykach.

Ludzi nie brakowało; lecz pomimo dobrej woli i poświęcenia, pomimo patriotyzmu i odwagi, nie można zrobić w przeciągu miesiąca żołnierza z robotnika, który dopiero co opuścił swoje zajęcie, lub z rolnika, oderwanego od pług.

Niemcy pokryli wszystko jak plama tłuszczu; fala nieprzyjaciół wciąż rosła. Za jedną armią posuwała się druga, za tą postępowała trzecia, czwarta...

Zająły one wschód i północ Francji; były w Wersalu, w Rouen; zbliżały się do Hawru, zagrażały Lionowi i bombardowały Paryż. Przeszedłszy przez Orleans i Blois, zwiastowały w Tours swe przybycie bombami i granatami.

Południowa Francja była bezpieczniejsza od innych okolic kraju; lecz i tu strach był ogólny. Obawiano się o swój majątek, o życie swoje i swych krewnych.

Wielu bogatych ludzi opuściwszy swe zamki, z kieszeniami pełnymi złota, uciekało za granicę. Jedni uchodzili do Hiszpanii, gdzie rządził książę włoski, inni znajdowali schronienie we Włoszech a nawet w Austrii. Byli i

tacy, którzy na czas wojny obrali za miejsce pobytu wybrzeża Afryki lub wyspy Morza Śródziemnego.

Wojna powoli wygasła. Francja musiała przyjąć pokój, ofiarowany przez zwycięzcę pod warunkami, które wszyscy aż nadto dobrze znamy. Lecz i teraz nie mogła jeszcze odetchnąć swobodnie; nadeszły straszliwe dni Komuny.

Jak wielu innych, Fryderyk Boissier odczuł skutki tych bolesnych wypadków.

W Tuluzie szerzyła się ta sama panika co w innych miastach. Po rewolucji z 4 września przepowiadano Francji zupełny upadek. Wszyscy domyślali się, że wkrótce lud zamknie kościoły i wyda wojnę szlachcie i księżom, wodząc za sobą wszędzie krwawą gilotynę.

Większa część arystokracji Tuluzy uznała za stosowne wynieść się cichaczem z kraju i szukać opieki u innych narodów.

Fryderyk widział, jak jego uczniowie znikali jeden po drugim. Teraz skromna płaca organisty musiała mu wystarczyć na utrzymanie domu i zaspokojenie potrzeb matki i żony.

Biedny artysta był zmuszony pukać nieraz do drzwi swych przyjaciół, aby pożyczyć od nich pieniędzy, których potrzebował i często widział, że ci bardzo niechętnie przychodzą mu z pomocą.

Fryderyk walczył teraz nie z kłopotami materialnymi lecz z nędzą; wszak wiemy, co to znaczy nędza w domu artysty.

Młody człowiek myślał nieraz o posagu Emeliny i o pieniądzach, które pożyczył teściowi.

Wreszcie nabrawszy odwagi — głód nawet wilka z lasu wypędzi — udał się do pani de Revilly, aby zażądać zwrotu choćby tylko części sumy, którą mu byli winni rodzice jego żony.

— Jak to — odpowiedziała ta ostatnia z oburzeniem, przybrawszy wielkopańską postawę — pan ośmiela się dzisiaj żądać ode mnie pieniędzy? Pan nie zastanowił się nad tym, co robi? A któż w obecnym położeniu posiada pieniądze? Nikt! W istocie, jesteśmy panu dłużni; bądź jednak spokojny, zwrócimy ci wszystko później, kiedy w kraju zapanuje spokój.

Fryderyk oddalił się przybity, nie przedstawivszy teściowej swego straszliwego położenia.

Dotychczas nie wyjawiał całej prawdy Emelinie, lecz swej matki nie mógł długo oszukiwać. Nie chcąc jednak martwić i niepokoić syna, pani Boissier udawała, że nic nie spostrzega.

Młody artysta przypomniał sobie, że obiecał przyjaciółom dać w październiku koncert. Lecz nie było już w Tuluzie baronowej de Cernac, jego najlepszej opiekunki i wielu jego przyjaciół. Cóż mógł zdziałać bez ich pomocy? Wszystko wskazywało na to, że koncert nie pokryje nawet wydatków.

Po wtóre Fryderyk był Francuzem i miał duszę i serce prawdziwego patrioty. Czyż powinien był myśleć o sprawieniu uroczystości swym współziomkom w chwili, kiedy jego ojczyzna ugodzona w samo serce, nurzała się we krwi pod stopami wroga?

Wszystko zmówiło się przeciw niemu.

W pierwszych dniach sierpnia pan de Revilly udał się do Paryża. Do Tuluzi wrócił dopiero w październiku.

Ci, co go znali bliżej, zauważyli, że postarzał się w jednym miesiącu o dziesięć lat. W czarnej brodzie wiły się tu i ówdzie białe pasemka; oczy nabrały głębi, bruzda na czole rysowała się wyraźniej niż przedtem, a w spojrzeniu, zwykle jasnym, widać było niepokój i troskę.

Jego podróż do Paryża nie należała chyba do przyjemnych. Lecz nikt nie wiedział, co go spotkało, nawet przed żoną zachował ścisłą tajemnicę.

Pan de Revilly doznał tego, co się przytrafia prędzej czy później każdemu grającemu na giełdzie.

Nie przygotowany na nagłe wypadki, stracił w kilku dniach wszystko, co mu zostało jeszcze z kapitałów, złożonych w jego ręce.

Tym razem ruina jego była zupełna. Obarczony mnóstwem długów, winien był nadto wiele łatwowiernym osobom, które zaufały jego zdolnościom finansowym. Jednym słowem stracił wszystko, nawet nadzieję podniesienia się ze strasznego upadku.

Póki trwały klęski, spadające jedna po drugiej na Francję, nikt nie upominał się o procenty, wypłacane dotychczas regularnie co pół roku. Wiedziano dobrze, że drogi zajął nieprzyjaciel i że wszelka komunikacja została przecięta; wierzyciele nie prześladowali dłużników, właściciele domów nie domagali się zapłacenia czynszów.

Z początkiem lutego, kiedy nadzieja bliskiego pokoju ożywiła wszystkie umysły, przysłano Emelinie zaproszenie na ślub jednej z jej przyjaciółek. Wskutek nieszczęśliwych wypadków, uroczystość ta została odłożona na

kilka miesięcy. Młodej kobiecie nadarzała się sposobność rozrywki i przerwania na chwilę monotonnego życia. Przyjęła zaproszenie w imieniu swoim i męża.

Ślub miał się odbyć za kilka dni. Emelinie zostawało niewiele czasu do przygotowania toalety. Wiedząc, że spotka na zebraniu najznacześnie w mieście osoby, nie chciała gorzej wyglądać, niż kilka pań, które znano powszechnie z wykwintności i dobrego smaku.

W garderobie znalazła wszystko, czego potrzebowała. Suknię wieczorową i balową przygotowała szwaczka w przeciągu dwu dni. Na spodzie szuflady leżała para bucików, które miała na nodze tylko raz, i trzewiczki z białego atlasu, całkiem jeszcze nie używane. Lecz brakło jej stosownych rękawiczek, a potrzebowała najmniej dwu par; również musiała kupić nowy kapelusz, najświeższej mody, gdyż wszystkie inne były staroświeckie, a za nic w świecie nie brałaby w uroczystości udziału, nie mając pewności, że nikt jej nie przewyższy pod względem elegancji.

Ułożyła w głowie cały rachunek: dwie pary rękawiczek, po cztery franki pięćdziesiąt jedna, dziewięć franków; kapelusz, czterdzieści franków. Wszystko, czterdzieści dziewięć franków, lub raczej pięćdziesiąt dla zaokrąglenia sumy.

Otworzywszy sakiewkę znalazła w niej dwa franki. Pomimo że dobrze wiedziała o swym stanie majątkowym, stała chwilę, przypatrując się smutnie monetom. Po chwili, podniósłszy szorstko głowę, mruknęła:

— Potrzebuję pięćdziesięciu franków i koniec. A jednak czuła jakiś niepokój.

Czy Fryderyk posiada tę sumę? Nie pragnęła kłótni w wigilię dnia, w którym obiecywała sobie wiele przyjemności. Wszedłszy szybko do pokoju męża, rzekła:

— Staralam się, aby na ten ślub wydać jak najmniej pieniędzy; spodziewam się, że uznasz mój rozsądek w tych okolicznościach. Ale sam wiesz dobrze, czego potrzeba młodej kobiecie. Oglądałam moje rękawiczki, wszystkie pomięte, a mój kapelusz całkiem niemożliwy do noszenia. Byłam wczoraj u modystki i mierzyłam kapelusik, w którym mi bardzo do twarzy. Musisz mi więc dać pięćdziesiąt franków na kapelusz i rękawiczki.

Milczał, patrząc na nią smutnie.

— Wszak chcesz, aby twoja żoneczka ładnie wyglądała, prawda? Przyciągnąwszy ją do siebie, otoczył ramieniem. Ona uśmiechała się, czekając odpowiedzi.

Złożył jej pocałunek na ustach. W oczach jego błyszczały duże łzy.

Nie zauważyła tego.

— Dasz mi je? — spytała pieszczotliwie. Spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

— Nie mogę — szepnął stłumionym głosem. Zerwała się gwałtownie; oczy jej zabłyśły.

— Nie możesz! — zawołała gniewnie.

— Emelino, posłuchaj mnie, błagam — rzekł łagodnie — nie mogę.

— Nie możesz! — przerwała ze złością — zawsze te same słowa na twych ustach, jak strofka powtarzająca się w piosence. Nie mogę, nie mogę! Ależ to prawdziwa bezczelność z twojej strony. Czy to twoja matka każe ci tak postępować? Rozumiem, pojmuję doskonale, chcecie mnie doprowadzić do rozpaczki, uczynić najniezwyklejszą z kobiet!

— O! Emelino, Emelino! — jęknął.

Ale ona ciągnęła dalej z wzrastającą gwałtownością:

— Więc mnie poślubiłeś, aby mnie pozbawić wszystkiego? Dlaczego to uczyniłeś? Trzeba mnie było zostawić u rodziców, gdzie nie odmawiałam sobie niczego!

— Emelino, jeszcze raz posłuchaj.

— Nie — odparła unosząc się coraz bardziej — nie chcę pana słuchać, nie wymagam żadnych wykrętów; wiem dobrze, jakbyś się pan tłumaczył.

Tu zatrzymała się na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza do wzburzonej piersi. Po chwili zaczęła wyniośle:

— Ja mam posag, mój panie, posag!

— Tak, posag — szepnął zbolalym głosem.

Nie miał odwagi odsłonić przed nią całej prawdy.

— I mam prawo żądać od pana pieniędzy — mam prawo wymagać tego, co mi się należy.

— Biedne dziecko — odparł Fryderyk boleśnie — gniew cię zaślepił i opanował. Znając mnie, wiesz, że miałabyś już te pieniądze, gdybym mógł ci je dać.

Mógł dodać, że dnia poprzedniego nie było już ani centyma w domu, że przed chwilą wyszedł, aby pożyczyć pięćdziesiąt franków, które oddał służącej na wydatki domowe, lecz zabrakło mu odwagi wtajemniczenia Emeliny w ich nieszczęśliwe położenie.

— Jestem z góry przekonana — odpowiedziała młoda kobieta ironicznie — że pan znajdzie zawsze dosyć wymówek do wytłumaczenia swego

skapstwa. Ciesz się, panie Fryderyku, zmęczyłeś mnie wreszcie; dość tego. Żądam separacji, rozłączymy się, ja powracam do rodziców.

Po tych słowach, wypowiedzianych głosem zimnym i stanowczym, opuściła pokój, zostawiając Fryderyka w osłupieniu.

RS

* * *

W kwadrans po tej scenie Fryderyk wszedł do pokoju swej matki.

Pani Boissier leżała w łóżku. Od kilku dni dolegały jej reumatyczne cierpienia. Zwróciła na syna głębokie i smutne oczy.

Młody człowiek był bardzo blady; nie mógł jeszcze przyjść do siebie po doznanym wrażeniu.

— Wszystko słyszałam — rzekła matka. Stłumił westchnienie i spuścił głowę na piersi.

— Okazała się niesprawiedliwa, okrutna, bez litości — zaczęła pani Boissier surowo — a ty przyjacielu, nic jej nie powiedziałeś, lub raczej brakło ci siły do odpowiedzi. Nazwała cię skąpym, ciebie! Kiedy mówiła ci o posagu, powinienesz jej być wszystko wyjawić. Och, wiem co zatrzymało słowa na twoich ustach; lecz widzisz, Fryderyku, są okoliczności, w których zbytek delikatności nazywamy głupotą. Jesteś za dobry, synu, tak, za dobry, a jednak nie chciałabym, abyś był inny.

Emelina zażądała od ciebie pięćdziesięciu franków; nie potrzebujesz mi mówić, dlaczego nie mogłeś spełnić jej prośby. Mogłabym ci przypomnieć, jak nierozsądnie działałeś przed waszym ślubem, lecz po cóż wracać do przeszłości? Zresztą, nie mam prawa czynić ci wyrzutów, bo byłeś przekonany, że dobrze robisz.

— Nie mogłem przewidzieć wydatków, moja matko. Niestety, jestem ofiarą tej przekłętej wojny.

— To prawda; ta straszliwa wojna pozbawiła cię zarobków; dziś widzisz lepiej, niż kiedykolwiek, jak cenne są oszczędności.

— Widzę to, widzę, a przede wszystkim czuję — szepnął młody człowiek głucho.

Po chwili milczenia matka zapytała:

— Gdzie Emelina?

— Nie wiem.

— Może w swoim pokoju?

— Nie. Po rozmowie ubrała się prędko i wyszła.

— Prawdopodobnie poszła do matki.

— Ażeby opowiedzieć, że pozbawiam ją najmniejszej rozrywki, że czynię ją nieszczęśliwą — zauważył gorzko Fryderyk.

— Kochany Fryderyku — odparła pani Boissier — nie oczerniaj twej żony, są rzeczy, których nie jest zdolna powiedzieć lub uczynić chociażby tylko przez dumę. Jeżeli ma dużo wad, ma i swoje zalety.

I ja jestem kobietą, mój drogi, i czuję się teraz pełna pobłażania.

Emelina nie wie, że znajdujemy się prawie w nędzy, a dowodem jest to, że przypomina ci o posagu i oskarża cię o skąpstwo. Sądząc, że odmawiasz jej pieniędzy, uniosła się; gdyby w takim wypadku twój zacny ojciec odpowiedział mi odmownie, czułabym się śmiertelnie zraniona.

Przypatrzmy się teraz położeniu twej żony: cieszyła się, że pójdzie z tobą na ślub przyjaciółki, lecz pragnąc dobrze wyglądać, musi kupić kapelusz i rękawiczki.

— Wiem to dobrze, moja matko! — zawołał młody człowiek — lecz jakże chcesz, bym to uczynił?

— Nie wymagam od ciebie przyjacielu, abyś zdziałał cud, ale Emelina, która jest młoda i piękna i nie chce mieć gorszej sukni od swych znajomych, będzie zmuszona pozbawić się tej przyjemności.

— A więc, moja mamó, nie pójdzie, na tym koniec.

— Dobrze. Ale przyjęła zaproszenie.

— Bez mego zezwolenia.

— To znaczy, że nie zezwalasz, aby się rozerwała i pobawiła?

— Wiem o tym, mamó; lecz sama przed chwilą zauważyłaś, że nie mogę zdziałać cudu.

— Przyznaję. A oto streszczenie moich wywodów: bez wątpienia Emelina zawiniła, obarczając cię wymówkami, lecz musimy ją usprawiedliwić.

Podczas gdy pani Boissier i Fryderyk rozmawiali, Emelina wchodziła do mieszkania matki.

Młoda kobieta była jeszcze bardzo podniecona.

— Co się stało? — spytała na wstępie pani de Revilly.

— Jestem oburzona.

— Dlaczego?

— Przyszłam wszystko mamie opowiedzieć.

— Słucham.

— Moja przyjaciółka, panna Cormarin, zaprosiła mnie na swój ślub.

— Wiem o tym. Cóż dalej?

— Prosiłam mego męża o nędzne pięćdziesiąt franków dla sprawienia sobie kapelusza i rękawiczek, których koniecznie potrzebuję.

— A więc?

— A więc, moja mamó, odmówił mi ich stanowczo.

— To niepodobna.

— Zaręczam ci, mamó.

— Emelino, nie jestem jeszcze przekonana, pomimo twego zaręczenia.

— Jak to, moja mamó — zawołała młoda kobieta — więc mi nie wierzysz?

— Nie wątpię o prawdziwości twych słów, Emelino, lecz pozwól wyjaśnić ci moje zdanie. Sądzę, że mam słuszość: prosiłaś twego męża o pieniądze, a ponieważ ci ich nie dał, oskarżyłaś go o zbytnią oszczędność. A jeżeli on w istocie nie może zaspokoić twych żądań?

— No proszę, w to nie uwierzyłabym nigdy!

— Dlaczego nie chcesz wziąć tego pod uwagę?

— Dlaczego? A to dobre! Bo mój mężulek ma pieniądze, które chowa.

Pani de Revilly potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— Więc mama sądzi, że ja nie wiem, co się dzieje wokoło mnie? Więc mama sądzi, że ja sobie z niczego sprawy nie zdaję? — ciągnęła Emelina z rozdrażnieniem. — Widzę od dawna, że żyjemy jak nędzarze, toteż nasze wydatki nie muszą być zbyt wielkie. Powtarzam mamie, że mój mąż jest skąpcem. Jestem nieszczęśliwa.

I zaczęła płakać.

— Emelino — odparła pani de Revilly — moja opinia o twym mężu jest całkiem inna niż twoja. Ja wiem, że Fryderyk jest hojny i gdyby mógł, byłby nawet rozrzutny. Ty twierdzisz, że ma pieniądze i chowa je; ja zaś mówię i twierdzę, że znajduje się w wielkim niedostatku.

Emelina z kolei potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Jesteś tego pewna, mamó? — spytała.

— Powiem ci więc całą prawdę — rzekła pani de Revilly — ażeby was troje wyżywić i utrzymać, Fryderyk od kilku miesięcy robi długi.

— Pożycza?

— Tak jest.

— Skądże mama ma tak pewne wiadomości?

— Dowiedziałam się tego od dwóch osób, którym twój mąż winien jest po kilkadziesiąt franków.

— Nic nie rozumiem.

— Przecież wiesz dobrze, że Fryderyk stracił prawie wszystkie lekcje, a skromna płaca organisty nie wystarcza mu na utrzymanie waszego gospodarstwa.

— W takim razie cóż uczynił z moim posagiem? Pani Revilly poczerwieniała aż po uszy.

— Jak to, Emelino, więc nie wiesz o niczym? — wykrztusiła.

— Nic nie wiem, moja mamó, lecz pragnęłabym się wreszcie dowiedzieć.

— Zresztą, cóż mam przed tobą ukrywać? Mąż twój nie otrzymał posagu.

— Ach! Nie dostał mego posagu! — powtórzyła młoda kobieta w osłupieniu.

— Od twego ślubu byliśmy w ciągłych kłopotach — zaczęła pani de Revilly, usiłując się wytłumaczyć.

Emelina nie pozwoliła jej skończyć.

— Kiedy wychodziłam za pana Boissier — rzekła — posiadał kilkanaście tysięcy.

— Tak, lecz kupił ci meble, klejnoty.

— Wiem, ile to wszystko kosztowało; zostało mu jeszcze około czterech tysięcy franków.

Szanowna matrona nie wiedziała na razie, co odpowiedzieć. Po chwili odparła:

— Każdy ślub pociąga za sobą dosyć wysokie wydatki; pan Boissier zapłacił...

— Krótko mówiąc, moja mamó — młoda kobieta żywo przerwała — mój mąż pokrył wszystkie wydatki.

— Tak, lecz przy najbliższej sposobności...

Po krótkim milczeniu, Emelina odezwała się poważnie:

— Dziękuję ci mamó, żeś mi to powiedziała; przyznaję, że zawiniłam względem Fryderyka i przykro mi, że miałam o nim złe mniemanie. Teraz zwrócę się nie do niego lecz do ciebie.

— Żądasz ode mnie pieniędzy?

— Naturalnie, od ciebie i od mego ojca, ponieważ jesteście mu dłużni.

— Na nieszczęście Emelino, znajdujemy się w tej chwili w tym samym położeniu co i pan Boissier. Twój ojciec również był zmuszony zaciągnąć kilka pożyczek, a o pieniądze teraz tak trudno i trudno o osoby, które by przyjacielowi chciały dopomóc. Ach! Ta wojna sprawiła nam wiele złego.

Nasz dom zamknięty, nie przyjmujemy gości, ja sama nie odwiedzam nikogo. Musiałaś to od dawna zauważyć, Emelino. Gdzież pójde? Nie mam bucików, ani kapelusza, ani sukni...

— To smutne — rzekła córka.

— Straszliwie smutne, moja droga — dodała matka. Młoda kobieta podniosła się z krzesła.

— Już odchodzisz?

— Tak jest, muszę wracać do domu. Do widzenia, mamó — rzekła Emelina zimnym głosem.

— Do widzenia, moja duszko.

Młoda kobieta wyszła z pokoju. W oczach jej błyszczały łzy, pierś była wzburzona. Przechodząc przez plac Lafayette, smutnie rozmyślała. Przyjęła już zaproszenie; czy rzeczywiście nie będzie mogła brać udziału w uroczystości? Jakże wytłumaczyć swą nieobecność? Co przyjaciółki na to powiedzą? Myśląc o straconej przyjemności czuła, że łkanie rozrywa jej pierś.

Nagle przyszła jej myśl udania się do Heleny Surmain. Będąc pewna, że ta ostatnia wyciągnie ją z kłopotliwego położenia, zawróciła po krótkim namyśle ku domowi młodej wdowy.

Znalazszy się przed drzwiami, prowadzącymi do mieszkania przyjaciółki, zatrzymała się i po chwili wahania zeszła ze schodów.

Teraz zdążyła do siebie szybkim krokiem.

— Czy mój mąż wyszedł? — zapytała wchodząc Magdaleny, starą służącą pani Boissier.

— Nie, proszę pani — odparła zapytana.

— Gdzie się znajduje?

— W pokoju pani Boissier.

Młoda kobieta, przeszedłszy salon, zapukała do drzwi pokoju swej teściowej.

— Proszę wejść! — dał się słyszeć głos Fryderyka. Otworzywszy drzwi, weszła do pokoju.

Młody człowiek jednym ruchem zerwał się z kanapki.

Ona zbliżyła się powoli.

— Czy mnie pocałujesz? — spytała.

Krzyk radości wyrwał mu się z piersi, a objąwszy ją ramionami, przycisnął ją gorączkowo do serca i dwie łzy spłynęły mu po policzkach.

Chora, usiadłszy na łóżku, patrzyła na nich z czułością. Emelina zaczęła:

— Byłam u matki, którą prosiłam o pieniądze...

— I...?

— Wracam z niczym; lecz pomimo tego bardzo szczęśliwa z tych odwiedzin.

— Ach!

— Dowiedziałam się od mej matki wielu nowych rzeczy. Fryderyku, dlaczego ukrywałeś przede mną, że pokryłeś wszystkie koszty naszego ślubu i nie otrzymałeś mego posagu? Wiedząc o tym wcześniej, nie musiałabym żałować mych słów i prosić o przebaczenie.

— Ach! — zawołała pani Boissier.

— Emelino, moja ukochana — odparł młody człowiek głosem drżącym od wzruszenia — ja ci przebaczam i kocham cię zawsze jednakowo.

— Po drodze namyśliłam się i nie pójdziemy na ślub panny Cormarin — przemówiła młoda kobieta.

— Dobrze, moja córko, bardzo dobrze — rzekła pani Boissier. Emelina, odwróciła się żywo i przystąpiła do łóżka.

— Wybacz mi, droga matko — odezwała się — że nie zapytałam natychmiast, jak się dziś czujesz. Czy lepiej ze zdrowiem?

— Dziękuję ci, moja droga; odkąd jesteś przy mnie, zdaje mi się, że już całkiem zdrowa.

I ująwszy za rękę Emelinę, ciągnęła:

— Już dawno nie podałaś mi czoła, moja córko; może pozwolisz, bym cię dziś ucałowała?

— O, matko! — szepnęła młoda kobieta, schyliwszy głowę. Składając pocałunek na białym czole, pani Boissier szepnęła jej do ucha:

— To próba, moje dziecko, której nikt tu na ziemi uniknąć nie może; lecz nadejdą jaśniejsze dni. W twych rękach trzymasz szczęście twoje i twego męża. Kochaj go, moje dziecko! Przywróć mu natchnienie, które utracił, dodaj mu odwagi do pracy, a uczyni cię bogatą i szczęśliwą!

* * *

Wieczorem pani Boissier oświadczyła, że czuje się zupełnie dobrze.

— Jutro rano na pewno wstanę — rzekła synowi. Rzeczywiście, nazajutrz ubrała się przed godziną dziesiątą. Do śniadania siadła przy stole razem ze swymi dziećmi.

O godzinie pierwszej Fryderyk wyszedł z domu. Emelina, po długiej rozmowie z matką, udała się do swego pokoju. Pani Boissier przywołała służącą.

— Magdaleno — rzekła — pomożesz mi się ubrać. Magdalena zdziwiła się bardzo.

— Jak to, czy pani tak nie pozostanie? — zapytała, wskazując na skromną suknię pani Boissier.

— Nie. Chcę wyjść na przechadzkę.

— Co, pani chce wyjść? — zawołała służąca. — Pani jeszcze słaba i cierpiąca.

— Czuję się dziś bardzo silna — odparła staruszka. — Zresztą muszę złożyć jedną wizytę, a po wtóre jestem pewna, że mi ta mała przechadzka posłuży. Spieszmy się, bo pragnę powrócić przed Fryderykiem. Nie chcę, aby wiedział, że wychodziłam.

Służąca, w złym humorze, pomagała pani przy ubieraniu.

— Niech kto sobie coś podobnego wyobrazi! — mruzczała przez zęby. — Wychodzić na takie zimno, kiedy się jeszcze powinno leżeć w łóżku. Tylko niech się pani nie zaziębi — dodała raz jeszcze, odprowadziwszy panią Boissier aż na schody.

Staruszka wróciła po godzinie. Pomimo wszelkich ostrożności zimny wiatr przeniknął ją aż do kości. Trzęsła się jak w febrze.

— Aha! — rzekła Magdalena — pani wraca w ładnym stanie, cała zmarznięta i sina.

— Cicho, cicho, Magdaleno — uspokajała ją pani Boissier — rzeczywiście, zimno mi trochę, ale to nic, rozgrzeję się natychmiast.

— Na szczęście zapaliłam w kominku dobry ogień.

Pani Boissier udała się do swego pokoju, a rozgrzawszy się nieco, włożyła codzienną suknię i kazała Magdalenie uprzedzić Emelinę, że pragnie z nią pomówić.

Po chwili młoda kobieta zjawiła się w pokoju.

— Moja córko — odezwała się pani Boissier — uznałaś wczoraj, że powinnaś zrobić ofiarę, nie przyjmując zaproszenia panny Cormarin; dałaś tym dowód rozsądku. Wierz mi, że tak twój mąż jak i ja szczerze ci za to zwycięstwo nad samą sobą jesteśmy wdzięczni. Lecz ponieważ masz rzadko sposobność rozerwania się, ofiara twa nabiera jeszcze większej wartości w moich oczach. Przykro ci, że nie możesz iść na ten ślub, wszak prawda?

— Skłamałabym, mówiąc inaczej.

— A więc, moja córko, nie pozbawiaj się przyjemności, prawie koniecznej w twym wieku; pójdziesz na ten ślub...

— Ależ moja mammo — szepnęła młoda kobieta.

— Oto moja kochana — przerwała staruszka, wręczając jej trzy sztuki po dwadzieścia franków — pieniądze potrzebne ci do kupienia tych kilku drobnostek.

Emelina osłupiała. Patrząc na złoto, leżące na ręce, nie mogła uwierzyć swym oczom.

Pani Boissier ciągnęła dalej:

— Gdyby cię Fryderyk pytał, odpowiesz mu po prostu: „Moja dobra matka podarowała mi kapelusz”.

— O! Tak, jakaś ty dobra mammo! — zawołała Emelina, objawszy matkę Fryderyka za szyję.

Biedna staruszka myślała, z oczami pełnymi łez: Jeszcze są dobre strony w tym sercu; przyzwyczajwszy się do dostatku, pragnie bogactwa. Gdyby syn mój był zamożny, kochałaby go!

— Moja matko — rzekła Emelina — wydam tylko czterdzieści dziewięć franków i oddam ci resztę.

— Weź sobie wszystko, drogie dziecko — odpowiedziała słodko pani Boissier. — Powinnaś mieć trochę pieniędzy w sakiewce.

Młoda kobieta podziękowawszy matce serdecznie, opuściła ją, aby się ubrać i porobić sprawunki.

Nazajutrz był ślub panny Cormarin. Wieczorem Fryderyk rzeki do matki:

— Mama dała pieniądze Emelinie.

— Tak — odpowiedziała.

— Sześćdziesiąt franków?

— Tak jest.

— Moja mammo, skądże wzięłaś te pieniądze?

— Czy koniecznie mam ci to powiedzieć?

— Oczywiście że nie, moja mamó.

— A więc przyjacielu, wyobraź sobie, że pieniądze te dawno komuś pożyczyłam i że zdecydowałam się upomnieć o nie.

— Czyli, kochana mamó, chciałaś, aby Emelina wzięła udział w ślubie swej przyjaciółki?

— Tak, mój synu. Twoja żona zasłużyła na nagrodę. Pójdziecie tam oboje, a ty Fryderyku zapomnisz o troskach i kłopotach, ażeby Emelina, widząc twoją wesołość, mogła swobodnie podzielać radość innych osób.

Pani Boissier położyła się w gorączce, czując na piersiach nieznośny ucisk. Skóra jej była sucha i gorąca, a pomimo tego czuła we wszystkich członkach dotkliwie zimno; nie skarżyła się z obawy zaniepokojenia syna.

Rano, kiedy Fryderyk przyszedł się przywitać, zastał ją już na nogach. Przyjęła go uśmiechając się lekko.

— Czy Emelina już się ubiera? — zapytała.

— Tak, kochana mamó.

— O której godzinie pójdziecie do kościoła?

— Najwcześniej o dziesiątej.

— W chwili odjazdu chcę widzieć, jak twoja żona, a właściwie jak oboje będziecie pięknie wyglądać.

— Więc mama mogła przypuszczać, że nie przyjdziemy jej pożegnać?

Po krótkim milczeniu Fryderyk przemówił:

— Droga mamó, zauważyłem, że jesteś bardzo zmęczona, czy się dobrze czujesz?

— Tak, czuję się całkiem dobrze.

— Jednak moja mamó...

— Proszę cię, nie niepokój się wcale.

— Bo gdybyś była niezdrowa, poszedłbym natychmiast zawezwać lekarza.

— Cicho, dzieciaku! — odparła siląc się na wesołość. A popchnąwszy go lekko ku drzwiom: — Już po dziewiątej — dodała — pospiesz się synu.

Młody człowiek oddalił się zupełnie uspokojony. O godzinie dziesiątej powrócił w towarzystwie Emeliny. Pani Boissier przypatrywała im się długo.

— Jakże mnie mama ocenia? — spytała młoda kobieta.

— Śliczna jesteś, moja córko, bardzo ci do twarzy w tej sukni.

— A kapelusz?

— Elegancki i ubrany nadzwyczaj gustownie. Emelina promieniała z zadowolenia.

— Oboje mi się podobacie — dodała staruszka. — Idźcie moje dzieci i bawcie się dobrze.

Ucałowawszy ją opuścili oboje pokój.

Po chwili pani Boissier położyła się do łóżka.

— W istocie jestem chora — szeptała — na szczęście miałam dość siły, aby ukryć moją słabość przed nimi.

Młodzi ludzie wrócili dopiero nazajutrz, nad samym ranem. Starali się jak najmniej sprawić hałasu, aby nie zbudzić pani Boissier i Magdaleny. Lecz stara matka nie spała. Chociaż stąpali bardzo lekko, usłyszała posadzkę trzeszczącą pod ich nogami.

— Pewnie zmęczeni, potrzebują wypoczynku — pomyślała. — Po cóż pozbawiać ich snu, potrzebnego przede wszystkim Fryderykowi.

Dopiero w południe ujrzał młody człowiek swą matkę i dostrzegł, że jest osłabiona i zmieniona.

— Dlaczego mama nie przyznała mi się wczoraj otwarcie, że słaba? — zapytał smutnie. — Dlaczego nie posłano po mnie służącej? To źle, bardzo źle.

— Nie łajaj mnie Fryderyku, nie przebaczyłabym sobie nigdy, gdybym wam zepsuła zabawę.

Młody człowiek pobiegł po doktora.

Badając chorą, lekarz był wyraźnie zakłopotany.

— Czy zachodzi jakie niebezpieczeństwo, doktorze? — spytał Fryderyk, który śledził wyraz twarzy lekarza.

— Nie mogę jeszcze niczego twierdzić na pewno — odparł ten ostatni. — Musimy poczekać kilka dni.

Wypisawszy receptę, oddalił się mówiąc:

— Wrócę jutro.

Tak upłynęło osiem dni, podczas których stan zdrowia chorej nie zmienił się w niczym.

Fryderyk i Emelina, każde po kolei, spędzali noce przy łóżku matki. Młoda kobieta, dowiedziawszy się, że teściowa, acz jeszcze cierpiąca, wyszła na miasto po pieniądze dla niej, poczuła się wzruszona i starała się okazać, że nie jest niewdzięczna.

Jak w pierwszych dniach poślubnych, otaczała matkę Fryderyka względami i troskliwością.

Jednej nocy, Fryderyk, siedząc przy łóżku chorej, zauważył, że oddycha ona z dużą trudnością.

— Kochana mammo — odezwał się — może byś zażyła tabaki?

— Nie, nie, to niepotrzebne.

— Zaręczam, że by ci to pomogło.

Nie znajdując na razie odpowiedzi, potrząsnęła przecząco głową.

— Mammo — nalegał młody człowiek — gdzie twoja tabakierka, przyniosę ci ją zaraz.

— Moja tabakierka? — powtórzyła — nie wiem.

— Mammo, odkąd zachorowałaś, nie widziałem jej ani razu w twym ręku.

— Moje dziecko, nie zażywam więcej.

— Dlaczego, mammo? Jak to! — ciągnął dalej — więc odzwyczaiłaś się od tego niewinnego nałogu?

— W moim wieku trzeba panować nad swymi wadami... Ona nie mówi prawdy — pomyślał Fryderyk. I odezwał się raz jeszcze: — Mammo, powiedz nareszcie, gdzie twoja tabakierka?

— Odpowiedziałam ci już, mój synu. Wtedy on ujął w ręce wychudłą dłoń chorej.

— Mammo — wymówił głosem powolnym i wzruszonym — nie chciałaś mi się przyznać, skąd dostałaś pieniądze dla Emeliny; dziś nie potrzebuję twego wyjaśnienia.

— Co chcesz powiedzieć?

— O! Mammo, ten klejnot, pamiątkę po minionym szczęściu, sprzedałaś!

— Pragnęłam ukryć to przed tobą. A więc tak, sprzedałam. Westchnął i zakrył twarz rękami.

Chora rzekła:

— Tej pamiątki po minionym szczęściu nie mogłam lepiej użyć, jak na terazniejsze szczęście mych dzieci.

Młody człowiek zapłakał głucho.

— Zresztą — dodała — nie chcę już zażywać tabaki; trzeba robić małe oszczędności.

— Ach! Mama nie wie, że mi z bólu serce pęka! — zawołał Fryderyk.

— Przepraszam cię, moje dziecko.

Przyciągnęła go do siebie, a przytuliwszy do piersi, otarła łzy gorącymi pocałunkami.

* * *

Stan pani Boissier stawał się z każdym dniem groźniejszy. Lekarz nie ukrywał przed Fryderykiem, że nie zdoła ocalić jego matki.

Chora nie miała żadnych złudzeń; wiedząc, że koniec jej życia bliski, przeczuwała zbliżającą się śmierć.

Na godzinę przed śmiercią ucałowała tkliwie Fryderyka i jego żonę. A ponieważ oboje byli zrozpaczeni, pocieszała ich długo, jak jej nakazywało macierzyńskie serce.

Widoczne było, że jej jedyną troską jest szczęście i przyszłość jej dzieci.

Emelinie rzekła:

— Córko, nie zapominaj mych słów; wyryj je w twojej pamięci. Ufaj zawsze w siły i wytrwałość twego męża; musi on znieść jeszcze wiele ciężkich prób, dodaj mu odwagi do stawienia czoła przeciwnościom. Wiem, że Fryderyk będzie zawsze dobrym mężem, że jego jedynym marzeniem jest twoje szczęście. Uzbrójcie się odwagą, moje dzieci i nie zrażajcie się trudnościami, które spotykać będziecie w życiu na każdym kroku.

Niestety! Chciałabym żyć dłużej, aby was zachęcać do pracy moimi radami i moim doświadczeniem. Bóg nie chce tego... Wie On, co czyni, bo w jego ręku leży wasza przyszłość! Ja mam nadzieję w jego niewyczerpaną dobroć.

Umarła, z oczami zwróconymi na Emelinę, szepcząc:

— Kochaj twego męża!...

* * *

Po dwóch miesiącach walki zwyciężono Komunę, uwalniając Paryż od ciągłej trwogi. Nie otrząśnięto się jeszcze z niepokoju, lecz względny porządek zapanował w mieście.

Ktoś rozgłosił plotkę, że w sierpniu i we wrześniu poprzedniego roku, pan de Reville poniósł znaczne straty na giełdzie w Paryżu. Słowa te, przenoszone z ust do ust przestrzegały każdego, że położenie pana de Reville jest bardzo niepewne. Wiadomość ta doszła najpierw do jednej z osób, które powierzyły swoje kapitały ojcu Emeliny.

Natychmiast ta osoba upomniała się o sześćdziesiąt tysięcy franków.

Pan de Reville był od dawna przygotowany do walki, lecz nie chcąc przyznać się natychmiast do zupełnego bankructwa, zażądał zwłoki. Nie zgodzili się na to wierzyciele.

Obawa straty pobudziła ich do stanowczego działania, tak że pan de Reville ujrzał się otoczony ze wszystkich stron naraz.

I pewnego dnia rozeszła się wieść, że państwo de Reville zniknęli, nie wtajemniczywszy w powód swego wyjazdu córki ani zięcia.

Powoli dowiedziano się, że udali się najpierw do Paryża, skąd sprzedawszy za dziesięć tysięcy franków kilka obrazów, ocalonych przez pana de Reville, wyjechali do Ameryki, spodziewając się odzyskać tam stracony majątek. Ich posiadłość w Aveyron i kosztowne meble oddano w ręce licznych wierzycieli. Z całego blasku, z całej świetności, o którą się pani de Reville tak długo i usilnie starała, pozostało jedynie wielkie rozczarowanie. Kilku uprzywilejowanych wierzycieli podzieliło się smutnymi resztkami, innym pozostał tylko żal.

Emelina doznała prawdziwego zmartwienia, czując, jak małe miejsce zajmowała w sercu rodziców. To poniżenie zraniło jej dumę i miłość własną.

Fryderyk usiłował ją pocieszyć, lecz nie zdołał uspokoić serca, przepelnionego goryczą.

— Poślubiłeś mnie bez posagu — mówiła ze szczególnym brzmieniem głosu.

— Poślubiłem moją drogą Emelinę, moją żonę ukochaną, którą ubóstwiam!

— Mniejsza o to; rodzice moi oszukali cię, a właściwie oszukali nas oboje.

— Emelino, trzeba zapomnieć o tym i przebaczyć.

— Są rzeczy, których się nigdy nie przebacza.

— Jesteś za piękna, aby nie być dobra!

— Lecz patrz tylko na życie, jakie mi stworzyli! Nie śmiem pokazać się na ulicy; kiedy kto na mnie patrzy, zdaje mi się, że spostrzegam na jego ustach drwiący i złośliwy uśmiech i czuję płomienie, bijące mi na twarz. Straciłam wszystkie przyjaciółki; te, które utrzymywały że mnie kochają, odwracają się dziś ode mnie. Dawniej lubiłam Tuluzę, dziś jej nienawidzę i mam tylko jedno życzenie: opuścić jak najprędzej to obrzydłe miasto.

— Gdzie się udamy po opuszczeniu Tuluzy?

— Do Paryża.

— Ażeby przenieść się do Paryża, trzeba pieniędzy, bardzo wiele pieniędzy, bo życie tam jest droższe niż tutaj.

— Tak, lecz tylko w Paryżu może artysta z twoim talentem zdobyć majątek i sławę. Tylko Paryż daje rozgłos, tylko on otacza czcią genialne umysły. Tam będziesz sławniejszy z talentem niż tu jako geniusz. W Tuluzie, jak w innych miastach prowincjonalnych, wszystko ciasne i zamknięte; w Paryżu można rozwinać swe zdolności. W Paryżu jest się wolnym od śmiesznych przesądów, tam można żyć i oddychać, podczas gdy tu trzeba się dławić, usługując innym i każdy czuje się już za życia pogrzebany. O! Paryż, Paryż! — zawołała z egzaltacją — coś w rodzaju miłości pociąga mnie ku niemu!

— Ileż ja razy zwracałem spojrzenie ku temu błyszczącemu miastu — westchnął Fryderyk — lecz namyślałam się jeszcze...

— Po cóż ta niepotrzebna rozwaga?

— Żeby nie przygotować sobie gorzkiego rozczarowania. Widząc trudności, które mnie tam czekają, nie mogę działać zbyt szybko.

— O! Bez odwagi i przedsiębiorczości nie dojdiesz do niczego.

— Przed zdobyciem jakiegoś celu, moja droga, trzeba żyć. Los jest ślepy i głuchy, nie wystarczy wezwać go, aby zjawił się natychmiast. Pierwsze dni, a nawet tygodnie i miesiące są często niemożliwe do zniesienia. A ja nie mogę na nic liczyć, tylko na siebie samego, na moje siły i zdolności. Najbardziej zaś lękam się niedostatku dla ciebie.

— A tu — wzruszyła lekko ramionami — czyż nie brak nam wszystkiego?

— Zapewne, mieliśmy i tu dni bardzo ciężkie — odparł młody człowiek — lecz przyszłość nasza przedstawia się jaśniej. Odzyskałem kilku moich

dawnych uczniów, inni wkrótce powrócą. Mamy więc zapewnioną egzystencję, a da Bóg i dostatek zawita znowu w naszym domu.

— To nie jest bogactwo.

— Nie mam już tych marzeń, co dawniej, Emelino.

— Jeśli nie jesteś ambitny dla siebie, to bądź nim dla mnie.

— Wszak wiesz, moje serce, że moim jedynym pragnieniem jest uszczęśliwić ciebie.

— A więc opuśćmy Tuluzę i jedźmy do Paryża.

— Pojedziemy, jeżeli tego wymagasz, Emelino. Lecz zobaczysz, jak nasze życie będzie tu ciche i spokojne, podczas gdy w Paryżu czeka nas ciągła niepewność. Tu mam miejsce, na razie pięciu uczniów a każdego roku mogę dać koncert.

— Czy w Paryżu nie możesz mieć uczniów i dawać koncertów?

— To możliwe, Emelino. Lecz przybywając, nie będę miał ani uczniów ani miejsca, a jak ci wspomniałem na początku, potrzebujemy pieniędzy, dużo pieniędzy.

— A jednak gdybyśmy mieli mój posag!

— Nie myśl o tym. Obejdziemy się i bez niego.

— Musimy się obejść — westchnęła. — Tak, lecz to nie pozwala nam opuścić natychmiast Tuluzy.

— Więc nie odstępujesz od tego zamiaru?

— Nie.

— Nie obawiasz się...

— Nie lękam się niczego — przerwała żywo — wolę ubóstwo w Paryżu niż majątek w Tuluzie; od dzisiaj musimy oszczędzać, bardzo oszczędzać, będziemy żyli jak robotnicy z przedmieścia św. Cypriana. Nie kupuję niczego, nie wychodzę więcej z domu. — Zresztą, nie robi mi to przykrości, gdyż nie mam już kogo odwiedzać. Zamykam się jak ptak w klatce: jeżeli chcesz, będę rozporządzała naszymi funduszami, a w chwili stosownej powiem ci: jedźmy! Wtedy sprzedamy wszystko z wyjątkiem sukien i bielizny. Przykro mi będzie pozbyć się tych pięknych mebli... Ha! Trudno! Brać ich ze sobą nie możemy.

— Nie zmienisz swego postanowienia?

— Nie.

— A więc pojedziemy.

Młoda kobieta radośnie krzyknęła, rzuciwszy się na szyję mężowi. Spodziewała się dłuższego oporu.

— Czy wiesz — zaczęła — że Helena Surmain wyjeżdża również z Tuluzy?

— Pierwszy raz się o tym dowiaduję. Gdzie zamierza się udać?

— I ty pytasz? Do Paryża. Sprzedawszy swój dom na placu de Brienne, chce nabyć kamienicę w Paryżu lub zakupić wartości ruchome. W ten sposób będzie miała z osiem tysięcy franków rocznego dochodu, co jest majątkiem dla jednej kobiety.

— Pani Surmain wyjawiała ci powód przeniesienia się do Paryża?

— Nie, lecz przypuszczam, że nudzi się w Tuluzie.

RS

* * *

W rok później, to znaczy w sierpniu 1872, Fryderyk i Emelina przybyli do Paryża.

Młoda kobieta opuściła Tuluzę bez żalu, lecz mąż jej nie mógł otrząsnąć się z niepokoju. To, co go oczekiwało, było osłonięte nieznaną ciemnością, tajemniczą, ukrywającą się poza gęstą zasłoną.

Zachęcony przez Emelinę, która przesuwiała kolejno przed swymi oczami rozkosze przyszłego szczęścia, odzyskał dawny zapał i stanowczość. Natchnienie wróciło, a pracując wytrwale przez cały rok, skończył operę komiczną, tak że dzieło to wymagało tylko kilku poprawek w orkiestracji.

Młody kompozytor wjeżdżał w mury wielkiego miasta z tym ostatnim dziełem, a prócz tego miał w zapasie symfonię „Pory roku” i ze dwanaście nie wydanych melodii. Jak widzimy, wysiłki jego były wielkie a skutek pracy pomyślny.

Teraz znajdował się w środku areny, otwartej dla wszystkich zapaśników. Walka miała się wkrótce rozpocząć. Mógł powiedzieć, jak nasi wielcy przodkowie: „Śmierć lub zwycięstwo!”

Oszczędności z ostatniego roku i pieniądze, otrzymane ze sprzedaży mebli, wynosiły razem osiem tysięcy franków.

Emelina była pewna, że to niewyczerpany skarb.

Zaraz na wstępie wynajęli na dwa tygodnie dwa pokoiki w hotelu na przedmieściu Montmartre. Zgodzili się na to z konieczności, bo Emelina nie wyrzekła się myśli posiadania własnego mieszkania i mebli.

Po trzech dniach odpoczynku, młoda kobieta oparta na ramieniu Fryderyka, udała się na poszukiwanie mieszkania i pomimo że spotykali stosowne lokale na każdym kroku, wszelkie usiłowania nie odniosły na razie pożądanego skutku, bo gdy jedno z nich odstręczały Emelinę, drugie przerażały Fryderyka wygórowaną ceną.

Młoda kobieta postanowiła, że zamieszkają na prawym brzegu Sekwany, jak najbliżej środka miasta i wielkich bulwarów; Ternes, Batignolles wydawały jej się zbyt oddalonymi, a przede wszystkim lękała się Montmartre, bo tam trzeba zawsze iść do góry co jest męczące.

Zwiedzając stare zabytki, podziwiając klejnoty w Palais-Royal, zatrzymując się przed wystawami sklepów, które zachwycały Emelinę, znaleźli wreszcie po trzech tygodniach mieszkanie na drugim piętrze przy

ulicy Montholon, składające się z trzech małych pokoików i kuchni, tylko salonik miał jedno okno, wychodzące na ulicę.

Nie o takim apartamencie marzyła młoda kobieta. Lecz czując się już wyczerpana ciągłymi poszukiwaniami i pytaniami, oświadczyła, że mieszkanie jest dla nich całkiem odpowiednie. Zresztą mogli w każdej chwili wyprowadzić się, ofiarowawszy poprzednio pięćdziesiąt franków stróżowi.

Młody człowiek zapłacił za mieszkanie 850 franków rocznie, a złożywszy w ręce stróża dwadzieścia franków zadatku i nadto pięćdziesiąt za tę dogodność, że mógł się już nazajutrz wprowadzić, odetchnął swobodnie, widząc, że na razie kłopoty skończone.

Właściwie mieszkanie to wynajmowano dotychczas za osiemset franków, lecz stróż podwyższył je, podając jako przyczynę, że jego nowi lokatorowie spodziewają się dziecka. Zauważył dobrze, że młoda kobieta jest brzemienna.

Od miesiąca swego pobytu w Paryżu Fryderyk i Emelina postępowali bardzo ostrożnie; wydali dopiero pięćset franków.

Nazajutrz kupili meble, które uszczupliły pugilares Fryderyka o dwa tysiące franków. I w tym wypadku okazali się rozsądni. Meble przeniesiono na ulicę Montholon i młode małżeństwo wprowadziło się do nowego mieszkania.

Magdalena, stara służąca z Tuluzy, nie miała odwagi opuścić rodzinnego miasta. Zanim młodzi ludzie mogli sobie pozwolić na prawdziwą sługę, przyjęli dochodzącą, następczoną przez owocarkę z ulicy.

— Cierpliwości i rozwagi — powtarzał Fryderyk żonie bez ustanku, zwłaszcza wtedy, gdy pragnęła większego wydatku.

Zdarzało się, że Emelina ustępowała teraz mężowi.

— Później — mówiła w duchu — powetuję to sobie, kiedy już będziemy bogaci.

Widziała swego męża na drodze do zaszczytów, do sławy, która pochlebiała jej dumie, do majątku, który obiecywał tyle przyjemności.

Młody człowiek spotkał wiele osób z Tuluzy, które mieszkały w Paryżu, między innymi znajomych mu artystów. Przed tymi ostatnimi nie ukrywał powodu swych przenosin do stolicy Francji.

Wiedzieli oni, że Fryderyk ma prawdziwy talent; przedstawiając mu liczne trudności i przeszkody, z którymi musiał się łamać, zachęcali go jednocześnie do pracy i wytrwałości.

A jednak młody artysta wahał się jeszcze z przedsięwzięciem pierwszych kroków. Widząc swoją samotność i czując potrzebę potężnej opieki, niepokoił się jak debiutant i ogarniała go coraz większa trwoga.

Pewnego dnia Emelina rzekła:

— Zdaje mi się, że nie zajmujesz się wcale swoją operą komiczną; czy prędko będą ją grali w teatrze? Tak bym rada nacieszyć się twym powodzeniem!

Młody człowiek uśmiechnął się lekko.

— Moje serce — odparł — nie tak to łatwo wystawić operę, jak sądzisz. Wiem dobrze, że nieraz trzeba czekać kilka lat. Możesz się domyślić, że w takim mieście jak Paryż, nie będą sobie wrywali mego dzieła.

— A przecież słyhać nieraz o bardzo lichych pracach.

— To możliwe, lecz mimo tego te, które czekają u drzwi, nie zawsze doznają łaskawego przyjęcia.

— Jeżeli nie zapukasz do tych drzwi, Fryderyku, to bądź pewny, że się nie otworzą dla ciebie.

— Masz słuszność, Emelino. Jutro uzbroję się w całą moją odwagę i zabiorę się poważnie do dzieła.

— Jak bym ja chciała, żebyś był już znany i sławny!

— Jesteś więc zadowolona?

— Tak jest, pocałuj mnie. Fryderykowi powiedziano:

— Przede wszystkim musi pan być poparty przez jeden z wielkich dzienników. Wpływ dziennikarzy jest ogromny; jeżeli oni żądają czegoś, nikt nie śmie im tego odmówić.

Trzymając się tej rady, postanowił odwiedzić trzech lub czterech dziennikarzy, a zarazem jednego z krytyków, o którym mu wiele opowiadano, jako o człowieku bardzo życzliwym dla młodych muzyków, przy którego pomocy można było dojść do celu.

Nie mógł się skarżyć na sposób, z jakim go przyjęto; wszędzie witano go grzecznie i uprzejmie; zauważył nawet, że słuchano go z zajęciem. Naczelnym redaktorem jednego z wielkich dzienników politycznych raczył rozmawiać z nim przeszło godzinę, a żegnając go, odprowadził uradowanego artystę aż na schody.

Wszystko to było bardzo pięknie; lecz po złożeniu pierwszych wizyt, Fryderyk zauważył, że nie postąpił ani o krok naprzód, nie znalazłszy tego potężnego opiekuna, którego szukał.

Wszędzie mówiono mu życzliwie:

— Może pan liczyć na nas; otwieramy panu chętnie łamy naszego dziennika. Przedstaw pan swoją operę, a przyczynimy się wedle możliwości do pańskiego powodzenia. Jeżeli pan da koncert, to powiadomimy o tym publiczność, po czym osądzimy sprawiedliwie pański talent; musi się pan przygotować na wiele trudności, a może nawet spotka niechętnych i zazdrosnych, bo ma pan prawdziwe zdolności kompozytorskie, lecz nie zniechęcaj się, pracuj, a prawdziwa zasługa przebije się wszędzie i zyska niewątpliwie uznanie.

Jednym słowem, młody człowiek wzbudził wszędzie sympatię i wszędzie zachęcano go do wytrwałości.

W każdym razie było to już wiele. Poczul się silniejszy i z większą pewnością zjawiał się w mieszkaniu krytyka.

Nie mniej łaskawy jak jego bracia dziennikarze przyjął Fryderyka Boissier z wyszukaną uprzejmością.

— Pańskie imię jest mi już znane, kochany panie — powiedział — dzienniki z Tuluzy rozpisywały się o panu i pańskim talencie w wyrazach nadzwyczaj pochlebnych.

Fryderyk poczul, że mu serce bije z radości.

— Te same dzienniki donosiły nam, że jest pan nie tylko obiecującym kompozytorem, lecz także nauczycielem muzyki i wysoko uzdolnionym skrzypkiem. Jaki jest wiek pana?

— Mam dwadzieścia osiem lat.

— To wiek odpowiedni do rozpoczęcia walki; długa to droga, bardzo długa... A przede wszystkim trzeba się zrzec wszelkich snów, wszelkich złudzeń. Tak więc przybył pan do Paryża...

— Tak jest.

— Jest pan kawalerem?

— Jestem żonaty i spodziewam się zostać wkrótce ojcem.

— Hm! Hm! To bardzo źle...

Fryderyk rzucił na mówiącego zdziwione spojrzenie.

— O! Nie jestem bynajmniej nieprzyjacielem małżeństwa — odezwał się ten żywo — a tym mniej przeciwnikiem życia rodzinnego. Lecz kochany panie, pan rozpoczyna karierę, w której najlepiej być samym, przynajmniej do dnia, w którym pan zdobędzie rozgłos i sławę. Żona i dzieci są zwykle powodem kłopotów, które przeszkadzają rozwojowi prawdziwego talentu. Wszelako jeżeli jest się bardzo bogatym... Posiada pan majątek?

— Nie posiadam nic prócz moich zdolności.

— Bardzo często to wszystko, lecz czasami to nie wystarcza. A teraz, kochany panie, bądź pan łaskaw wyjawić powody, które sprowadzają cię do mnie.

Młody człowiek, onieśmielony, wahał się. Gospodarz to spostrzegł.

— Mów pan śmiało — rzekł z zachęcającym uśmiechem — krytyk nie jest potworem. Zresztą muszę panu oświadczyć, że zyskałeś moją sympatię i że bardzo mi będzie przyjemnie oddać ci przysługę.

Uspokojony tymi życzliwymi słowami, Fryderyk zaczął mówić o swej operze, o symfonii i innych pracach jeszcze nie wydanych, przedstawiając zarazem krytykowi swoje zamiary i nadzieje.

Ten z łokciem opartym o biurko, podpierając brodę, słuchał go uważnie.

Na próżno młody artysta starał się uchwycić jakąś myśl we wzroku lub poruszeniach twarzy siedzącego, twarz i spojrzenie nic nie mówiły.

Kiedy skończył mówić, krytyk odezwał się natychmiast.

— Panie Boissier, czy pan zastanowiłeś się nad tym, ile też może być młodych ludzi w Paryżu, którzy pokończyli znakomicie studia muzyczne i mają pańskie zamiary i nadzieje?

— Przyznaję, że nie.

— A więc ja panu mogę powiedzieć, bez obawy pomylenia się, że takich będzie z pięćdziesięciu, a połowa z nich otrzymała nagrodę w Rzymie; prawie wszyscy inni ubiegali się również o wielką nagrodę.

I wierzaj mi, kochany panie, że mają oni nie mniej zasługi i talentu od tych szczęśliwców, którzy zwyciężyli, wszyscy oni pracowali dla sztuki. Nie tylko dla siebie, lecz zarazem dla ich ojczyzny, dla Francji, podjęli się tylu szlachetnych usiłowań.

Zdawałoby się, że naród powinien im być wdzięczny i nie zapominać o tych ofiarach, które ponieśli dla zdobycia sławy i otoczenia blaskiem rodzinnego kraju. Jakże ich wynagrodzono? Powiadam panu, że dotychczas jeszcze nie mają nic, oprócz nadziei, po dziesięciu, piętnastu, dwudziestu latach pracy. Nie żyją, lecz wegetują. A wreszcie upadają, straciwszy resztki odwagi, która tliła się jeszcze w ich piersi. Młodzieńcy jeszcze są już starcami. Natchnienie ich opuszcza, tracą powoli żywą wyobraźnię i patrz pan, pączek usycha na łądzyce w chwili rozkwitu. Nie istnieją już dla sztuki, która liczyła z początku na ich siły. Kilku tylko opiera się zwątpieniu i walczy ostatnimi wysiłkami, to najsilniejsi i najwytrwalsi.

A gdzież ich dzieła, gdzie płody ich ducha? Publiczność nie wie nawet o nich. Każdy z nich ma na spodzie szafy lub stolika wielką operę lub operę komiczną w trzech aktach, którą w każdej chwili można by przedstawić w teatrze. Tak, lecz niestety, pozostaje zawsze jedynie to nieszczęśliwe „można by”. Człowiek, który czuje w sobie genialny polot mistrza, ginie nieznany i praca jego całego życia jest daremna.

Czyja to wina? Nie wiem, i nie chcę wiedzieć. Nikogo nie oskarżam. Rząd robi, co może, więc nie można zrzucać nań odpowiedzialności. Dyrektorowie naszych scen lirycznych czynią zadość swojemu zadaniu, zajmując się tym, co dla nich przedstawia pewną korzyść i zadowala publiczność.

Nie opowiadam tego, ażeby pana zniechęcić, kochany panie Boissier; według mego zdania oddaję panu prawdziwą przysługę, przedstawiając ci położenie takim, jakim ono jest w istocie; zarazem masz pan w tym dowód mego szacunku i uznania.

Streśćmy to wszystko w kilku słowach. Z jednej strony miłość sztuki, prawdziwej, wzniosłej sztuki, gaśnie w sercu młodych muzyków, a z drugiej, zamiast pięknymi operami, zasypują nas coraz to świeżymi operetkami. Teatry, gdzie dawniej przedstawiano dramat, komedię i wodewil, dziś przemieniły się w sale mniej lub więcej liryczne, a publiczność, która ma już dosyć starej sztuki, a pragnie nowości, ta publiczność biegnie oklaskiwać naśladowców Offenbacha. Nie wspominam już o tych potwornościach, odgrywanych po kawiarniach i ogródkach.

Pan twierdzi, że publiczność żąda tego, co odpowiada jej wymaganiom. Nie przeczę. Lecz operetka da nam ludzi z talentem, a nigdy muzyków genialnych. Panie Boissier, wierz mi pan, że nie ukryłem niczego przed panem. A ponieważ to położenie trwa już dość długo, bardzo długo, nie mam nadziei, aby się prędko skończyło. Teraz pan wie, jakie trudności ma do zwalczenia. Oceń pan swoje siły i zapytaj sam siebie, czy jesteś gotów stawić czoła przeszkodom. W każdym razie możesz pan rozmówić się z dyrektorem opery komicznej, nie narażając się na nic złego. To człowiek bardzo uprzejmy i jestem pewny, że przyjmie pana życzliwie.

— Tak — odparł młody człowiek — zaniosę mu moją pracę. Wszystko mi jedno, wszak i to, coś pan powiedział, nie jest zbyt zachęcające.

— Przyznaję.

— Pomimo tego dziękuję panu szczerze za rady i wskazówki. Gdybym śmiało prosiłbym pana...

— O co?

— Żeby mnie pan polecił dyrektorowi.

— Kochany panie, nie mogę tego zrobić dla wielu powodów. Po pierwsze, nie posunęłoby to pana ani o krok naprzód, następnie, uczyniwszy to dla pana, musiałbym nie odmawiać mej pomocy innym, a tak straciłbym moją niezawisłość, na której mi bardzo zależy.

Po tych słowach powstał, aby pożegnać gościa. Fryderyk odprowadzony przez krytyka aż do drzwi mieszkania, zszedł po schodach, chwiejąc się jak pijany. W duszy miał śmierć.

— Trzeba było zostać w Tuluzie — szepnął.

RS

* * *

Fryderyk o niczym żonie nie wspominał, nie chciał niszczyć gwałtownie tych pięknych snów i marzeń, które powstały w jej głowce. Zresztą stan Emeliny wymagał oszczędzania jej wszelkich wzruszeń. Toteż młody człowiek stawał zawsze przed żoną zadowolony i uśmiechnięty i zdołał ukryć przed nią to, co nurtowało go w głębi duszy.

— Nie mogę się zniechęcać — mawiał w duchu — nie mogę pozwolić, aby mi kiedyś wyrzuciła, że moją bezradnością uczyniłem ją nieszczęśliwą.

Już z bardzo małą pewnością siebie stawił się w Operze Komicznej, pragnąc widzieć się z dyrektorem. W zastępstwie swego zwierzchnika przyjął go kierownik teatru, który go wysłuchał równie uważnie jak krytyk.

Kiedy skończył, słuchający poruszył głową i rozchylił usta w uśmiechu, który nie zwiastował niczego dobrego. Zdawało się, że jego myśli nie są optymistyczne: Ten chłopak, który dopiero co opuścił miasto rodzinne, ma piękne złudzenia. Po chwili zaczął:

— Jestem głęboko przekonany, że pańskie dzieło jest piękne i wzniosłe, lecz my, panie, musimy się stosować do praw raz przyjętych, od których żadną miarą odstąpić nie możemy. Tutaj, mój panie, pierwsze miejsce należy się naszym mistrzom, naszym sławnym kompozytorom; drugie oddać musimy młodym kompozytorom, wracającym z Rzymu, którzy z kolei będą mistrzami.

— Zadowolę się trzeciem — odezwał się nieśmiało młody człowiek.

— Rozumiem pana, ale na nieszczęście takiego nie ma. Dyrekcja zobowiązuje się zwykle na początku sezonu i musi czynić zadość słusznym wymaganiom. Wliczywszy te, które już poprzednio dyrektorowie przyjęli, posiadamy repertuar na dziesięć lat, a wszystko są to prace znanych kompozytorów. Dyrektor nie może przyrzekać czegoś na tak długi termin, bo nikt nie wie, gdzie go los przez ten czas zapędzi. Żałuję, że dyrektor opuścił przed chwilą operę, bo odpowiedź jego zgadzałyby się zupełnie z moimi słowami. Pomimo tego może pan nam przynieść rękopis poematu. Muszę pana jednak uprzedzić, że w najlepszym razie wystawimy ją za dziesięć lub dwanaście lat.

Fryderyk powstał blady i drżący.

— Namyśle się jeszcze, może powrócę — wykrztusił

— Jak się panu podoba.

Młody człowiek, oddawszy z szacunkiem ukłon, opuścił gmach opery.

— Ach! Dziesięć lub dwanaście lat — szepnął zacisnąwszy z bólu zęby — dziesięć lat, a po upływie tego czasu nie być jeszcze pewnym niczego! To okropne! To kariera jedynie otwarta dla bogatych i wpływowych. O! Co za nędza! Krytyk miał słuszność: lepiej sprzedawać pierniki lub zamiatać ulice.

Wróciwszy do domu, chwycił manuskrypt poematu swej opery. Autorem był jeden z jego przyjaciół, poeta z Tuluzy. Fryderyk umiał poemat na pamięć, ileż to razy szukał w nim myśli oryginalnych i scenicznego układu! Teraz czytał go z uwagą, jeszcze bardziej nateżoną. I znowu znalazł wiele humoru, wiele zabawnych scen. Muzyka odpowiadała treści, można było zauważyć łączność pomiędzy librettem a partyturą.

Nagle młody człowiek uderzył się w czoło. W głowie błysnęła mu nowa myśl.

— Ponieważ dziś tylko operetki podobają się publiczności — odezwał się głośno — dlaczego moje „Śmieszne przygody” (taki tytuł nosiła praca młodego artysty), nie zdobyły powszechnego uznania, który tak łatwo zyskały „Orfeusz w piekle” lub „Piękna Helena”?

Nazajutrz ułożył w porządku nuty, a zwinąwszy je w rulon, udał się do teatru operetkowego.

Tym razem spotkało go szczęście rozmawiania z osobą samego dyrektora.

Czy to jego młodość wywierała tak korzystne wrażenie, czy dźwięk głosu lub nieśmiałość, dość, że wszędzie słuchano go z widoczną życzliwością.

Gdy odpowiedział na kilka pytań, zadanych mu przez dyrektora, ten ostatni przemówił uprzejmie:

— Zostaw mi pan rękopisy. Słowa sam przeczytam, a nuty przeglądnij jeden z moich przyjaciół.

— Kiedy mam przyjść?

— Za tydzień.

Fryderyk wyszedł uradowany z gabinetu dyrektora.

Tym razem sercem jego wstrząsała radość i nadzieja. Po tygodniu zjawił się w mieszkaniu dyrektora.

Ten był właśnie zajęty i kazał mu przez służącego wrócić znowu za tydzień, gdyż dotychczas nie miał czasu przeglądnąć jego opery.

Fryderyk oddalił się z głową spuszczoną myśląc:

— Zły znak!

Trzy razy wracał do teatru na próżno, wreszcie za czwartym razem otworzyły się przed nim drzwi dyrektora.

Młody człowiek czekał wyroku, jak skazany, który prosi o darowanie życia.

— Panie — rzekł mu dyrektor — przejrzeliśmy pańską partyturę. Masz pan bardzo wielki, powtarzam, bardzo wielki talent. Znaleźliśmy w pańskiej pracy przepyszne ustępy, tchnące wdziękiem i świeżością; dzieło to jest pełne uczucia i harmonii. Jak mi znawcy mówili, orkiestra obfituje w przedziwne efekty. Krótko mówiąc, stworzyłeś pan arcydzieło pierwszego stopnia. Teraz pozwól pan sobie oświadczyć, że przychodząc tutaj, pomyliłeś się nieco. Pańska praca to nie operetka, to prawdziwa opera komiczna; powinieneś pan ją poświęcić operze komicznej. Nie twierdzę, że nie miałaby ona u mnie powodzenia, lecz cóż za stosunek między moją maleńką sceną a wielkością pańskiego dzieła! To jeszcze nie wszystko: mój teatr posiada skromnych śpiewaków, śpiewaków operetkowych, a pan do oddania wiernie twej opery potrzebujesz wielkich artystów. Powtarzam raz jeszcze, że powinieneś pan pójść do wielkiej opery.

— Jakim sposobem? — spytał Fryderyk.

— Zapewne, musisz pan wprzód zwalczyć wiele przeszkód, jak zresztą wszędzie, jak nawet w naszych małych teatrzykach. Lecz jakże robili ci, którzy doszli do celu? Przecież i oni byli początkowo nieznani; zwyciężywszy trudności stanęli tam, gdzie dziś się znajdują. Odważnie i wytrwale kołacz pan do wrót szczęścia, a wreszcie się przed panem otworzą. Co do poematu, muszę panu dać nową wskazówkę. Przeczytałem go od początku do końca. Przedmiot sztuki jest interesujący i dostatecznie rozwinięty, za mało jednak w nim ruchu, bo przebija u autora brak doświadczenia i nieznanostwo sceny. Pomimo tych usterek, sztuka ta jest lepsza od wielu innych. Ale kochany panie, pański współpracownik jest podobnie jak pan zupełnie nieznan. Trzeba by być Gounodem, Thomasem lub Verdim, aby narzucić dyrektorowi poemat pierwszego lepszego. Również zyskuje wiele sztuka nieznanego artysty opracowana na słowach sławnego autora. I tak ja sam przyjąłbym z zamkniętymi oczami operetkę w trzech aktach, której libretto byłoby podpisane przez Clairville'a albo Meilhaca, Cremieuxa lub Halevego. Samo nazwisko jednego z tych autorów, lubianych przez publiczność, jest zapewnieniem powodzenia. A o cóż nam, dyrektorom, idzie więcej, niż o powodzenie sztuki?

— Panie — rzekł Fryderyk — dziękuję panu za te dobre rady. Czy mogę jeszcze o coś spytać?

— Proszę pytać.

— Czy mam pracować dla pańskiego teatru?

— Hm, hm! — mruknął dyrektor.

— Pan już zna zakres mego talentu — ciągnął dalej młody człowiek. — Mam odwagę i dobrą wolę.

— Zapewne, zapewne... Lecz widzi pan, operetka to dla pana za mało...

— Jeżeli jednak...

— Pan jesteś ze szkoły wielkich mistrzów i nie powinieneś porzucać wzniosłej muzyki.

— Rad bym bardzo nie czynić tego, lecz muszę. Pan zna pewnie przysłowie: „Kto może wiele, może i mało”.

— Nie zawsze, nie zawsze — dyrektor potrząsnął głową przecząco — autor „Proroka” i „Hugenotów” nie stworzyłby operetki. — A spostrzegłszy smutek na twarzy młodego człowieka, dodał szybko: — Wszelako próbuj pan, zobaczymy...

— To zachęta.

— Lecz nie obietnica.

— Pomimo tego opuszczam pana z odrobiną nadziei.

— Tym lepiej dla pana.

— Czy moja muzyka potrzebuje słów pana Clairville?

— Lub innego znanego autora; w przeciwnym razie nie zadawaj pan sobie niepotrzebnego trudu.

Fryderyk wyszedł z teatru, niosąc jeszcze raz pod ramieniem nuty i poemat, które mu oddał dyrektor.

Przez następnych piętnaście dni szukał libretta do swej operetki. Powiedział sobie:

— Zobaczymy, czy nie jestem zdolny do muzyki operetkowej. Muzyka komiczna czy dramatyczna jest zawsze wytworem i płodem wyobraźni.

Odwiędził Clairville'a i innych autorów operetkowych znanych i przyzwyczajonych do powodzenia. Wszędzie przyjmowano go uprzejmie. Na nieszczęście ci panowie poczynili od dawna zobowiązania względem kompozytorów i dyrektorów; wszyscy mieli związane ręce, żałując, że nie mogą służyć panu Fryderykowi Boissier, oświadczała, że na razie prośby jego nie mogą wypełnić, lecz może...później... za dwa lub trzy lata... wszelako na pewno niczego przyrzekać nie mogą.

— Przez ten czas — Fryderyk uśmiechał się gorzko — będę miał dosyć czasu do śmierci głodowej...

Spotkawszy jednego z dawnych znajomych z Tuluzy, który był obecnie drugim skrzypkiem w akademii muzycznej, opowiedział mu szczerze o swych kłopotach i licznych trudnościach, których przełamać nie może.

— Nie dziwi mnie to wcale — odparł skrzypek — pańskie położenie nie jest ani lepsze ani gorsze od sytuacji wielu innych, którzy również mają nadzieję zdobycia majątku i sławy. Pan podoba się wszystkim, a może nawet wiedzą, że ma pan wielki talent. Niestety jednak, jesteś dotychczas nieznany i to ci zagraża drogę do zyskania rozgłosu.

— Do diabła! Wiem dobrze, że jestem nieznany — odparł niecierpliwie młody człowiek — lecz czyż publiczność mnie kiedykolwiek pozna, jeżeli wszystkie drzwi pozostaną zamknięte przede mną?

— Ma pan zupełną słuszność.

— Przecież i nasi mistrzowie byli kiedyś nieznani.

— I to prawda. To dowodzi, że tym lub owym sposobem otworzyli jedne drzwi, następnie drugie, wreszcie wszystkie. Wierz mi pan, panie Boissier, że każdy z nich posługiwał się innymi środkami. Zna pan bajkę o Ali-Babie z „Tysiaca i jednej nocy“?

— Znam.

— A więc w sztuce musi pan również posiadać to sławne: „Sezamie, otwórz się!“

— Pan, który żyje tak długo w świecie artystycznym i zna prawdopodobnie jego tajemnice, powie mi, co mam robić?

— Nie wiem. Odpowiem panu tak, jak już powiedzieli wszyscy dyrektorowie: daj się pan poznać.

— Widzę więc, że miast postępować naprzód, będę zmuszony się cofać.

— Chciej mnie pan zrozumieć, panie Boissier, wszak mamy wiele sposobów dopięcia celu; można być głośnym przed ukazaniem się publiczności, która jest sędzią najwyższym. Znam kilku kompozytorów, których dzieła jeszcze nie wydane, a wszyscy mają ich nazwiska na ustach. Przyjaciele i znajomi takiego pana roznoszą po całym mieście: „Znacie państwo pana X., to człowiek z olbrzymimi zdolnościami, niedługo dowiecie się o nim, jego występ będzie się równać wschodowi słońca.“ Takie krople padają na bruk miejski przez trzy, cztery miesiące, po czym świat artystyczny zaczyna śpiewać chórem: „Pan X. ma ogromny talent“. A tymczasem pan kompozytor wystawia się co dzień na widok publiczny. Na

bulwarach trzyma się ramienia autora dramatycznego, śpiewaka lub dyrektora, w kawiarni siedzi z artystami, podczas przedstawienia w teatrze opiera się z miną zwycięzcy o kolumny za kulisami, lub nadęty jak paw, przechadza się po deptaku. Jeżeli posiada majątek, to wydaje obiady i wieczory, na które sprasza dyrektorów, artystów i autorów. Nic dziwnego, że po pracy tak pilnej i wytrwałej zbiera obfite plony.

— Których ja nigdy nie osiągnę — Fryderyk przerwał, potrząsając smutnie głową.

Tamten ciągnął dalej:

— Mogą pana wynosić pod niebiosa, a bez talentu nie będzie pan nigdy niczym. Tak jest, musi pan przede wszystkim mieć prawdziwe zdolności; bez nich można wydać miliony i poruszyć niebo i ziemię, a nie zostanie się nigdy sławnym człowiekiem.

Na nieszczęście dziś nie wystarcza sam talent; genialny artysta może umrzeć z głodu, śpiąc codziennie z wykończonym arcydziełem pod głową.

Pan ma talent i czyni zadość pierwszemu warunkowi. Bynajmniej nie twierdzą, że pan nigdy nie dojdzie do celu; przecież nie wszyscy umierają z nędzy, lecz uzbrój się w cierpliwość, bo walka twoja ze światem będzie się toczyć długo, bardzo długo, a to, czegoś już doznał, jest dopiero początkiem trudności. Znajdują się i tacy, którym wszystko ustępuje z drogi, którym wystarcza powiedzieć: „Tak chcę!” O! To dzieci pieszczone przez matkę naturę, a ich chrzestną matką była czarodziejka. Są to synowie, krewni lub przyjaciele dyrektorów. Są to protegowani osób potężnych i wpływowych. Lub wreszcie są to ludzie, którzy idąc śladem Meyerbeera, dają pieniądze dyrektorowi za przedstawienie ich sztuki. Ach! Gdyby pan mógł udać się do dyrektora, którego bym z chęcią mu wskazał, i powiedział mu: „Przynoszę panu operę w trzech aktach i pięćdziesiąt tysięcy franków”. O! Wtedy bądź pan pewien, że za trzy miesiące publiczność nagradzałaby oklaskami twoje trudy. Pieniądz to owo „Sezamie otwórz się!” Nie znajdzie pan drzwi, które nie otworzą się przed złotem.

* * *

Fryderyk czuł z każdym dniem, że w walce, którą podjął, ulegnie prędzej czy później. Teraz przekonał się, że to wielkie miasto, od którego tyle żądał, nic mu dać nie chce i nie może.

— Jestem bezsilny — mówił z rozpaczą — straciłem już odwagę, stanowczość i widzę, że mnie ta ziemia po której kroczę, lada chwila pochłonie, jeżeli mi opatrność nie przyjdzie z pomocą.

Nieszczęśliwy liczył już tylko na cudowny zbieg okoliczności. Pieniądze, przywiezione z Tuluzy, znikwały szybko i każdy dzień przynosił mu nową troskę, nowy niepokój. Miał jeszcze pięć tysięcy franków, wkrótce cztery tysiące, trzy, dwa, wreszcie jeden. I widział z przerażeniem zbliżającą się chwilę, w której będzie musiał wydać ostatnie dwadzieścia franków, po czym do jego domu zawita nędza, straszliwa nędza. Czy miał na nią czekać? Czy nie powinien był ostatnimi wysiłkami wymknąć się z jej groźnego uścisku?

Lecz jeżeli obawiał się niedostatku, to tylko dla niej, tylko dla Emeliny, jego ubóstwianej żony, przyzwyczajonej do dostatku, której przyrzekł zapewnić szczęście i bogactwo.

O! Na samą myśl, że żona jego cierpiałaby głód i zimno, czuł dreszcz, przebiegający członki, w uszach słyszał szum, a wielkie łzy, łzy bóleści, błyszczały w jego oczach.

Co! Miałby widzieć bladeść na twarzy Emeliny, zwiędłej przedwcześnie i udręczonej? Miałby widzieć, jak płomień jej oczu gaśnie, jak uśmiech ulatuje z jej ust, słyszeć jej płacz i westchnienia! O! Nie, nie, pragnął choćby za cenę życia uniknąć tych męczarni.

Czas już był najwyższy chwycić się jakiegoś środka, zwrócić się w tę lub ową stronę. Trzeba było pracować, zarabiać w jakikolwiek sposób i to wiele, bardzo wiele. Emelina nie powinna była pozbawiać się niczego, zwłaszcza, że musiał zapewnić byt nie dwom lecz trzem istotom. Nowe obowiązki zmuszały go do walki z przeciwnościami.

Podczas gdy on przebiegał ulicę Paryża, szukając pracy, Emelina została matką. Wydała na świat czarującą córeczkę różową, świeżą i tłuściutką jak cherubinek.

Fryderyk zachwycił się nią i zaraz zauważył jej podobieństwo do matki. Przez kilka dni zapomniał o całym świecie, oddając się zupełnie rozkoszom ojcostwa.

W pięć dni po urodzeniu dziecko zostało ochrzczone i otrzymało imiona Żaneta-Fryderyka-Emelina; postanowiono jednak nazywać ją Żanetą.

Już od kilku miesięcy pani Surmain zamieszkała w Paryżu, przy ulicy Londres. Kiedy Emelina prosiła ją o trzymanie córeczki do chrztu, odmówiła stanowczo, oświadczając, że swym chrześniakom przynosiła nieszczęście, gdyż wszyscy pomarli, chociaż była cztery razy matką chrzestną.

W ostatniej chwili Fryderyk poprosił na rodziców chrzestnych małżeństwo, które znał z Tuluzy, posiadające w Paryżu mały sklepik.

Młody ojciec ubóstwiał swą córeczkę już w godzinę po narodzeniu. Pragnął, aby Emelina sama ją karmiła i otoczyła ją staraniami, tak niezbędnymi niemowlęciu, lecz ponieważ młoda matka zaczęła mówić o mamce, nie okazując zbyt chęci do trzymania dziecka przy sobie, zgodził się na tę ofiarę. Następstwem tego było zamówienie mamki, która nazajutrz po chrzcie wzięła maleńką Żanetę do siebie, do wsi Bouchot, w departamencie Nièvre, niedaleko Pouillysur-Loire.

Jak wyżej wspomnieliśmy, Fryderyk, biegając wciąż po mieście, aby spotkać tę lub ową ważną osobę, rzadko bywał w domu.

Z drugiej strony Emelina, nie lubiąc samotności, wychodziła co dzień z mieszkania, odczuwając jeszcze bardziej niż w Tuluzie otaczającą ją ciszę i spokój. Odwiedzała znajome osoby, najczęściej panią Surmain, która wpadała również dwa lub trzy razy na miesiąc, ażeby uścisnąć rękę przyjaciółki. Jeżeli Helena wybierała się na przechadzkę, Emelina zwykle jej towarzyszyła a czasami się zdarzało, że młoda kobieta musiała przechadzać się sama. Wtedy powierzała się losowi i szła przez bogate dzielnice miasta na bulwary, wszędzie, gdzie mogła widzieć coś godnego uwagi, gdzie mogła podziwiać meble, suknie, kapelusze i klejnoty.

Na nieszczęście bardzo rzadko mogła sobie pozwolić na wstąpienie do sklepu i kupienie jednego z tych pięknych przedmiotów, które przykuwały do siebie jej spojrzenie.

Spotykano ją również w parku Monceau, w ogrodzie Palais-Royal lub Tuileries, gdzie siedząc na ławce czekała na godzinę muzyki, lub wreszcie na Polach Elizejskich w miejscach, skąd najlepiej mogła przyglądać się przejeżdżającym ekwipażom i wydać sąd o prześlicznych toaletach kobiet wielkiego świata i półświatka, toalet różniących się jedynie sposobem ich noszenia.

Dla przyzwoitości brała rozpoczętą robótkę, na którą nigdy okiem nie rzuciła, lub najnowszą powieść, którą trzymała na kolanach, wodząc okiem po przesuwających się twarzach.

Nie czuła się zadowolona z takiej samotnej przechadzki, nie mogąc przekazywać nikomu swych myśli i spostrzeżeń, lecz wolała podobny spacer od siedzenia w ciasnym i ciemnym mieszkaniu, gdzie słońce rzadko zaglądało, gdzie zanudziłaby się na śmierć.

Fryderyk, zmuszony do zapobiegania potrzebom domowego gospodarstwa, a oprócz tego do opłacania mamki swego dziecka, chodził od znajomego do znajomego, prosząc wszystkich o szukanie mu uczniów; jednocześnie poszukiwał miejsca organisty.

Lecz w Paryżu nie brak nauczycieli obu płci, a w ich liczbie znajduje się wielu ledwo wiążących koniec z końcem. Trudno więc bardzo o lekcje, zwłaszcza człowiekowi nieznanemu.

Co się tyczy miejsc organisty, są one jeszcze rzadsze, gdyż to bardzo poszukiwane posady. Jeżeli Paryż posiada wiele kościołów, to obfituje on również w liczny zastęp kandydatów, gotowych w każdej chwili do piastowania tej zaszczytnej, a bardzo popłatnej godności. W każdym razie trzeba czekać nieraz nawet bardzo długo.

Oto, co odpowiadano młodemu człowiekowi i nieszczęśliwy musiał zdać się na łaskę Opatrzności.

I to Paryż, miasto tak bogate, posiadające takie dochody! — myślał z uczuciem gorzkiego żalu.

Przypomniawszy sobie, że ma jeszcze dwanaście nie wydanych melodii i symfonię „Pory roku”.

— Gdybym mógł je sprzedać, chociażby po pięćdziesiąt franków za jedną, miałbym sześćset franków. Z tymi pieniędzmi przebylibyśmy zimę i na razie byłbym ocalony.

Z melodiami pod ramieniem udał się do kilku wydawców. Odpowiedziano mu:

— Kochany panie, dziś już nikt romanc nie śpiewa, chyba kilka pensjonatów żeńskich; nie możemy wydawać rzeczy, których nikt nie kupuje. Romance miały swoje piękne dni i cieszyły się uznaniem publiczności, ale tylko przed koncertami kawiarnianymi. Wtedy wydawano albumy, które się rozchodziły po całym świecie w tysiącach egzemplarzy. Dziś nie ma albumów. Ach! Daleko już jesteśmy od czasów, gdy romanca była w modzie. Wszystko to przeszło, a my pierwsi żałujemy dawnych

czasów. Lecz cóż pan chce? Smak publiczności się zmienia. Cóż my na to poradzimy? Nic. To, czego ogół dzisiaj wymaga, to są wesołe piosenki, żywe, śmieszne, często nawet drastyczne. Gdyby pan nam przyniósł coś w rodzaju „Niańki niedźwiedziej”, „Kobiety z brodą” albo „Colin”, no, to byśmy zobaczyli, pomówili, może byśmy się nawet porozumieli. Zresztą, kochany panie, ażeby niczego nie ryzykować i nie narażać się na stracenie kosztów wydania, kupujemy rzeczy znane, piosenki, które już w całym mieście zdobyły popularność, to znaczy takie, które śpiewano w Eldorado, w Alcazarze, Ba-ta-clan, lub w jakiejś innej wielkiej kawiarni paryskiej. Tym, czego nie śpiewała panna X lub pani Y publiczność nie zajmuje się wcale. Dawniej, gdyby w salonie nie śpiewano wyłącznie romanc, byłby skandal na całe miasto; dziś repertuarem wielkoświatowych salonów są programy koncertów kawiarnianych. A my, kochany panie, musimy stosować się do powszechnego prądu, ponieważ jesteśmy pokornymi sługami publiczności, która nas utrzymuje. Jeżeli ma pan zdolności w tym kierunku, to układaj piosenki, starając się przede wszystkim o zabawne słowa. A kiedy usłyszymy je w Eldorado lub Alcazarze, to może pan na nas liczyć.

Fryderyk pokazywał swą symfonię.

— O! To całkiem coś innego — mówiono — to poważne. Aby wydać symfonię, wydawca musiałby być prawdziwym wariatem. Wydanie kosztowałoby najmniej tysiąc dwieście franków, a nie sprzedano by z pewnością ani dziesięciu egzemplarzy. Zostawilibyśmy panu trochę nadziei, gdybyś pan był Felicjanem Davidem, autorem „Pustyni”, lub dyrektorem wielkiej orkiestry. W takim wypadku kazałbyś pan wykonywać twą symfonię cztery lub pięć razy w roku; wtedy nie wątpilibyśmy w pańskie powodzenie.

Młody artysta przyniósłszy na powrót do domu symfonię i melodie, rzucił je do kosza, w którym spoczywała już nieszczęsna opera komiczna.

Tych kilka tygodni odebrało mu wszystkie złudzenia.

— Tak więc — szepnął — goniłem dotychczas za chimera, a dzieło moje, to dzieło głupca! A jednak zdawało mi się, że czuję jakiś płomień w głowie, pod czołem... Teraz idee znikły, a myśl dogorywa. Przede mną leży praca trzech lat, a te czarne kropki na białych kartkach, to wszystko uderzenia mego serca, oddech mej duszy! I to wszystko nic nie warte, nic! Myle się — dodał głucho — przyda się ten papier, aby rozniecić smutny

ogień w zimie, gdy . zabraknie drzewa. — Głowa opadła mu na piersi, łkanie wydobyło się ze ściśniętego gardła.

Chwilę stał nieruchomo, zwiesiwszy bezwładnie ramiona. Wielkie łzy spływały mu po bladych policzkach. Płakał za swoimi złudzeniami...

— Złamany jestem, złamany! — szeptał bezdźwięcznym głosem. — Co robić? Co robić? — Lecz nagle odrzucił gwałtownie w tył głowę. — Ja mam żonę, mam dziecko! — krzyknął z wściekłością — przecież nie mogę pozwolić im umrzeć z głodu.

RS

* * *

Nadeszła zima. Specjalne biuro zatrudniło Fryderyka jako profesora muzyki w jednym pensjonacie. Otrzymywał tam sześćdziesiąt franków na miesiąc. Wstąpił również do jednego z trzeciorzędnych teatrów z wynagrodzeniem pięćdziesięciu franków, wypłacanych co miesiąc dosyć regularnie. Musiał żyć, a żeby zaś żyć, potrzebował pieniędzy. Otrzymał nadto miejsce pierwszego skrzypka w orkiestrze popularnych koncertów. Wszystkie te dochody wynosiły akurat tyle, ile potrzebował, aby nie umrzeć z głodu.

W istocie z tych stu dziewięćdziesięciu franków, po zapewnieniu utrzymania sobie i żonie, po zapłaceniu praczki i mamki małej Żanety, nie zostawało nic na ubranie i obuwie, które zużywały się z każdym dniem coraz bardziej. Jego spodnie i surduty świeciły się i przecierały, zmięty kapelusz mienił się różnymi barwami, obcasy u butów zupełnie się starły, a podeszwy domagały się natarczywie naprawy. Fryderyk i Emelina żyli nędznie, a właściwie nie umierali; wszak i to już bardzo wiele. Niemniej Fryderyk widział zbliżającą się nędzę.

Ten ciągły niepokój, ta ciągła troska o chleb dla rodziny byłyby dla niego niczym, gdyby nie zły humor Emeliny, jej ustawiczne narzekania i wymówki, równie niesłuszne jak okrutne.

Młoda kobieta nie zmieniła się w niczym, pozostała tą samą, jaką była w Tuluzie, marząc jedynie o zaspokojeniu swych zachcianek i zaspokojeniu swojej zalotności, a nie mogąc pozwalać sobie na wielkie wydatki, zrzucała na swego męża całą odpowiedzialność za ich ubóstwo, wyrzucała mu brak dochodów, karząc go bez litości za winy, których nie popełnił.

Często wspominał jej o ich córeczce, o małej Żanecie.

— A cóż mnie to obchodzi? Ja przecież nie chciałam mieć dziecka — odpowiedziała szorstko. — Lub częściej, wzruszywszy ramionami, oddalała się bez odpowiedzi.

— Nudzę, ją, wspominając jej o naszej córce — mawiał wtedy Fryderyk z bolesnym ściśnięciem serca. — Jak to, czyż jej nie kocha? O! Nie, to niemożliwe. To byłoby okropne, potworne!

Emelina była matką; lecz nie moglibyśmy powiedzieć czy jakiegokolwiek uczucie wstrząsnęło jej sercem, a pewne jest, że za wiele zajmowała się strojami, żeby mieć czas do myślenia o dziecku.

Wychodziła zawsze na ulicę ubrana bogato i według ostatniej mody: na nogach miała cienkie trzewiki, na rękach świeże rękawiczki, na głowie kapelusz wartości pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu franków, kupiony u pierwszych modystek.

Różnica pomiędzy nędznym ubraniem męża, a wspaniałymi sukniami żony miała w sobie coś tak rażącego i bezwstydneho, że oburzała wszystkich znajomych młodego małżeństwa.

Mówiono powszechnie o Emelinie:

— Trzeba być wariatką, aby ośmielić się nosić toalety, nie pozostające w żadnym stosunku z możliwościami finansowymi jej męża.

A inny dodawał:

— To kobieta bez wstydu i serca.

— Skąd bierze te pieniądze? — pytał ktoś trzeci. Po cichu czyniono domysły:

— Musi mieć jednego lub kilku kochanków.

To była potwarz. Dotychczas zachowanie się młodej kobiety przynajmniej w tym względzie, było bez zarzutu. Lecz kompromitowała się lekkomyślnie wybrykami, pozwalając tym sposobem wszystko przypuszczać.

Mimo woli, przez zbytnią słabość, Fryderyk stawał się współnikiem swej żony. W każdym razie nie możemy stanowczo go ganić. Nie ma na świecie kobiety, która by nie wiedziała, jak bezsilny wobec niej jest człowiek, który ją kocha.

Ażeby niczego Emelinie nie odmawiać, młody człowiek zaniósł już na Mont-de-Piete swoje srebro, łańcuszek, zegarek, bieliznę. Ze swej strony młoda kobieta zastawiła w tym samym miejscu większą część swoich klejnotów.

Fryderyk czuł konieczność powiększenia swych dochodów. Już zarobił trochę pieniędzy, akompaniując na koncertach publicznych lub na wieczorkach, urządzanych przez osoby prywatne.

Zaproponowano mu udział w małej orkiestrze, złożonej z ośmiu lub dziesięciu muzykantów, która grywała na wieczorkach tańczących i balach weselnych. Przyjął.

Niebawem wzywano go samego na wieczorki tańczące do ludzi, którym wystarczała gra na fortepianie. W takim wypadku płacono mu jak chciano, gdyż nie miał odwagi powiedzieć: dajecie mi za mało. Parweniusze, dawni piernikarze, handlarze win, kupcy towarów bławatnych

lub galanterijnych, a więc wszyscy ludzie, pogardzający głęboko artystami, uważają ich za cyganów, za żebraków, za nędzarzy i najgorszą hołotę, nie wstydzili się włożyć mu w rękę pięć franków za to, że był ich niewolnikiem przez pięć lub sześć godzin. I dawano mu te pieniądze jak jałmużnę żebrakowi, jak wręcza się zapłatę najlichszemu wyrobnikowi.

Zraniony w swej dumie, we wszystkim, co dusza ludzka ma wielkiego i szlachetnego, biedny człowiek wracał smutno, w milczeniu, z głową zwieszoną, z płomieniem wstydu na czole, wstrzymując gwałtem cisnące się do oczu łzy i tłumiąc westchnienia. Czuł się poniżony, upokorzony, on, autor „Śmiesznych przygód”, on, który wiedział, że go ogarniał gorący ogień geniuszu! Cierpiał, lecz milczał. Wszak musiał zarabiać na chleb i to za wszelką cenę!

Podwajał więc siły dla swej ukochanej Emeliny i dla małej Żanety, nie troszcząc się o spoczynek i zdrowie. Z przyczyny tych dwóch istot, tak mu drogich, wystawiał się bez buntu na poniżenie i męki. Cierpiał, lecz ani jedna skarga nie wymknęła się z jego zbolącej piersi. Zresztą, cóż by ona zdziałała? Wiedział dobrze, że nie może zmienić swego przeznaczenia. A potem, myśląc o Emelinie, o chwilowej radości, którą mógł jej sprawić, zapominał prędko o wszystkich katuszach moralnych.

Na nieszczęście położenie jego nie zmieniło się w niczym. Fryderyk zameczał się pracą, nie mogąc wybrnąć z niedostatku, a im więcej zarabiał, tym więcej Emelina wydawała. Cóż ją obchodzili mąż i dziecko, byleby jej wystarczało na przyjemności.

Można by powiedzieć, że każdy uśmiech Emeliny był okupiony bólem Fryderyka.

Kiedy młoda kobieta, lekkomyślna i rozrzutna, wydała w ciągu kilku dni zarobek męża, szukała pomocy w pożyczkach. Nie zatrzymywała się nigdy w pół drogi, licząc na szczęśliwą przyszłość. I gdy Fryderyk przynosił na końcu miesiąca plon swojej pracy, musiał najpierw spłacać krzyczące długi.

Z wyjątkiem kolczyków, pierścionka i jednej bransoletki, Emelina zaniósła jedno po drugich wszystkie klejnoty na Mont-de-Piete. Wyrzucała to wciąż Fryderykowi. Gdyby jej dał w swoim czasie pieniądze, których potrzebowała, nie byłaby z pewnością zastawiała tego czy tamtego. Brakowało jej teraz klejnotów i z tego powodu nie mogła kilka razy brać udziału w niektórych zabawach. A jednak byłaby tam z chęcią poszła, byłaby się zabawiła. Wszak miała tak rzadko sposobność rozerwania się i doznania prawdziwego zadowolenia.

Kiedy będzie mogła wykupić swoje klejnoty? Prawdopodobnie nigdy. Sprzedadzą je za bezcen. To było okropne. Na świecie nie było kobiety w takim położeniu jak ona. Tak mówiąc, odświeżała ciągle ranę broczącą krwią, którą Fryderyk nosił w sercu. Powinien się był już przyzwyczaić do narzekań swej żony, do niesłusznych wymówek.

Pragnął bardzo wykupić klejnoty; lecz jakim sposobem? W Mont-de-Piete pożyczono dwa tysiące franków. Gdzie znaleźć te pieniądze? Gdyby Emelina była rozsądniejsza, mogliby oszczędzać i pomалу doszliby do tej olbrzymiej sumy. Lecz o tym nie można było ani marzyć. W rękach Emeliny pieniądze nikły jak kamfora. On również powtarzał ze smutkiem.

— Klejnoty zostaną sprzedane!

Chciałby dokonać czegoś niemożliwego, lecz wiedział, że napotka przeszkody, które złamią jego wolę i siły. Pewnego dnia błysnęła mu myśl dania koncertu.

— Może już trochę za późno — rzekł w duchu — (było to w pierwszych dniach maja) — mniejsza o to.

Zdawało mu się, że powinien w tym względzie poradzić się swego przyjaciela z orkiestry operowej, który dał mu już kilka doskonałych wskazówek. Odwiedził go i powiadomił o swym projekcie.

— Głupstwo, a najczęściej na złe wychodzi — odparł tamten.

— Więc sądzisz pan, że mi się nie uda?

— Jestem tego prawie pewny. Mój przyjacielu, na dwadzieścia pięć koncertów w tych warunkach, w jakich je chcesz dawać, zaledwie dwa lub trzy opłacą się, a z jednego za cały wieczór trudu wpadnie ci do kieszeni dwadzieścia franków. A dwadzieścia innych? O te nie pytaj. Dziś już nikt nie uczęszcza na koncerty, chyba że dasz je na cel dobroczynny. W takim razie możesz liczyć na pomoc pierwszych artystów naszych scen lirycznych, a damy patronki rozkupią wszystkie bilety. Dla wzniosłego celu kupuje się bilety i płaci się hojnie, dla pozoru. Jeżeli się idzie na koncert to po to, ażeby widzieć i słyszeć wielkich śpiewaków. Nie, mój kochany Boissier, nie radzę ci dawać koncertu, na którym mógłbyś mieć samych miernych artystów, a ręczę, że nie zebrałbyś licznej publiczności, lubiącej słuchać symfonii. Na nic nie zdałyby się reklamy w dziennikach; ażeby zapełnić salę, musiałbyś rozdać bilety darmo. Artysta, który chce dać koncert nie ryzykując, że mu się nawet koszty nie zwrócą, musi mieć liczne stosunki w świecie między bogatymi ludźmi. Jego przyjaciele i znajomi zobowiązują się zapełnić salę. Przypuśćmy jednak, że trwasz przy

postanowieniu. Cóż robisz? Zajmujesz się przede wszystkim programem; nie mogąc zaś zaprosić sławnych artystów, musisz się zadowolić mniej lub więcej znośnymi. Następnie oddajesz się cały głównemu punktowi; rozprowadzeniu biletów. Rozdajesz je razem z afiszem wydawcom muzyki, a ci nie sprzedadzą ani jednego. Poślesz w kopercie razem z listem mecenasom sztuki i innym wysokim osobistościom, potem damom, znanym z dobroczynności; a wreszcie ludziom bogatym, na chybił trafił, których imiona znajdziesz w kalendarzu Didot'a. A więc, mój kochany Boissier, z wyjątkiem kilku, między innymi także mecenasów, którzy poczytują sobie za obowiązek zachęcanie artystów, w wigilię twego koncertu, zostaną ci zwrócone wszystkie bilety. I po przewycięzeniu wszystkich trudności, po zapłaceniu właścicielowi za wynajęcie sali, dalej powozów dla artystów, bukietów dla śpiewaczek, po wynagrodzeniu za rozlepianie afiszy, rozdawanie programów i biletów, po odłączeniu części dochodu dla biednych, a drugiej dla autorów, wreszcie dla panów X., Y., i Z., którzy ci pomagali w urządzeniu koncertu, coż ci zostanie, co? Nic. Możesz nawet nazwać się szczęśliwym, jeżeli nie będziesz miał deficytu jak tyłu innych.

— To niezbyt wesoły obraz — zauważył Fryderyk.

— Pokazuję ci go takim, jakim jest w istocie przyjacielu, nie zmieniając kolorów.

— Ja też dziękuję panu. Rezygnuję z mego planu.

— Spodziewałeś się zarobić trochę pieniędzy?

— Tak.

— Tyle wydaje się ich w Paryżu!

— Za wiele! — odparł gorzko Fryderyk.

— A jednak — zaczął tamten po chwili milczenia — musisz mieć czasami ładne miesiące. Ile mniej więcej zarabiasz?

— Trzysta do czterystu franków.

— To już cyfra.

— Tak, lecz to jeszcze nie dosyć

— Przychodzi mi nowa myśl. Czy ci zostaje kilka wolnych godzin dziennie?

— Tak jest, a nawet cały dzień, kiedy nie idę do mego pensjonatu.

— Chcesz mieć zajęcie?

— Jakie?

— Na przykład roznoszenie butelek z winem.

— Nie rozumiem pana.

— Mój Boże, przyznaję, że to może zatrudnienie nie dla artysty, lecz cóż robić? Oto jak się rzecz ma: obchodzisz przede wszystkim zaludnione dzielnice robotników, wchodzisz do każdego domu, pukasz do każdych drzwi, od pierwszego piętra do poddasza, pokazując swój towar. Znam ja to dobrze. Zajmowałem się tym przez wiele lat.

— Ach!

— Zarabiałem po trzysta franków miesięcznie.

— Rzeczywiście?

— Można dostać dziesięć, dwanaście, nawet piętnaście franków dziennie. Jakże, chcesz spróbować?

— Z największą chęcią, tylko...

— O, rzemiosło to nie jest trudne; bądź kto cię go nauczyci. Znam jednego chórzystę z opery, który się tym zajmuje; dziś porozmawiam z nim o tobie, a jutro, jeżeli sobie życzysz, zawrzecie panowie znajomość.

— Przyjmuję — odpowiedział młody człowiek po chwili namysłu. Nazajutrz poznał chórzystę, który po długiej rozmowie przedstawił go swemu szefowi, prowadzącemu handel winem na wielką skalę.

Fryderyka przyjęto bezzwłocznie, a w dwa dni później autor „Śmiesznych przygód” zaczął roznosić wina krajowe i zagraniczne, koniaki, wódki i likiery.

* * *

Pewnego dnia rano, między godziną dziewiątą a dziesiątą, po przejażdżce konnej w alejach Lasku Bulońskiego, pan Karol Dumey znajdował się w swoim gabinecie.

Pan Karol Dumey mieszkał przy ulicy Ecuries-d'Artois, w ślicznym pałacyku, będącym jego własnością.

W istocie był to bardzo szczęśliwy młodzieniec, ten pan Karol Dumey. Znał zawsze tylko piękne strony świata. Tak bogaty, że mógł zaspokajać wszystkie swoje zachcianki, twierdził jak sławny doktor Pangloss Voltaire'a, że wszystko idzie jak najlepiej w tym najlepszym ze światów i miał tę cechę, że był zawsze zadowolony z siebie.

Nikom nie zazdrościł, a jeżeli kiedykolwiek czegoś pragnął, to żądanie jego zamieniało się natychmiast w rzeczywistość.

Można było słusznie powiedzieć o nim, że miał tylko trudność przyjscia na świat. Zresztą nikt nie pamięta, czy w tej krytycznej chwili doznał przykrego czy wesołego uczucia.

Puszczając wonne kłęby z doskonałego cygara, pan Karol Dumey odczytywał swą korespondencję: dwa listy od przyjaciół i trzeci, który trzymał właśnie w ręku. Znałby natychmiast, że to list kobiecy, po piśmie cienkim, wydłużonym, a szczególnie po silnym zapachu heliotropu.

Zdawałoby się, że ten list drażni pana Dumeya, gdyż zmarszczka ukazała się między jego brwiami; pomimo tego uśmiechał się lekko.

— Nudzi mnie — mruknął, rzucając list na biurko — i zamęcza tymi bezustannymi wymaganiami. Czyż nie chce, abym ją obwoził po kanale la Manche, kiedy mnie zależy na pobycie w Paryżu? Czyż ja jej tego bronie? Bynajmniej! Niech lata po świecie, ile się jej podoba. Szczęśliwej drogi! Zresztą jest jeszcze za młoda i za ładna, żeby nie znaleźć opiekuna. Co do mnie, mam jej dosyć, ten stosunek trwa już za długo. Poślę jej ostatni podarunek, jako dowód pamięci, a z nim wyrazy szacunku i pożegnania.

Wyciągnął się, głowę odrzucił w tył a zwróciwszy spojrzenie na sufit, zaczął śpiewać półgłosem piosnkę o zmienności kobiecej. Nagle przerwał, słysząc lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał. Był to jego służący.

— Cóż takiego? — zapytał młody człowiek.

— Proszę pana, jakaś pani chce się z panem widzieć.

— Co, jakaś pani? Ernestyna?

— Nie, proszę pana, to nie pani Ernestyna — odparł służący, uśmiechając się.

— Dlaczego nie mówiłeś mi tego od razu? Czy ta pani jest młoda?

— Bardzo młoda.

— Przystojna?

— Bardzo ładna.

— Powiedziała ci swoje nazwisko?

— Nie, proszę pana; co prawda, nie pytałem się o to.

— Dobrze. Wprowadź tę panią.

W chwilę po tym, wytwornie ubrana młoda kobieta weszła do gabinetu, którego drzwi zamknęły się za nią dyskretnie. Postąpiła kilka kroków z uśmiechem na ustach.

Pan Karol Dumey zauważywszy jako znawca, że nowo przybyła jest bardzo ładna, nawet piękna, czym prędzej przysunął jej fotel.

— Pan Karol Dumey mnie nie poznaje? — zapytała nieznajoma głosem słodkim i pieszczotliwym.

Młody człowiek spojrzał na gościa uważnie.

— W istocie — odparł — pani twarz nie jest mi nieznana. Coś sobie przypominam.

— Przypomina pan sobie, że mnie już widział? W Tuluzie, nieprawdaż?

— Ach tak, w Tuluzie.

— U pani Desloges.

— Właśnie. Przypominam sobie całkiem dobrze. Pani zatem jesteście panią, panią...

— Panią Surmain.

— Ależ tak, tak; rozmawialiśmy długo razem, pani była czarująca; teraz wszystkie te szczegóły przypominają mi się. Jestem szczęśliwy, zachwycony, że panią znowu widzę. Lecz, proszę siadać, kochana pani. Nie, nie na fotelu, tam na kanapie, będzie pani wygodniej... Poduszka pod nogi; tak, bardzo dobrze. Rzeczywiście co za miła niespodzianka!

— Onieśmielasz mnie pan swym uprzejmym przyjęciem.

— Nie mogę inaczej witać przyjaciółki pani Desloges. W każdym razie nie odpowiadam za to, że pani natychmiast nie poznałem.

— Już trzy lata temu, jakieś się widzieli.

— Prawda, prawda. Mniejsza o to, powinienem był parną poznać; kto miał raz szczęście panią widzieć, nie powinien jej nigdy zapomnieć.

— Panie...

— O, nie obrażaj się pani; moje słowa wyrażają jedynie moje myśli...

Pani przybyła zwiedzić Paryż? Czy pani tu długo będzie?

— Mieszkam teraz stale w Paryżu.

— Co! Pani mieszka w Paryżu?

— Już blisko od dwóch lat.

— A ja nic o tym nie wiedziałem! Więc pani jest zupełną paryżanką?

— Paryżanką z prowincji.

— Kochana pani, gdyby mi pani raz przysłała swoją kartę, byłbym jej złożył z największym pośpiechem moje uszanowanie.

— Nie ośmieliłabym się na coś podobnego i nie pozwoliłabym sobie złożyć panu dzisiaj wizyty, gdybym nie musiała prosić pana o radę, a może nawet o oddanie przysługi.

— Może pani zupełnie rozporządzać moją osobą, jestem cały na jej usługi.

— Nie zawiodłam się, żywiąc nadzieję, że pan mi nie odmówi tej grzeczności.

— Naturalnie. A więc czym mogę służyć?

— Miałam dom w Tuluzie i sprzedałam go za osiemdziesiąt tysięcy franków. Ostatnią ratę złożoną z trzydziestu tysięcy franków wręczono mi przed kilku dniami, chciałam się więc pana zapytać, gdzie mogłabym te pieniądze umieścić?

— Kupimy pani pięć procent od sta na pożyczce pięciu miliardów. Za lat dwa lub trzy sprzeda je pani, otrzymując bardzo ładne wynagrodzenie.

— Kupiłam już tamtego roku pięć procent i trzy od sta.

— Bardzo dobrze pani zrobiła. Nie można wymagać lepszego umieszczenia, jak na listach zastawnych państwa. Nasz dług publiczny nie jest mały, zapewne, lecz dochody Francji są olbrzymie. Ażeby zaspokoić Prusy, oddajemy im całe nasze złoto i część złota obcych państw. A więc zanim przejdzie ono jeszcze nasze granice, wróci do nas z pewnością. Z tego powodu nie możemy wątpić o naszym szczęściu i bogactwie.

— I ja tak sądzę jak pan. Umieściłam także część moich pieniędzy w zakładach przemysłowych.

— O, tutaj, kochana pani, wybór jest trudny, bo jeżeli jedne z nich są doskonale, to na drugie liczyć nie można.

— Jednym słowem dzisiaj, z wyjątkiem trzydziestu tysięcy franków, nie ulokowanych jeszcze, cały mój majątek jest zamieniony na wartości ruchome.

— Jeżeli na tych wartościach można polegać, a nadto jeżeli one dają pani dochodu sześć procent od sta, to kapitał pani jest znakomicie umieszczony.

— Może mam wartości, na których polegać nie można, jak pan powiedziałeś.

— W takim razie, kochana pani, należy je czym prędzej sprzedać i zastąpić innymi.

Pani Surmain wyjęła z kieszeni papier.

— Oto spis wartości, które posiadam — rzekła, podając papier panu Dumey'owi.

Ten ostatni przebiegł go szybko oczami.

— Tak — odparł — są tu akcje i obligacje bardzo wątpliwe, nie dające żadnego bezpieczeństwa. Zatrzymam ten spis przy sobie, zrobimy, co będzie możliwe, ażeby zabezpieczyć pani kapitał. Powinniśmy przyjąć za zasadę, kochana pani, unikanie wartości zagranicznych. Dając się usidlić widokami wielkiego zysku w krótkim czasie, nie tylko nie otrzymujemy procentów, lecz często tracimy cały kapitał. W ten to sposób w ostatnich latach cesarstwa, zagranica wydarła nam setki miliardów.

— W tym, co będzie trzeba załatwić, zdaję się na pańskie doświadczenie.

— Nie obawiaj się pani niczego, wszystkim pokierujemy jak najlepiej.

— A te "trzydzieści tysięcy franków?"

— Jutro umieścimy je na państwowej pożyczce. Bądź pani łaskawa dać mi swój adres.

Młoda kobieta podała mu kartę z napisem: Pani Helena Surmain 34, ulica Labruyere.

— Jeżeli mnie pani do tego upoważni, będę miał zaszczyt złożyć pani wizytę.

— W tych okolicznościach nie mogę zamknąć przed panem moich drzwi — odpowiedziała ze śmiechem.

— A zresztą — dodał śmiejąc się — musimy pomówić ze sobą o interesach, wszak stała się pani moją klientką.

— To prawda.

— Następnie ma pani prawo mieć przyjaciół.

— Ale tylko przyjaciół — odparła, kładąc nacisk na „tylko”. Patrzył na nią chwilę w milczeniu.

— Pani pozwoli rozmawiać ze sobą jak przyjaciel z przyjaciółką? — zapytał.

— Tak jest.

— Ma pani zaledwie dwadzieścia dwa lata, nieprawdaż?

— Dodaj pan do tego trzy.

— Nigdy nie dałbym pani tego wieku, lecz koniec końców, kobieta dwudziestopięcioletnia, a nawet trzydziestopięcioletnia, jest jeszcze młoda.

— Och! Nie mów mi pan o trzydziestu pięciu latach! — zawołała. — Brrr! Dreszcz mnie przejmuje na tę okropną myśl.

— Będzie je pani kiedyś miała — odparł z uśmiechem — i znosić je będzie z poddaniem i rezygnacją. Lecz oczekując tego straszliwego okresu, nie myśli pani o powtórnym małżeństwie?

— Nie — odpowiedziała ze szczególnym dźwiękiem głosu. I natychmiast jej twarz zmieniła wyraz.

— Czy pani ma wstręt do małżeństwa?

— Bynajmniej.

— W takim razie do mężczyzn?

— Jako kandydatów na męża? Tak jest.

— Rozumiem panią: pierwszy mąż nie uczynił pani szczęśliwą.

— Wydano mnie w bardzo młodym wieku za człowieka już starego, miał on lat czterdzieści pięć, o dwadzieścia siedem więcej ode mnie. Wtedy nie wiedziałam jeszcze nic o życiu i nie domyślałam się niczego. Męża mego nie kochałam i nie miałam nawet czasu pokochać go lub przyzwyczaić się do niego, gdyż umarł w dwa lata później. Pamięci jego nie mogę obarczać wyrzutami, zawsze był dla mnie bardzo dobry. Jeżeli w małżeństwie tym nie znalazłam szczęścia, to nie jego wina.

— A więc nie kochałaś pani nigdy?

Zarumieniała się lekko; po chwili przezwyciężywszy wzruszenie, odparła:

— Nigdy.

— To prawdziwe nieszczęście.

— Dlaczego?

— Bo pozbawiłaś pani jednego człowieka szczęścia, którym obdarzyłabyś go z pewnością w miłości.

— Ach! Takie jest pańskie zdanie! — odezwała się drżącym głosem.

— Tak, kochana pani, wierzę w to głęboko. Nic jeszcze nie stracone; serce pani, które jeszcze nie przemówiło, upomni się o swoje prawa prędzej czy później. Pokochasz pani...

— Nigdy! — przerwała stanowczo.

— Och, och! Jakim tonem wymówiłaś pani ten wyraz! Jest więc pani pewna siebie?

— Tak.

— W takim razie ukrywa pani przede mną prawdę. Serce pani otrzymało już kilka ran i cierpi... Lecz nie jestem ja ani lekarzem, ani spowiednikiem; racz pani przebaczyć mi moją ciekawość i znajdziemy inny przedmiot rozmowy.

— O, tak — pochwyciła spieszenie — mówmy o czym innym.

— O Tuluzie?

— I owszem.

— Zamierzam udać się tam w jesieni. Nie odwiedziłem mego starego wuja, pana Percier, od roku 1870, od czasu, kiedyśmy się spotkali u pani Desloges. Otrzymuje pani często wiadomości stamtąd?

— Bardzo często.

— Jest pani zawsze przyjaciółką tej prześlicznej dziewczyny, o której rozmawialiśmy tak długo, a która nazywa się, jeżeli mnie tym razem pamięć nie zawodzi, Emelina de Revilly?

— Jesteśmy zawsze przyjaciółkami, lecz próżno szukałbyś pan w Tuluzie Emeliny de Revilly, gdyż nazwisko swe de Revilly zmieniła na Boissier.

Pan Dumey zadrżał mimo woli.

— Ach! — odezwał się z żalem — więc wyszła za mąż!

* * *

Chwilę panowało milczenie.

Naturalnie, mówiła w duchu pani Surmain, jeżeli pamięta dotychczas Emelinę, to dlatego, że wywarła na nim wielkie wrażenie.

Karol Dumey zaczął pierwszy:

— Dawno odbył się ślub panny de Revilly?

— Był pan w Tuluzie, kiedy małżeństwo było już postanowione, ślub odbył się niedługo potem.

— Czy zrobiła dobrą partię?

— Tak i nie.

— Czy jej mąż jest bogaty?

— Przeciwnie, człowiek bardzo biedny.

— Rozumiem, małżeństwo z miłości.

— Tak jest, ze strony męża.

— Jak to! — przerwał żywo — czy nie odwzajemnia mu uczucia?

— Jestem przekonana, że dotychczas Emelina nie kochała.

— To dziwne.

— Dlaczego?

— Pan de Revilly posiadał wcale ładny majątek i trudno zrozumieć, z jakich powodów pańia Emelina poślubiła biednego człowieka.

— U państwa de Revilly były tylko pozory wielkiego majątku. Więcej tam było długów niż pieniędzy. Od kilku już lat ojciec Emeliny trzymał się jeszcze na powierzchni za pomocą wszelkich możliwych środków. Wojna przyspieszyła katastrofę. Pan de Revilly musiał uznać swą zupełną ruinę, a po sprzedaniu wszystkiego, co posiadał, zarówno ruchomości jak i nieruchomości, nie wystarczało nawet na zaspokojenie połowy wierzycieli. Państwo de Revilly zniknęli z Tuluzy i jak ludzie powszechnie twierdzą, znaleźli schronienie w naszej kolonii algierskiej. Teraz pan zrozumie, dlaczego wydali swą córkę za pierwszego lepszego; wszakże niełatwo pozbyć się z domu córki bez posagu.

— Czym zajmuje się jej mąż?

— Czym może. Jest artystą.

Na ustach pana Dumeya ukazał się uśmiech podobny do skrzywienia.

— Prawdopodobnie słyszał pan o nim w Tuluzie — ciągnęła dalej pani Surmain. — Pan Fryderyk Boissier jest tam bardzo znany. Jest on profesorem, skrzypkiem, organistą, a nawet kompozytorem.

— Może być, ale artysta pozostanie zawsze nędzarzem.

— Z tego też jedynie powodu Emelina zrobiła złą partię. Kobieta tak piękna jak ona potrzebuje bogactwa i przyjemności, które ono dostarcza. Ona urodziła się dla zbytku, aby być przedmiotem podziwu, tak jak inni przyszli na świat dla niewoli, dla pracy i trudów. Emelinie, nie posiadającej bogactwa, brak wszystkiego, bo nie potrafi ocenić tego, co dla innej byłoby szczęściem. Wychodząc za męża, miała swoje marzenie: spodziewała się, że mąż jej zdobędzie wkrótce rozgłos, że prędko zostanie panem znacznego majątku. Dziś marzenie prysło jak bańka mydlana, dzisiaj poznawszy rzeczywistość, nie czuje się szczęśliwa.

— Czyli nie kocha swego męża?

— Jak panu powiedziałam przed chwilą, Emelina kocha dotychczas tylko swą uroczą postać. Gdyby jednak pan Boissier ziścił jej marzenia, przywiązałaby się do niego z pewnością, a nawet pokochała. Szczęście związku, przyszłość dwóch istot, które należą do siebie, zależy często od czegoś bardzo nieznacznego. Nie wiem, jakie jest przeznaczenie Emeliny. Inna na jej miejscu, z jej usposobieniem, załamałaby się już dawno. Jeżeli i jej nie ma ominąć to nieszczęście, to nie ulegnie ona jak zwyczajna kobieta. Chociaż jest zalotna, lekka, to ma jednak poczucie godności i uczciwości.

Już od chwili pan Karol Dumey marzył.

— Pragnę bardzo poznać pani przyjaciółkę — powiedział. — Podczas mego następnego pobytu w Tuluzie postaram się zostać przedstawiony panu Boissier.

— To będzie niemożliwe — odparła młoda kobieta z uśmiechem.

— Jak to niemożliwe, nie znam tego słowa, kochana pani.

— Powiedziałam, że byłoby niemożliwe przedstawić się panu Boissier w Tuluzie i powtarzam to raz jeszcze.

— Powody?

— Jest tylko jeden, lecz dostateczny: państwo Boissier nie mieszkają w Tuluzie.

Pan Dumey poczuł się przykro dotknięty.

— Więc pojechali też do Algieru? — zapytał.

— Nie, są bliżej, daleko bliżej.

— Gdzież zatem?

— W Paryżu.

— Co, w Paryżu?

— Już przeszło od roku.

— Więc pani widuje ich często?

— Męża bardzo rzadko, lecz Emelina odwiedza mnie dwa lub trzy razy tygodniowo.

— A!

Chwilę oboje milczeli.

— Jakie jest stanowisko pana Boissier w Paryżu? — spytał pan Dumey.

— Jedno z najskromniejszych, żeby nie powiedzieć złe.

— Ma zajęcie?

— Ma ich nawet kilka. Daje lekcje muzyki w jednym pensjonacie, jest skrzypkiem w jednym z teatrów, wreszcie trudni się roznoszeniem wina.

— I to wszystko przynosi mu...?

— Od trzystu do czterystu franków miesięcznie.

— Właśnie tyle, ile potrzeba, ażeby nie umrzeć z głodu.

— Toteż znajduje się ciągle w niedostatku.

— Muszę zostać przyjacielem pana Boissier.

— To będzie bardzo trudne.

— Dlaczego?

— Pan Boissier jest nieufny, chmurny i zazdrosny.

— To źle, mógłbym mu dostarczyć zajęcie, gdzie dostawałby dwanaście tysięcy franków rocznie.

— Gdyby pan Boissier zarabiał tysiąc franków miesięcznie, Emelina byłaby szczęśliwa.

— Tak pani sądzi?

— Zapewne, i zaczęłaby kochać swego męża. Panie Dumey — dodała, patrząc na niego z ukosa — pomówię z panem Boissier o tym świetnym zajęciu.

— Nie, jeszcze nie. Pani rozumie, kochana pani, że nie mogę obiecywać czegoś, czego nie byłbym może w stanie dotrzymać. Daj mi pani czas do namysłu, do zbadania terenu.

— Zgoda, nie powiem niczego bez pańskiego upoważnienia.

— Tak będzie lepiej. A zresztą do tego czasu będę miał prawdopodobnie sposobność spotkania w pani mieszkaniu panią Boissier.

— Może to się zdarzyć bardzo łatwo, zwłaszcza jeżeli będzie mnie pan częściej odwiedzał.

— Za wielkiej doznaję przyjemności w rozmowie z panią, kochana klientko, bym sobie nie miał częściej na tę przyjemność pozwalać, szczególnie, jeżeli mnie pani nie będzie uważała za natręta.

— Wie pan dobrze, że myślę przeciwnie.

— Bo... widzi pani, byłbym zdolny nadużyć...

— Zobaczymy — odparła ze śmiechem. — Kiedy pan przyjdzie?

— Dzisiaj mamy czwartek, w sobotę, pojutrze będę miał zaszczyt...

— O której godzinie?

— O tej, która będzie pani dogodna.

— Może o jedenastej?

— Przepraszam, ale o tej porze spożywa pani prawdopodobnie śniadanie.

— A cóż to szkodzi? Dlaczego nie miałbyś pan jeść go ze mną?

— To wygląda na zaproszenie.

— Zapewne.

— A więc, kochana pani, przyjmuję.

— Wyśmienicie, jest pan bardzo uprzejmy.

— Pani zaś jest urocza.

— Tak, tak — odezwała się wstając — darujmy sobie nawzajem resztę komplementów.

Odprowadził ją aż na dziedziniec pałacu. Podali sobie ręce i pani Surmain oddaliła się ze słowami:

— W sobotę.

Karol Dumey wrócił zamyślony do swego gabinetu; co chwilę dziwny błysk zapalał się w jego spojrzeniu.

— Zdaje mi się, że i tego roku nie odwiedzę mego starego Percier — mruknął. I tajemniczy uśmiech przesunął się po jego wargach.

Spojrzenie jego padło na list, leżący na biurku, który rzucił tam przed godziną.

— Teraz — rzekł — wiem, co mam jej odpowiedzieć: moja panno, wszystko między nami skończone. Do widzenia, moja piękna! — zapaliwszy drugie cygaro, rozciągnął się na kanapie i zaczął marzyć, podczas gdy jego oczy biegły w ślad za dymem, wznoszącym się błękitnymi kólkami ku sufitowi. A tymczasem rozmyślał:

Jeżeli ta ładniutka Emelina wygląda tak jak trzy lata temu, to dziś należy do najpiękniejszych kobiet w Paryżu.

Wróciwszy do siebie, pani Surmain wzięła pióro, papier i atrament, lecz zanim zaczęła pisać, zawahała się chwilę.

— Tak, cierpi, bardzo cierpi — mówiła półgłosem — lecz jeszcze nie dosyć, ażebym się czuła zadowolona i pomszczona... Najbardziej

cierpiałam przez zazdrość i przesłałam wszystkie jej męczarnie, a on jest ich sprawcą i teraz z kolei on dozna tych katuszy. Będę się cieszyła dopiero wtedy, kiedy jego serce będzie rozdarte, rozkrwawione, w strzępach! Musi wejść na Golgotę, uginając się pod ciężarem bólu i nieszczęścia!

Ciemna błyskawica zamigotała w jej oczach. Chwyciwszy za pióro, skreśliła pewną ręką następujące słowa:

Kochana Emelino

Nie przychodź do mnie jutro, bo nie zastałabyś mnie w domu; czekam na Ciebie w sobotę, o godzinie jedenastej. Zjemy razem śniadanie, a potem udamy się na przejażdżkę do lasku. Twoja przyjaciółka

Helena

List ten wrzuciła własnoręcznie do skrzynki pocztowej, a wieczorem tego samego dnia czytała go Emelina.

W sobotę rano Emelina, myśląc o przejażdżce do lasku, ubrała się w swój najładniejszy i najświeższy kostium, zajmując się jak zwykle, bardzo troskliwie najdrobniejszymi szczegółami swej toalety. Wiedząc dobrze, że dwie młode i piękne kobiety, jadące do lasku w wielkim powozie, ściągają na siebie zawsze powszechną uwagę, nie chciała opuścić sposobności nasycenia raz jeszcze swej próżności tym podziwem, jaki wzbudzała jej urocza postać.

O jedenastej zjawiała się w mieszkaniu pani Surmain. Ta ostatnia obsypała ją komplementami na widok jej nowej sukni. Pochwała uradowała Emelinę. Rysy jej ożywiły się natychmiast, a prześliczne oczy zajaśniały żywszym blaskiem. Nawet Helenę ogarnął zachwyt. Odezwała się szczerze:

— Rzeczywiście, nie wiem, czy jest w Paryżu kobieta piękniejsza od ciebie.

Emelina usiadła.

— Za chwilę podadzą nam śniadanie — rzekła pani Surmain.

— O! Nie jestem głodna, mogę zaczekać.

Przez kilka minut rozmawiały o rzeczach mniej lub bardziej obojętnych. Wreszcie zapukano do drzwi.

— Ach! — odezwała się Helena wstając — przychodzą nam oznajmić, że możemy przejść do sali jadalnej.

Drzwi się otworzyły. Weszła pokojowa.

— Proszę pani — rzekła — to wizyta.

— Wizyta o tej porze? — zawołała pani Surmain z udanym zdziwieniem. — Czy ta osoba powiedziała ci swoje nazwisko?

— To jakiś pan; kazał oznajmić pana Karola Dumeya. Emelina doznała lekkiego zawrotu głowy. Trochę zmieszana spojrzała na przyjaciółkę, pytając:

— Mam się oddalić?

Pani Surmain, odpowiedziała bardzo szybko:

— Jako właściciel jednego z kantorów wymiany, pan Karol Dumey otrzymał polecenie kupienia mi kilku listów na giełdzie; prawdopodobnie chce pomówić ze mną o interesach; ale nie mam tajemnic przed tobą, możesz usiąść na kanapie. Zwróciwszy się do pokojowej, dodała: — Proszę wpuścić pana Karola Dumeya.

Prawie w tej samej chwili on sam stanął w drzwiach pokoju.

— Pani — zaczął. — Nagle urwał, osłupiały na widok Emeliny.

— Pani Emelina Boissier, moja przyjaciółka jeszcze z lat dzieciennych — odezwała się szybko pani Surmain. — Kochana Emelino — dodała — przedstawiam ci pana Karola Dumeya, siostrzeńca pana Percier, którego znasz bardzo dobrze. Pan Dumey jest więc po części naszym współziomkiem. — Zwracając się do pana Dumeya, ciągnęła dalej: — Pani Boissier przyszła dziś do mnie na śniadanie; spodziewam się, że widok mojej przyjaciółki nie przeraża pana i że pan zechce wziąć udział w naszym skromnym śniadaniu.

— Ależ... ależ, zapewne — młody człowiek wykrztusił z trudnością.

— Wyśmienicie. Pozwólcie państwo, że was opuszczę na chwilę; muszę wydać rozkaz, ażeby dodano trzecie nakrycie. — Wyszła, posyłając każdemu z nich uśmiech.

Co to ma znaczyć? — mówił w duchu pan Dumey. — Przybywam, i otrzymuję powtórne zaproszenie... Jeżeli pani Surmain odgadła moją myśl, za czym wszystko przemawia, w takim razie jest za mną, nie przeciw mnie, gdyż wyraźnie podsuwa mi wszystkie atuty.

Zastanowiwszy się nad tym szybko, pan Dumey zbliżył się do Emeliny, która stała oparta o marmur kominka.

* * *

— Jak pani Surmain przed chwilą się wyraziła — przemówił pan Dumey z prawdziwym czy udanym wzruszeniem, które podobało się młodej kobiecie — jestem trochę pani współziomkiem. W istocie moja matka urodziła się w Tuluzie i ja sam choć urodzony w Paryżu, spędziłem tam część mego dzieciństwa. Znałem już panią, gdyż miałem przyjemność widzenia jej przed trzema laty w Tuluzie. Wchodząc do tego salonu, poznałem panią natychmiast; dowodzi to, że obraz pani tkwi w mej pamięci. Wtedy była pani panną de Reville, dziś pani Surmain, nazywając ją panią Boissier, powiadomiła mnie, że jesteś pani zameżna.

Emelina zadowolona się skinieniem głowy.

— Prawdopodobnie naśladowała pani panią Surmain — ciągnął dalej Karol Dumey — opuściła pani Tuluzę, ażeby zamieszkać w Paryżu?

— Tak jest, mieszkam teraz stale w Paryżu.

— Jestem tym zachwycony, gdyż będę miał niewysłowione szczęście spotkania pani czasami.

Młoda kobieta poczuła jak gdyby ogień na czole i policzkach.

— O, nie biorę udziału w zebraniach wielkiego świata, na które pan uczęszcza — odparła niezręcznie i z akcentem, który ukrywał tajemne życzenie.

— Lecz pani często widuje panią Surmain.

— Tak jest, bardzo często.

— Pozwól mi zatem, pani, liczyć na szczęśliwy traf, który mi dziś wyświadczył tak wielką przysługę.

Emelina nie znalazła odpowiedzi, czując ogarniający ją coraz większy niepokój.

Na szczęście pani Surmain wybawiła ją z niemiłego położenia, prosząc ich do stołu.

Pan Dumey ofiarował ramię Emelinie.

Tam do diabła — myślał kawaler — moje serce zaczyna się niepokoić; to całkiem naturalne. Ta kobieta ma jakiś nieokreślony wdzięk, jest czarująca, boska, a ja szalenie zakochany!

Śniadanie przeszło bardzo wesoło. Pierwsze lody zostały przełamane. Pan Dumey rozwinął cały swój talent gładkiego salonowca, ogień z oczu Emeliny dodał mu zapędu. Rozmawiając o Paryżu jak człowiek, który go

zna do głębi, opowiedział z wielkim dowcipem kilka anegdotek, obiegujących właśnie całe miasto.

Emelina śmiała się serdecznie, rozchylając swe ponętne usta i pokazując cudowne zęby. Biorąc czynny udział w rozmowie, była nadzwyczaj urocza, bez cienia zalotności.

Kiedy o godzinie trzeciej pan Dumey powstał, aby się oddalić, Emelina podała mu rękę, którą on trzymał dość długo, a nawet przyrzekła odwiedzić przyjaciółkę w przyszłą środę.

Nie zapomniano o wycieczce do lasu. Powóz czekał już na ulicy. W chwilę po odejściu młodego człowieka, przyjaciółki, wzięwszy kapelusze, wyjechały. Naturalnie rozmawiały o panu Karolu.

— To młody człowiek nadzwyczaj miły — odezwała się pani Surmain — i przyjaźń jego bardzo mi pochlebia. Przyznam ci się, że podoba mi się jego charakter: jest dobry i bez próżności. Czy podzielasz mój sąd o nim, Emelino?

— Tak, pan Karol Dumey jest przyjemny i wesoły.

— Im lepiej go poznaję, tym więcej cenię jego przymioty...

— I nie myśli o ożenieniu się?

— Nie, widocznie zależy mu na zachowaniu wolności.

— Może ma i słusność.

— Kobieta, którą by kochał, byłaby godna zazdrości.

— O, taka musi już istnieć!

— Mylisz się: pan Dumey jest jednym z tych ludzi, którzy szukają doskonałości w kobiecie, a wiesz dobrze, że kobietę doskonałą nie tak łatwo znaleźć.

— Ma prawo być wybredny.

— Pewnie, choćby tylko ze względu na jego wielki majątek. Może pozwolić sobie na wszystko i zaspokajać najdroższe wybryki. Dziś znajduje się w Paryżu, za dwa dni może być w Rzymie, w Wiedniu, w Berlinie lub gdziekolwiek indziej. Moja droga, on ma sześciu czy siedmiu służących na usługi, wiele powozów i nie wiem ile koni w stajni. Ma stałą lożę w operze, w teatrze i operze komicznej. Możesz sobie wyobrazić, że nie odmawia sobie żadnej przyjemności. Młody jeszcze, elegancki i milioner, ma wstęp do wszystkich salonów; zapraszają go na wszystkie uroczystości, wszystkie zabawy. Pałac jego przy ulicy Ecuries-d'Artois jest prawdziwym cudem świata. Wszystko lśni od jedwabiu, mieni się wzorzystymi kobiercami, połyskuje złotem. To coś olśniewającego, czarodziejskiego; pałac jego

można by wziąć za zaczarowane mieszkanie wschodniego księcia. Piękne freski, malowane przez mistrzów, zdobią sufity i ściany w salach, nie licząc prześlicznych obrazów wielkiej wartości, marmurów i brązów...

Emelina nie mogła stłumić westchnienia. Ten obraz szczęścia i zbytku przypominał jej o własnym marzeniu.

W ten to sposób pani Surmain wlewała w jej serce w maleńkich dozach jadowitą truciznę.

Jeszcze nie objechały jezior, gdy na tętent galopującego konia zwróciły swe głowy.

W jeźdźcu, który zbliżał się z tyłu, poznały pana Karola Dumeya.

— To on — szepnęła Emelina drżącym głosem.

— Pogoda prześliczna — odparła Helena — chciał również przejechać się po lasku.

Wiedząc, że nas tu spotka — dokończyła w myśli Emelina.

Jeździec zrównał się z powozem. Zwolniwszy bieg swego rumaka, ażeby nie wyprzedzić konia zaprzęzonego w powozie, towarzyszył damom przez chwilę.

Tłum ludzi przechadzał się nad brzegiem jezior. Pan Dumey nie pragnął widocznie budzić swym zachowaniem zbytnej ciekawości, gdyż zamieniwszy kilka słów z panią Surmain i Emelina, ukłonił się z uszanowaniem i zniknął w alei, wiodącej w głąb lasku.

Dla mnie tu przyjechał — pomyślała Emelina — chciał mnie dziś raz jeszcze widzieć.

Coś w niej zadrżało, lecz nie zdawała sobie sprawy ze swego wzruszenia.

Nie myliła się. Tak jest, dla niej, aby ją zobaczyć, pan Karol Dumey wbrew swemu zwyczajowi znajdował się w lasku między trzecią a piątą wieczorem.

Wróciwszy do siebie, wydał rozkaz osiodłania konia, po czym wyjechał na poszukiwania Emeliny, zapomniawszy dobrowolnie o załatwieniu interesów o godzinie czwartej.

Karol Dumey był zupełnie upojony wdziękiem i czarem Emeliny. Myślał tylko o jednym: mieć ją za kochankę. Nie widział w tym wcale trudności. Przewidując pewien upór, wiedział jak zwycięża się go w takich kobietach. Zresztą domyślał się, że w tym razie ma silnego sprzymierzeńca w pani Surmain.

Karol Dumey był porywczy. Przyzwyczajony do natychmiastowego spełniania swych wszystkich zachcianek, nie chciał niczego zaniedbać, ażeby doprowadzić jak najprędzej do skutku to nowe uwiedzenie.

Teraz — myślał — moją kochanką będzie najczarowniejsza kobieta w Paryżu. — Czyż wobec tego mógł myśleć o mężu i dziecku Emeliny?

Przez miesiąc Karol Dumey widywał często Emelinę u pani Surmain, gdzie godziny mijały szybko na uwodzicielskiej konwersacji. Również często spotykał ją w ogrodach publicznych, gdzie przechadzała się dla zabicia czasu. Chociaż nie umawiała się z nim nigdy, to jednak wiedział prawie zawsze, o której godzinie będzie się znajdowała w tym lub owym miejscu.

Usiadłszy na uboczu, ażeby być jak najmniej widzianymi, rozmawiali. Godzina szybko przechodziła. Co chwila Karol brał ją za rękę, którą usuwał dopiero wtedy, gdy miał już czas ścisnąć ją wymownie. Uwodziciel nie posunął się jeszcze dalej. Obawiał się obudzić jej podejrzliwość.

Przecież — myślał nieraz — powinna wiedzieć, że ją kocham i zrozumieć, czego pragnę.

Mógł to przypuszczać a nawet w to uwierzyć, lecz nieszczęściem dla niego, Emelina była tak zimna i spokojna, jak on był gorący i namiętny. Jej zachowanie skłaniało do szacunku, onieśmielała go, zmuszając do uważania na swoje postępowanie. Tłumiąc w sobie niecierpliwość, czekał na sposobność, w której jakiegokolwiek wzruszenie rzuci ofiarę w jego objęcia.

Pewnego dnia Emelina przyjęła śniadanie, które ofiarował jej i Helenie w jednym z salonów kawiarni angielskiej.

W kilka dni potem, pod pozorem zwiedzenia osobliwości jego pałacu, kazał podać obydwu paniom wspólny obiad, nazywając go skromną kolacją.

Zaślepiąca i ogarnięta nienawiścią, gdyż kochała ciągle Fryderyka, pani Surmain nie spostrzegła, że odgrywa tu rolę nikczemną, ohydną.

Karol Dumey podwajał troskliwość, przysługi, grzeczności, pozostając zawsze pełen uszanowania. Nie wymówił nigdy słowa, które mogłoby uderzyć niemile ucho Emeliny lub zranić jej uczucia.

Co do Emeliny, zdawało się, że zachowując zupełną równowagę umysłu nie spostrzega grożącego jej niebezpieczeństwa.

* * *

Pewnego dnia, około czwartej po południu, wracając z Ternes, gdzie zamówiono dosyć dużo wina, Fryderyk Boissier pomyślał, że nieźle by było przejść przez park Monceau, którego jeszcze całkiem nie znał.

Idąc jedną z alei wiodących do grotty, postrzegł nagle na ławce, otoczonej gałęziami bzu i jaśminu, swoją żonę, rozmawiającą z człowiekiem bardzo bogato ubranym, którego nigdy w życiu nie widział. Na ten widok stanął jak wryty, nie mogąc postąpić kroku naprzód. Wszystka krew spłynęła mu do serca i stał nieruchomo, trupioblady. Po chwili zdołał opanować wzruszenie. Wtedy zaczął szukać sposobu usprawiedliwienia Emeliny. Przyszła przechadzać się w parku, tego nikt jej nie wzbraniał; wszak i on tu się znajdował. Usiadła na ławce; nie można ciągle chodzić bez wypoczynku. Jakiś człowiek usiadł na tym samym miejscu; każdemu to wolno. Zaczął rozmawiać z Emeliną i ta mu odpowiadała. Może lepiej zrobiłaby oddalając się, lecz w każdym razie to nic jeszcze złego.

Uspokojony tym rozumowaniem zamierzał zbliżyć się do Emeliny, gdy ta ostatnia powstała razem z nieznanym.

Wtedy, jakby przez mgłę, która mu nagle zakryła oczy, Fryderyk zobaczył, że jego żona przyjmuje ramię podane jej przez obcego mężczyznę. Tym razem krew uderzyła mu gwałtownie do głowy. Oszołomiony zachwiał się, jakby miał runąć na ziemię. Chciał wydać krzyk, przekleństwo, ale chrapliwy dźwięk wydarł mu się z gardła.

Kiedy przyszedł do siebie, Emelina i jej towarzysz zniknęli. Rzucił się w ich ślady, aby się z nimi złączyć. Dwa razy przebiegłszy cały park jak szalony, zrozumiał wreszcie, że tych, których szukał, tu nie było. Wtedy wyszedł z parku z sercem ściśniętym rozpaczą.

Wracając powoli bulwarem Malesherbes, uspokoił się nieco. Mógł już się zastanawiać. Z początku jego bardzo gorzkie myśli wychodziły na korzyść Emeliny. Chciał jeszcze raz ją oczyścić. Czy się nie mylił? Czy rzeczywiście przyjęła ramię nieznanomego? Zmuszał się do wątpliwości. Widział wprawdzie, lecz nie dowierzał swemu wzrokowi.

Są ludzie — myślał — którzy widzą rzeczy nieistniejące. Do tych i ja należę. — Zaczął się śmiać. Ale śmiech jego nie był szczery. Było to pierwsze ukłucie zazdrości.

Wrócił do siebie wieczorem pozornie tak spokojnie jak zwykle. Rozmawiał z Emelina, jedząc obiad. Po obiedzie, gdy służąca już odeszła, przeszli do małego saloniku.

— Gdzie byłaś dzisiaj? — zapytał Fryderyk Emelinę. Często zwracał się do niej z tym lub podobnym pytaniem.

— Zrobiłam kilka wizyt — odparła młoda kobieta. I wymieniła kilka osób, między nimi i panią Surmain.

— Długo zabawiałaś u twej przyjaciółki Heleny? — zapytał.

— Tak, długo.

— O której tam przybyłaś?

— Nie pamiętam dobrze, może o trzeciej. Dlaczego stawiasz mi te dziwne pytania?

— O! Tak sobie, żeby wiedzieć. Trzeba przecież o czymś rozmawiać. Więc odwiedziłaś panią Surmain około godziny trzeciej?

— Tak jest, o trzeciej.

— A wyszłaś?

— O piątej, aby wrócić do domu.

— Prosto do domu?

— Tak.

Fryderyk chwycił rękę swej żony i ścisnął ją mocno.

— Emelino, kłamiesz! — odezwał się głucho. Patrzył jej prosto w oczy płomieniejącym wzrokiem.

Czuła się zmieszana i przerażona tym badawczym spojrzeniem; cofnęła się, zwracając oczy w inną stronę.

— Kłamiesz! — powtórzył. Teraz zadrżała.

— Ależ połamiesz mi kości! — krzyknęła, usiłując wyrwać mu swą rękę.

— Emelino — zaczął znowu — gdzie byłaś o godzinie czwartej? „Jeden z jego przyjaciół mnie spotkał, lub on sam mnie widział”, pomyślała młoda kobieta.

— Odpowiedz w końcu — nalegał Fryderyk drżącym głosem.

— Nudzisz mnie tymi nedorzecznymi pytaniami, nie myślę ci odpowiadać — odparła sucho.

— Mam ja ci powiedzieć?

— Daj mi raz spokój.

— O godzinie czwartej — ciągnął dalej Fryderyk — byłaś w parku Monceau a nie u pani Surmain. Siedziałaś na ławce rozmawiając z jakimś człowiekiem, i wyszłaś z ogrodu wsparta na jego ramieniu.

Próbowała zaprzeczyć.

— Nie usiłuj skłamać raz jeszcze — krzyknął gwałtownie — ja cię widziałem!

— A więc — odpowiedziała — widziałeś mnie. Cóż z tego? Czy popełniłam zbrodnię?

— Skłamałaś, Emelino, a kłamstwo pozwala wszystko przypuszczać.

Spojrzała na niego zuchwale.

— Tylko tego brakowało, znieważaj mnie!

— Emelino!

— Słowa, które przed chwilą wymówiłeś, są dla mnie obelgą — odparła wyniośle. — Jeżeli nie powiedziałam ci prawdy, to dlatego, że znam twoje śmieszne podejrzenia. Zresztą nie jestem zobowiązana zdawać ci sprawy z tego, co robię, godzina po godzinie, minuta po minucie. Zdaje mi się, że kobieta w moim wieku może obejść się bez opiekuna.

— Zgoda, lecz są rzeczy, których kobieta nigdy czynić nie powinna, a mąż ma zawsze prawo osądzić jej postępowanie.

— A to dobre — w głosie jej zadrgało oburzenie — odkąd to nie wolno kobiecie rozmawiać w ogrodzie publicznym z mężczyzną, którego zna, a nawet przyjmować jego ramienia, jeżeli pragną rozmawiać dalej podczas przechadzki.

— Znasz tego człowieka?

— Tak jest, od dawna.

— Gdzie go poznałaś?

— W Tuluzie.

— Jak się nazywa?

— Karol Dumey.

— Karol Dumey — Fryderyk powtórzył, usiłując przypomnieć sobie to nazwisko.

— Matka jego była z Tuluzy, on sam tam się wychował, jest siostrzeńcem pana Percier.

— Milionera!

— Tak, milionera!

— Wiedziałem, że siostrzeniec pana Perciera mieszka w Paryżu, lecz nie znałem jego nazwiska. Ten pan Dumey jest sam niezmiernie bogaty?

— Tak mówią.

— To zapewne człowiek żonaty?

— Nie, kawaler. Fryderyk zmarszczył brwi.

— Czy pierwszy raz spotykasz go w Paryżu? — zapytał.

— Na ulicy tak. Lecz ponieważ nie można niczego ukrywać przed tobą, ażeby nie być przedmiotem podejrzeń, oświadczam ci, że widziałam go dwa czy trzy razy u Heleny.

— Moja droga Emelino — odpowiedział młody człowiek — postąpiłem nieco za żywo z tobą i żałuję tego. Byłem wzburzony, niespokojny, przyznaję, ale nie oskarżałem ciebie. Pokładam w tobie pełne zaufanie, wiedząc, że byłabyś niezdolna do uchybienia jednemu z twych obowiązków. Lecz widzisz, Emelino, w Paryżu grożą na każdym kroku niebezpieczeństwa, których należy unikać i omijać je z daleka. Gdy się posiada skarb, ceniony więcej niż życie, pragnie się zatrzymać go i obawia się złodziei. Nie powinnaś winić mnie, że taki jestem. Jesteś moim skarbem, Emelino, ty i nasze dziecko, jesteście wszystkim dla mnie. Dla was, gdyby było potrzeba, oddałbym życie z radością. Emelina i Żaneta! Na tych dwóch głowach tak drogich, tak ukochanych spoczywa moje szczęście. Ach, Emelino, mój skarbie najdroższy, nie powinnaś się obrażać, gdy lękam się niebezpieczeństwa, zagrażającego memu szczęściu. Cóż warte by było bez niego moje życie? Nic, zupełnie nic! Mówisz o mych podejrzaniach; czyż wszyscy mężczyźni ich nie mają? Mamy podejrzania, gdy mamy godność i dumę. Dbam o twoją reputację, Emelino, i nie pozwolę, ażeby cokolwiek mogło jej przynieść ujmę. Będąc biedny jestem właścicielem cennego dobra, mego honoru! Wart on tyle, co honor człowieka najbogatszego i najpotężniejszego. Mając tylko honor, życzę sobie, aby pozostał nienaruszony. Lecz powtarzam ci,

Emelino, mam do ciebie zaufanie, wypędzając wszelką obawę z serca. Możesz obronić się przeciw pokusom miłości, którą czuję dla ciebie, możesz uniknąć niebezpieczeństwa myślą o twym dziecku. Z tą pomocą, Emelino, uczciwa kobieta nie powinna niczego się obawiać, bo jest niezwyciężona. Pomimo tego, jeżeli dobrem jest mieć siłę, konieczne jest posiadać roztropność i nie występować zbyt zuchwale przeciw niebezpieczeństwu. Słuchaj mnie więc, Emelino, musisz zrezygnować z odwiedzin u pani Surmain.

— Chcesz mi zabronić widywania Heleny, mojej najlepszej przyjaciółki? — zawołała.

— Błagam cię, zrób dla mnie tę ofiarę.

— Nigdy!

— Jeszcze raz, Emelino, źle robisz, odwiedzając panią Surmain.

— A dlaczego?

— Bo w ten sposób narażasz się na kompromitację.

— Znowu coś nowego, kompromituję się, odwiedzając czasami moją przyjaciółkę! Za kogo uważasz Helenę? Czy masz prawo wątpić w jej uczciwość?

— Nie, ale...

— W ten sposób — przerwała gwałtownie — mam zrywać z panią Surmain, jedyną osobą, którą znam dobrze w Paryżu, dlatego, że ci się Bóg wie co roi po głowie! Wiesz, jak ja to nazywam? Tyranią. Ależ to wstrętne doprawdy. W takim razie zamknij mnie pan na klucz. Zresztą, nie słucham pana dziś więcej, bo prawdopodobnie znajdujesz się w gorączce. Krótko, zgadzasz się pan czy nie, panie mężu, pozostanę przyjaciółką pani Surmain, odwiedzając ją nadal, kiedy mi się będzie podobało.

— Nie można zupełnie rozmawiać z tobą, Emelino.

— Bo nie cierpię rozmowy bez sensu!

— Emelino, nie mogę niczego zarzucić pani Surmain i sędzę, że jest ona kobietą uczciwą, Radząc ci unikać jej towarzystwa, nie wydawałem rozkazu, lecz dałem ci tylko wskazówkę. Nie będąc bardzo bogatą, pani Surmain posiada majątek. Widzę w tym dla ciebie pierwsze niebezpieczeństwo. Spotykasz u niej pana Dumeya i prawdopodobnie spotkasz go jeszcze nieraz. To drugie niebezpieczeństwo.

— Zapewne również z powodu jego bogactwa.

— Tak jest, Emelino. Nie znam go, nie wiem co to za jeden, lecz słusznie czy niesłusznie, nie ufam temu człowiekowi.

— Ach, jesteś zazdrosny!

— Tak, Emelino, jestem.

— Zaiste, brakowało ci tylko tego przymiotu, żeby być doskonałym małżonkiem — odparła ironicznie. — Jeżeli twoja zazdrość jest oznaką wielkiego zaufania, jakie pokładasz we mnie, czuję się mocno zobowiązana. Tak więc źle robię, widując ludzi bogatych, bo z ich strony grozi mi niebezpieczeństwo. To niewesołe, zwłaszcza, że moje zdanie w tej mierze różni się od twojego. Co do mnie, lubię bardzo wchodzić w kontakt z ludźmi bogatymi i stojącymi wyżej ode mnie, gdyż w ogóle są to ludzie dystyngowani i dobrze wychowani. Z konieczności zgadzam się i na tych,

którzy są mi równi, lecz obcować z innymi — nigdy. Powinieneś znać takich ludzi jak pan Dumey, i być ich przyjacielem. Posiadają oni nie tylko majątek, lecz i stosunki. Staliby się oni twymi opiekunami, ponieważ twierdzisz, że artysta ich potrzebuje, i zrobiliby dla ciebie to, czego sam dokonać nie zdołasz. Wtedy, jeżeli posiadasz odrobinę talentu, w co pragnę wierzyć, doszedłbyś do celu z pewnością. Nie byłbyś zmuszony do nędznej i niewolniczej pracy, przynoszącej więcej ujmy, wstydu i hańby niż pieniędzy. Wreszcie przestalibyśmy wegetować, przewyciężywszy raz nędzę, która nas dławi i przygniata. Gdzież one dzisiaj, twe piękne nadzieje? Gdzież to życie świetlane, któreś mi obiecał? Nadaremnie ci to wszystko mówię. Naturalnie, twoje położenie podoba ci się i znajdujesz je doskonałym. Nie widząc mnie chodzącej boso, źle odzianej, z czepkiem na głowie, sądzisz że wszystko dla mnie uczyniłeś.

— O! Emelino! Emelino!

— Przyznaję, że pracujesz. Zabezpieczenie potrzeb domowego gospodarstwa, to obowiązek mężczyzny. Pytam cię tylko, co byś powiedział o takim człowieku, który nie zarabia na utrzymanie swoje i swoich bliskich. Lecz mieć chleb w ręce, to jeszcze nie wszystko, poza tym jest jeszcze wiele rzeczy potrzebnych kobiecie.

Blady, z pałającymi oczami Fryderyk słuchał swej żony z przerażeniem. Osłupiały, milczał. Może nigdy w życiu tak nie cierpiał.

Ona ciągnęła nielitościwie.

- Mówisz mi o ofierze, ale robię ją przecież codziennie, a tobie jeszcze mało! Ach, jeżeli mam jakąś rozrywkę i przyjemność, to nie powinieneś mnie ich pozbawiać. Z chwilą, w której mi nie dajesz wszystkich przyjemności, nie masz prawa zabraniać mi tego, co lubię.

Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia. Nagle Fryderyk drgnął. Wyprostował się i zbliżył do żony.

— Emelino — rzekł dziwnym głosem — nie zdajesz sobie sprawy z niczego, ale kocham cię bardzo i muszę ci przebaczyć. Pomimo tego pozwól mi powiedzieć, że źle robisz, nie stosując się do mojej woli. Chciałem ci dać radę, lecz ty mnie nie chcesz słuchać, a pojąć nie potrafisz. Nie chcę być tyranem. Rób co chcesz. Lecz uprzedzam cię, jeżeli mnie oszukasz...

— Dokończ — odparła zimno.

— Emelino, jeżeli mnie oszukasz...

— To? — spytała.

Niebezpieczna błyskawica, błyskawica mściwości, ukazała się w spojrzeniu Fryderyka.

— Ja — przemówił głucho — ja cię zabiję! Roześmiała się i wyszła z salonu, wzruszywszy ramionami.

RS

* * *

Upłynęło około sześciu tygodni, gdy pewnego dnia dano znać Emelinie, że jeżeli nie wykupi swych klejnotów z Mont-de-Piete, zostaną one sprzedane na licytacji publicznej.

Fryderyk, wróciwszy wieczorem do domu, zauważył smutek na twarzy swej żony, spostrzegł nawet, że płakała.

— Co ci jest? — zapytał.

— Jestem w rozpacz.

— Z jakiego powodu?

— Ach! Ty nie myślisz o niczym, niczym!

— Nie odpowiadasz na moje pytanie Emelino. Cóż takiego zaszło?

— To, że moje klejnoty zostaną sprzedane.

Młody człowiek spuścił głowę.

— Spodziewałem się tego — szepnął.

— Lecz mnie to nic nie obchodzi, że ty się tego spodziewałeś! — zawołała gwałtownie. — Chodzi mi o moje klejnoty, zarówno o te, które od ciebie otrzymałam, jak i o te, które miałam jeszcze przed ślubem. Jeżeli pozwolę, żeby je sprzedano, kiedy będę posiadała inne? Nigdy.

— Nie martw się jeszcze, jutro poproszę, aby mi wypłacono pensję z góry za cały miesiąc i zapłacę odsetki.

— Nie — odparła — za długo już jestem pozbawiona moich klejnotów, muszę je mieć, chcę, abyś je wykupił z Mont-de-Piete.

— Zastanów się, Emelino, jakże chcesz, abym to zrobił?

— To ciebie obchodzi, nie mnie.

— Chodzi tu o dwa tysiące franków, gdzież mam znaleźć te pieniądze?

— Nie wiem. Ale moje klejnoty nie mogą dłużej pozostać w Mont-de-Piete.

— Ach! Emelino — rzekł smutnie — gdybyś nie wydawała tak wiele od czasu, jak zarabiam trochę pieniędzy, gdybyśmy odkładali małą sumkę każdego miesiąca, jak ci radziłem, dziś mielibyśmy te dwa tysiące franków.

— Znakomicie! — zawołała ironicznie. — Coraz lepiej! Wymawiaj mi te suknie i kapelusze, które zużyłam, trzewiki, które zdarłam i rękawiczki, które nosiłam zawsze, póki mogłam. Chciałeś, ażebym się tego wszystkiego pozbawiała, prawda? O! Wiem to od dawna. Żeby zaspokoić twój gust, powinnam zostać twą sługą, kopciuszkiem... Mówią, że i takie kobiety są na

świecie, dobrze robią, jeżeli znajdują w tym przyjemność, ja taka nigdy nie będę.

W tych cierpkich słowach nie ukrywało się bynajmniej wyzwanie. Fryderyk uznał więc za roztropne nie odpowiedzieć.

Podano do obiadu. Emelina oświadczywszy, że nie czuje się głodna, zamiast przejść do sali jadalnej, zamknęła się w swoim pokoju. Biedny Fryderyk, chociaż biegał przez cały dzień po mieście i wdrapywał się na kilkadziesiąt pięter, nie czuł również apetytu. Dotknąwszy zaledwie potraw, wstał od stołu i ze łzami w oczach siadł w kącie salonu.

Kiedy nieco później wszedł do pokoju, zastał już Emelinę w łóżku. Młoda kobieta okazała się prawie uprzejma. Widocznie namyśliła się nad swoim postępowaniem, a może nawet żałowała, spostrzegłszy, że nie miała słuszności. Młody człowiek był tego zdania. W każdym razie nastąpiło zawieszenie broni. Wymienili kilka słów, o klejnotach jednak nie było mowy. W każdym razie Fryderyk postanowił zapobiec ich sprzedaniu.

„Trzeba przede wszystkim zapłacić odsetki — rozmyślał — a potem wykupić je w jak najkrótszym czasie. Klientela moja staje się coraz liczniejsza, pracując jeszcze więcej, osiągnę nawet świetne rezultaty. A potem, kto wie? Mogę zająć się wielkimi interesami i może w jednym dniu zdobędę sumę, równą tej, którą otrzymuję za cały miesiąc uciążliwej pracy.”

Jak dawniej, Fryderyk nie przestał marzyć. Nie były to już te same świetne sny młodości, w każdym razie była to jeszcze nadzieja. Siostrzyca wiary, nadzieja, jest jedną z cnót boskich, jedną z podstaw ludzkiego szczęścia. W jakimkolwiek położeniu, człowiek, chcąc żyć, musi mieć nadzieję.

Nazajutrz rano Fryderyk, zanim opuścił mieszkanie, rzekł do żony:

— Dziś mam lekcje w mieście, cały dzień jestem zajęty i nie będę mógł jeść śniadania w południe, nie czekaj więc na mnie.

— A więc do wieczora.

— Tak jest, do wieczora. — Oddalił się, złożywszy pocałunek na jej czole.

Emelina była jeszcze w łóżku. Teraz wstała i zaczęła natychmiast toaletę.

Kiedy nadeszła służąca, młoda kobieta rzekła:

— Dziś nie zajmuj się śniadaniem, mój mąż nie wróci w południe do domu, ja zaś pójdę na śniadanie do mojej przyjaciółki, pani Surmain.

O wpół do jedenastej wyszła z domu, w najpiękniejszej sukni, rękawiczkach bez zarzutu i w najbardziej zalotnym kapeluszu na głowie. Jak zwykle, gdy się udawała do Heleny, przeszła ulicę Lamartin, lecz zamiast zwrócić się w kierunku ulicy Notre-Dame de Lorette, poszła na postój dorożek na ulicy Châteaudun. Wsiadłszy do powozu, rozkazała woźnicy wieźć się na ulicę Ecuriesd'Artois.

Nie podała numeru. Woźnica zatrzymał się w środku niedługiej ulicy. O dwie kamienice dalej Emelina znajdowała się w miejscu przeznaczenia.

Bez najmniejszego wahania zadzwoniła do małej bramy pałacyku pana Karola Dumeya, która otworzyła się natychmiast. Przeszedłszy w milczeniu obok łoży portiera, minęła szybko dziedziniec. W drzwiach spotkała służącego. Zanim mu mogła zadać pytanie, uklonił się z uszanowaniem, jak gdyby była od dawna oczekiwana, mówiąc:

— Pan w swoim gabinecie.

Za chwilę wchodziła do gabinetu, który już знаła. Straciła swą dotychczasową śmiałość, czuła ciężar na piersi, była bardzo wzruszona.

Młody człowiek skoczył na równe nogi. Rzucił się ku niej i chwyciwszy obie jej ręce, ścisnął je gorączkowo.

— Pani tu! Pani tu! — zawołał namiętnym głosem. W tej chwili nie mógł jej nic nad to powiedzieć. Ale patrzył na nią palącym wzrokiem. Wszystko w nim jaśniało. W jego oczach błyszczała radość.

Emelina nie usiłowała uwolnić swych uwięzionych rąk.

— Zdziwiłam pana — odezwała się. — Jeżeli pan był przygotowany na jakąś wizytę, to zapewne nie na moją.

— Prawda, lecz moja radość jest tym żywsza. — Nie śmiał jej powiedzieć: „Oczekuję cię już od dwóch miesięcy, spodziewając się codziennie, że przy będziesz.”

Pociągnął ją łagodnie na kanapę, po czym usiadł koło niej, trzymając ją ciągle za ręce.

— Już jedenasta — zauważył — zjemy razem śniadanie.

— O! Nie, dziękuję — odparła żywo.

— Pani odmawia?

— Nie dzisiaj.

— Musi więc pani wracać do siebie?

— Nie, mąż mój wyszedł rano na cały dzień.

— W takim razie czemu nie chce pani jeść tutaj śniadania?

— Miałam zamiar odwiedzić Helenę — wykrztusiła.

— Czy pani Surmain czeka na panią?

— Nie.

— A więc pójdzie pani do niej jutro lub kiedy indziej. Czuję się zanadto szczęśliwy w towarzystwie pani, ażeby panią tak prędko wypuścić; jest pani moim więźniem. Jednym słowem, pani zostaje.

— Życzy pan sobie tego koniecznie?

— Oczywiście. Każę nakryć tutaj. Dla nas dwojga — dodał z uśmiechem — sala jadalna jest za wielką.

Rozwiązawszy wstążki kapelusza młodej kobiety, zdjął go jej z głowy, następnie pomógł jej w zdejmowaniu okrycia i umieścił te dwa przedmioty na fotelu.

Podczas tego Emelina ściągała rękawiczki.

Karol Dumey zadzwonił na kamerdynera.

— Podasz tutaj śniadanie — rzekł mu — i nakryjesz dla dwojga osób.

Służący oddalił się i wrócił natychmiast, ażeby nakryć do stołu. W chwilę potem podano śniadanie. Stolik był mały, czworokątny, raczej długi niż szeroki. Młodzi ludzie siedli naprzeciw siebie. Młody człowiek potrzebował tylko wyciągnąć ramię, ażeby dotknąć ręki Emeliny.

Ta ostatnia nie jadła obiadu poprzedniego dnia, a rano nic nie miała w ustach, była głodna. Jadła wszystkiego po trochę z apetytem, który sprawił wielką przyjemność panu Dumeyowi. Co prawda wszystko było wyśmienite. Karol Dumey miał wybornego kucharza. Wino nie ustępowało w niczym potrawom. Po czarnej kawie i likierach kamerdyner oddalił się z pokoju.

Karol i Emelina wstali od stołu i usiedli znowu na kanapie.

W żyłach młodej kobiety krew krążyła żywiej niż zwykle, oczy jej błyszczały, czuła się odurzona. Jednakże piła niewiele, likierów nie dotknęła nawet, poprzestając na umaczaniu ust w małym kieliszku wina.

— Może pan życzy sobie zapalić cygaro? — zapytała młodego człowieka.

— O, nie — odpowiedział — wolę rozmawiać, patrzeć na panią, podziwiać...

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— Muszę pani podziękować raz jeszcze za tę godzinę, którą pani raczyła spędzić w moim mieszkaniu — zaczął. — Ale dotychczas nie znam jeszcze powodu odwiedzin.

— Prawda.

— Nie jestem tak zarozumiała, ażeby mniemać, żeś się pani do mnie trudziła, chcąc powiedzieć mi dzień dobry.

Spuściła głowę.

— Może chcesz pani ode mnie jakiejs przysługi?

— Tak jest.

— A więc, o co chodzi? Podniosła na niego oczy.

— No, mów pani — nalegał.

— Nie śmiem — szepnęła.

— Jak to! Pani nie śmie? — zawołał.

— Tak jest, postąpiłam zbyt śmiało.

— Pani obawia się żądać czegoś ode mnie! Wiesz pani przecież, że jestem cały na twoje usługi, że jestem ci zupełnie oddany. Proszę, mów, mów śmiało; powiedz pani, czego żądasz.

— To bardzo przykra sprawa.

— Gdybyś pani była moją przyjaciółką, miałabyś do mnie więcej zaufania. W każdym razie niechaj się dowiem przynajmniej...

— A więc, chciałabym pożyczyć od pana dwa tysiące franków.

— I to wyznanie sprawiło pani tyle trudności! Czy obawiała się pani odmowy z mojej strony?

— Nie. Jednakże...

— Dziecko, dziecko — rzekł.

Wtedy opowiedziała mu, dlaczego potrzebuje tych dwu tysięcy franków.

— Czy ma pani kwity z Mont-de-Piete? — zapytał.

— Tak jest.

— Proszę mi je pokazać.

Podala mu je, wyjąwszy z kieszeni. Było ich pięć. Oglądał je jeden po drugim licząc cyfry w pamięci.

— Tak, tak — rzekł — różne pożyczki wynoszą razem dwa tysiące sto dwadzieścia franków.

Położył kwity na stole.

— Mogę je zachować, nieprawdaż? — spytał.

— Jak pan chce.

— Nie chciałbym, aby się pani sama trudziła wykupywaniem tych klejnotów. Na każdym z kwitów umieści pani swój podpis, a ja sam udam się do administracji w Mont-de-Piete. Dziś wieczorem, przed piątą godziną otrzyma pani swoje klejnoty.

Podziękowała mu słodkim spojrzeniem.

— Teraz — ciągnął dalej — muszę pani powiedzieć, aby pani o tym wiedziała i polecić, aby nigdy nie zapomniała, że ja nie mógłbym pani niczego odmówić. Im więcej będzie pani żądała, tym będę szczęśliwszy.

Ujął jej ręce i podniósł je obie do ust.

Młoda kobieta, w milczeniu, z falującą gwałtownie pierśią patrzyła na niego.

— Ach! — ciągnął dalej namiętnie — od dawna nie jest to dla ciebie tajemnicą, Emelino, wiesz, że cię kocham, ubóstwiam!

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Broniła się słabo. Czuł, że drży na całym ciele, słyszał jej przyspieszony oddech. Przycisnął ją mocniej do siebie. Głowa Emeliny oparła się na jego ramieniu.

— Kocham cię, kocham! — szepnął.

Emelina stłumiła westchnienie. Ich usta złączyły się w gorącym pocałunku.

O godzinie wpół do czwartej Emelina wyszła z pałacu pana Dumey.

Usiadłszy w powozie, który pan Dumey kazał dla nie sprowadzić, podała woźnicy adres swego domu.

Przed godziną piątą, służąca oznajmiła jej wizytę.

— Tak jest, wiem kto to taki — rzekła — niech wejdzie.

Był to lokaj pana Dumeya. Wręczywszy Emelinie w imieniu swego pana mały pakiecik, starannie owinięty, oddalił się natychmiast.

Emelina odpieczętowała pakiet. Spodziewała się znaleźć w nim pięć pudełek, tymczasem było ich sześć. Chcąc wiedzieć, co zawiera szóste, pokryte czerwonym aksamitem, otworzyła je i spostrzegła przepyszny łańcuszek, wysadzany perłami i brylantami najczystszej wody.

Przez chwilę stała ze wzrokiem wlepionym w pudełko, podziwiając ten wspaniały dar, lecz obawiając się, ażeby jej ktoś nie zastał, zamknęła pudełko, rzuciwszy wprzód okiem na inne klejnoty. Po czym umieściła wszystko w szufladzie, od której klucz nosiła zawsze przy sobie.

O szóstej, kiedy Fryderyk powrócił, była już nie tylko zupełnie spokojna, lecz nawet przyjęła go z uśmiechem, którym witała go dawniej w najlepszych dniach.

* * *

Wieczorem Fryderyk rzekł swojej żonie:

— Emelino, nie wspominasz mi o klejnotach?

— A po cóż? — odparła — nie mogę wymagać od ciebie rzeczy niemożliwych.

— Chcesz więc, ażeby je sprzedano?

— Trzeba pozwolić na to, czemu nie można przeszkodzić.

— Ale ja, Emelino, nie chcę, aby je sprzedano...

— Proszę cię — przerwała — nie mów mi o tym!

— Gniewa cię to?

— Tak.

Spostrzegł, że była rozdrażniona.

Nazajutrz, ubrawszy się, otworzył szafę, a następnie małą torebkę. Nie znalazłszy w niej tego, czego szukał, zaczął przerzucać bieliznę.

Emelina udawała że śpi, lecz co chwilę otwierając oczy, śledziła z niepokojem każdy ruch męża.

Znużony bezskutecznym poszukiwaniem, Fryderyk zbliżył się do łóżka.

— Emelino — rzekł cicho.

Nie odpowiedziała. Wtedy zawołał głośniej. Widząc, że się nie porusza, złożył pocałunek na jej czole i dotknął lekko jej ręki.

Tym razem Emelina drgnęła, jak osoba nagle obudzona, i otworzyła oczy.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Nie chciałem cię jeszcze budzić, ale nie znajduję kwitów.

— Kwitów?

— Tak jest, kwitów z Mont-de-Piete i nie ma ich w torebce.

— Nie wiem, gdzie się podziały — odparła ziewając.

— Jak to! Nie wiesz? Wczoraj rano widziałem je w torebce. Muszę je wziąć ze sobą do Mont-de-Piete. Gdzie są, powiedz?

Emelina nie odpowiedziała, lecz spojrzenie jej przybrało wyraz trwogi. Fryderyk to spostrzegł.

— Emelino — rzekł stanowczo — co z nimi zrobiłaś? Powziąwszy nagłe postanowienie, młoda kobieta wyprostował się na łóżku.

— A więc — odparła sucho — nie ma ich już tutaj,

— Nie ma ich tutaj? A więc gdzież są?

— W Mont-de-Piete.

— W Mont-de-Piete? Emelino, nie rozumiem.

— To przecież łatwo zrozumieć: chciałam mieć moje klejnoty i wykupiłam je z zastawu.

— Masz je więc?

— Tak.

— Ależ potrzebowałaś na to dwóch tysięcy franków.

— Dwóch tysięcy stu dwudziestu franków — uzupełniła.

— Jakim cudem zdobyłaś te pieniądze?

— Mniejsza o to.

— Mnie to bardzo obchodzi i mam prawo wiedzieć o tym, chcę wiedzieć... Emelino — ciągnął drżącym głosem — odpowiedz mi szczerze; nie kłam, chcę znać całą prawdę. Od kogo zażądałaś tej sumy? — widział, że się waha. — Ależ odpowiedz, odpowiedz przecież! — krzyknął gwałtownie. — Ach! Ja przez ciebie oszaleję!

Nazwisko pani Surmain nasuwało się na usta młodej kobiety; lecz ośmielając się jeszcze bardziej, odpowiedziała pewnym głosem:

— Pożyczyłam te pieniądze od pana Dumeya.

Pobladł jak ściana. Poczuł w sercu jakby ukłucie sztyletu.

— Tak więc — zaczął głosem stłumionym — ośmieliłaś się żądać pieniędzy od tego człowieka?

— Tak jest ośmieliłam się na to.

— I... byłaś u niego?

— Musiałam.

— Sama?

— Sama.

Rzucił jej spojrzenie, w którym było więcej litości niż gniewu.

— A! Nieszczęśliwa, nieszczęśliwa — jęknął.

Osunął się bezwładnie na krzesło i oparłszy na rękach głowę, milczał. Tak przesiedział pół godziny, bez myśli, bez ruchu.

Emelina wstała, ubrała się i wyszła z pokoju, nie wymówiwszy słowa.

Przed wyjściem z domu Fryderyk nie wszedł do salonu, gdzie się znajdowała. Pierwszy raz opuszczał dom bez pożegnania, nie złożony pocałunku na jej czole. W jego głowie tkwiła jedna tylko myśl: chciał oddać jak najprędzej pieniądze pożyczone przez żonę i pragnął tego za wszelką cenę. Lecz skądże znaleźć tak wielką sumę? Nie wiedział jeszcze. Trzeba było się zastanowić, wystawić umysł na tortury, ażeby wymyślić możliwy środek. Sądził, że pieniądze były pożyczone; bo nigdy by nie

przypuszczał, że były one darowane. Czuł, że Emelina naraziła się swym nierozważnym postępkami, lecz zdawało mu się, że oddając pieniądze jak najprędzej, naprawi zło, zadowoli swą dumę i godność i ocali honor swój i swej żony. Początkowo zastanawiał się, czy w tym wyjątkowym razie nie mógłby szukać pomocy u przyjaciół. Niestety! Wszyscy jego przyjaciele byli ubodzy.

W myślach jego stanęło kilka osób z Tuluzy, które okazywały mu niegdyś wiele życzliwości. Lecz od czasu gdy opuścił miasto rodzinne, z pewnością o nim zapomniano. Do jednej pani de Cernac mógł się udać, licząc na pewno, że nie odmówi mu pomocy. Na nieszczęście baronowa, jego dawna protektorka, wyjechała z Tuluzy. Z listu otrzymanego przed piętnastu dniami, dowiedział się, że opuściła Tuluzę na dwa miesiące. Mówiono, że udała się do Rosji. Fryderyk nie mógł czekać na jej powrót do Tuluzy.

Mimo woli usta jego wymówiły nazwisko pani Surmain. Ta też mogła mu przyjść łatwo z pomocą. Lecz przypomniawszy sobie o przeszłości, a następnie o tym, że u niej właśnie Emelina spotykała pana Dumeya, zawołał z rodzajem przestrochu:

— Nie, nie, nie do niej!

Zresztą, pomimo że nie miał dowodu, przeczucie mu mówiło, że pani Surmain stała się jego wrogiem.

Nieszczęśliwy szukał i szukał na próżno. Jak zwykle znajdował się w labiryncie, z którego wyjścia nie widział.

A jednak, chcąc zdobyć pieniądze w sposób najprostszy i najłatwiejszy, wystarczało wziąć klejnoty i zanieść je znowu do Mont--de-Piété. Fryderyk rozumiał to dobrze. Dlaczego więc czuł niezwykłą odrazę do użycia tego środka? Może on sam nie potrafiłby na to pytanie odpowiedzieć. A może chodziło mu jedynie o miłość własną?

W każdej istocie są uczucia, których niepodobna określić, jak niektórych jej czynów niepodobna wytłumaczyć.

Fryderyk nie bał się sprzeciwić Emelinie, a nawet rozgniewać jej, odbierając klejnoty. Z drugiej strony bowiem była to kara, na którą zasłużyła. Pomimo tego nie chciał ocalić się, zastawiając na nowo klejnoty.

W każdym razie powinniśmy wierzyć, że byłby powziął wreszcie to postanowienie, gdyby nie fatalność, która złączyła się już z jego istnieniem, zbliżając go z wolna ku jego przeznaczeniu.

Tego samego dnia około godziny dziesiątej, udał się do domu handlowego, z którym miał stosunki, jako jeden z głównych roznosi-cieli wina. Jego zwierzchnik, który prowadził rachunki, był jego przyjacielem i Fryderyk zaprosił go trzy czy cztery razy do siebie. Kiedy młody człowiek ukazał się w biurze, rachmistrz przywołał go do siebie, a wskazawszy mu miejsce przy sobie, zapytał o zdrowie pani Boissier i malutkiej Żanety.

— Moja żona zdrowa — odparł Fryderyk — a ostatnie wiadomości, które otrzymaliśmy o naszym dziecku, były również dobre. Dotychczas tylko raz ją odwiedziłem, lecz przy najbliższej sposobności wybiorę się znowu do Nièvre.

Przez chwilę rozmawiali o muzyce, której rachmistrz był wielkim znawcą i miłośnikiem. Ten ostatni podczas rozmowy sprawdzał rachunki. Skończywszy robotę, podniósł się, wziął papiery i wyszedł z pokoju, mówiąc Fryderykowi:

— Poczekaj pan na mnie chwilkę, muszę zanieść rachunki do sprawdzenia patronowi.

Machinalnie, ciągle zajęty swymi myślami, Fryderyk przypatrywał się papierom, porozrzucanym na biurku rachmistrza.

Nagle zadrżał. Przypadkiem spostrzegł kilka ostemplowanych kartek, na których widniało nazwisko i adres domu handlowego. Na widok tych kartek, nieszczęśliwemu przyszła do głowy straszliwa myśl.

„Tak — mówił w duchu — podpis patrona na jednym z tych biletów, a będę miał natychmiast sumę, której mi potrzeba.”

Krew o mało nie rozsadziła mu żył, puls uderzał gwałtownie. Przed oczami ukazywały się na przemian klejnoty, pieniądze, papiery, rozsądek go opuścił, bilety magnetyzowały, znajdował się w stanie granicznym z obłądem. W mózgu tkwiła tylko jedna, jedyna myśl...

Gwałtownym ruchem wyciągnął ramię, zły geniusz kierował jego ręką. Chwycił jeden z biletów i złożony na pół, wsunął go ukradkiem do kieszeni.

W tej chwili ukazał się rachmistrz.

— Jakżeś pan pobladł! — zauważył, spojrzawszy na młodego człowieka — czy panu słabo?

— Ależ nic, zupełnie nic. Tylko zdaje mi się, że w pańskim biurze bardzo gorąco.

— Do diabła! To to panu zaszkodziło, ma pan całe czoło zroszone potem.

Otworzył okno. Fryderyk ocierał czoło chustką. Po chwili powstał.

— Do widzenia — rzekł rachmistrzowi.

— Zobaczę pana dziś wieczór?

— Prawdopodobnie.

Wyszedł. Czuł potrzebę zaczerpnięcia oddechu na świeżym powietrzu. Głowa mu pałała, wszystko wirowało w jego zmęczonym umyśle. Rzecz dziwna, miał popełnić występki, zbrodnię, a sumienie jego milczało. Prawdopodobnie był to napad szaleństwa. Zapomniał zjeść rano śniadanie, zresztą nie był głodny. Błąkając się długo po ulicach, wrócił wreszcie do domu.

Zegar wskazywał wpół do drugiej. Emelina przed chwilą wyszła, oznajmiwszy służącej, że wróci przed godziną piątą.

Fryderyk zamknął się w salonie, po czym, przygotowawszy wszystko, co było potrzebne do pisania, usiadł przy stole. Z portfela wyjął rachunki z podpisami patrona domu. Rachunki te powierzono mu poprzedniego dnia, ażeby udał się z nimi do trzech klientów. Położywszy je przed sobą przypatrywał się długo podpisom. Wreszcie umaczał pióro w atramencie i starał się naśladować podpis, pokrywając całą kartkę papieru nazwiskiem patrona. Nauka była wytrwała i wreszcie udało mu się skreślić dość podobny podpis.

Po otrzymaniu tego rezultatu, napisał weksel na dwa tysiące sto franków, z podpisem właściciela domu handlowego, trudniącego się sprzedażą i wysyłką delikatnych win i szampana z Boulogne-sur-Mer.

Dom handlowy, którego był jednym z przedstawicieli, miał w Bercy skład szampana od jednego z pierwszych domów w Reims. Oprócz sprzedaży w Paryżu, rozciągał on swoje interesy i stosunki na główne miasta we Francji a nawet za granicę, dokąd wysyłał codziennie wielką ilość wina.

Fryderyk, który rozmawiał często z rachmistrzem, znał nazwiska głównych klientów z prowincji, a nawet liczbę interesów, które prowadzono z nimi.

Włożył rachunki do portfela, dołączywszy do nich fałszywy weksel, po czym spalił na kominku kartkę papieru, pokrytą podpisami mniej lub bardziej udanymi.

Emelina wróciła o wpół do piątej. Zdziwiła się, zastając męża, który nie wracał nigdy przed szóstą.

— Przyszedłem wziąć papier, którego zapomniałem dziś rano — oświadczył krótko.

Wziął do ręki kapelusz i poszedł ku drzwiom. Lecz nagle odwrócił się do żony:

— Proszę cię, daj mi adres pana Karola Dumeya — rzekł. Emelina zbladła.

— Co chcesz zrobić? — wyjąkała.

— Potrzebuję go.

— Ale...

— Zastanów się — rzekł głucho — czy nie mam mu oddać pieniędzy, które od niego pożyczyłaś.

— Więc o to ci chodzi?

— W innym razie nie potrzebowałbym jego adresu.

Widząc jego ponure spojrzenie, Emelina przestraszyła się. Zapytywała się w duchu, czy mówi jej prawdę, czy nie ma innego zamiaru, który chce przed nią ukryć.

— A więc gdzie on mieszka? — odezwał się rozkazująco.

— Przy ulicy Ecuries-d'Artois, numer dwunasty — odpowiedziała.

— Dobrze, jutro ten pan otrzyma pieniądze — rzekł głosem bezdźwięcznym.

Wyszedł z pokoju.

— To niemożliwe — myślała Emelina — nie zrobi tego. Gdzie znalazłby te dwa tysiące franków?

* * *

Nazajutrz rano Fryderyk, ciągle jeszcze posepny i zajęty, wyszedł z domu, nie mówiąc nic Emelinie.

W chwilę potem młoda kobieta wyskoczyła z łóżka. Całą noc spędziła niespokojnie, bezsennie. Dręczyły ją różnego rodzaju obawy. Na próżno starała się je odepchnąć i uspokoić się, wszystkie jej usiłowania były daremne. Oprócz tego miała dziwne przeczucia. Zdawało się jej, że jakiś ponury głos oznajmia jej najstraszliwsze nieszczęścia.

Ubrała się bardzo szybko. O godzinie dziewiątej była już na ulicy. Przy najbliższej stacji dorożek rzuciła się do powozu i kazała się wieźć do Karola Dumeya. Przybyła tam bez tchu, przerażona. I jak gdyby wypadki z dni poprzednich całkiem ją obezwładniły, osunęła się bezsilnie na fotel.

— Cóż pani jest? Co się stało? — zawołał przestraszony młody człowiek.

— Boję się — odparła stłumionym głosem.

— Boi się pani? Kogo? Czego?

— Od dwóch dni mąż mój nie jest taki sam jak dawniej, nic mi nie mówi, jest posepny, podejrzliwy, wydaje się niespokojny.

— A więc?

— Zdaje mi się, że coś podejrzewa.

— Od podejrzeń do pewności bardzo daleko.

— Wczoraj wieczór zażądał ode mnie pańskiego adresu.

— I dała mu go pani?

— Tak.

— Dobrze pani zrobiła. Nie odpowiedzieć mu byłoby niezręcznością. Zresztą, byłby go łatwo znalazł w pierwszym lepszym kalendarzu. Czy zamierza przyjść do mnie?

— Tak.

— Mówił to pani?

— Tak.

— Czy wie pani dlaczego, pod jakim pozorem?

— Jak to było ustalone, powiedziałam mu, że pożyczył mi pan pieniędzy na wykupienie klejnotów. Wtedy nastąpiła scena.

— Uniósł się?

— Byłabym to wołała. Lecz nie było w nim gniewu. Nagle sposepniał i wyglądał jak zrozpaczony.

— A!

— Wczoraj, gdy dałam mu pański adres, rzekł mi: „Jutro oddam panu Dumeyowi pieniądze, pożyczone przez ciebie.” Lecz zdawało mi się, że ukrywa coś przede mną. W istocie, musi mieć inny zamiar; nie posiada tej sumy i niemożliwe jest, aby ją otrzymał.

— Dlaczego więc, według pani, przychodziłby tutaj?

— Mój Boże! Alboż ja wiem? Może chce pana wyzwać. Lekki uśmiech przemknął po ustach pana Dumeya.

— Nie bój się niczego — odezwał się. — Uspokój się, kochana Emelino, jeżeli pan Boissier złoży mi wizytę, przyjmę go bardzo uprzejmie. Zgodnie z tym, co mi powie, potrafię mu odpowiedzieć.

— O! Tak, bądź pan roztropny, bo...

— Dokończ, dokończ.

— Znam go; gdyby wiedział...

— Cóż wtedy?

— Zabiłby mnie!

— Jakie z ciebie dziecko! — rzekł, otaczając ją miłosnym spojrzeniem.

Ujawszy jej rękę, podniósł ją do ust, gdy wtem zapukano lekko do drzwi. Zmarszczył brwi, co było u niego oznaką niezadowolenia. Pomimo tego poszedł drzwi otworzyć.

— Cóż tam takiego? — zapytał szorstko służącego, który przed chwilą zapukał.

— Jaśnie panie, to wizyta.

— Trzeba było powiedzieć, że wyszedłem lub że jestem bardzo zajęty i nikogo przyjąć nie mogę.

— Mówiłem to, proszę jaśnie pana, ale ten człowiek nalega, utrzymując, że jaśnie pan go przyjmie.

— Podał ci swoje nazwisko?

— Tak jest, pan Fryderyk Boissier. Pan Dumey zadrżał.

— Dobrze — rzekł służącemu — poproś tego pana do małego saloniku, będę tam za chwilę.

Wrócił pospiesznie do Emeliny.

Słyszając nazwisko swego męża, skoczyła na równe nogi. Drżała na całym ciele.

— Wzruszyłaś się, nieprawdaż? — zapytał — ale nie obawiaj się niczego. No, no, uspokój się, nikt nas nie napadnie znienacka, ponieważ

— Jesteśmy przygotowani na przyjęcie wizyty. Jeżeli nie czujesz się dosyć bezpieczna w tym pokoju, to możesz przejść do mego gabinetu.

— Czy jest pan pewny swych ludzi?

— Jak siebie samego.

— Jedno nieostrożne słowo...

— Kiedy potrzeba, moi służący umieją być niemymi. Przede wszystkim zaś nie wiedzą, że nazywasz się pani Boissier. Powtarzam ci, że możesz być całkiem spokojna. A teraz zostawiam cię, nie chcę, ażeby twój mąż tak długo na mnie czekał.

Fryderyk czekał stojąc na środku salonu, z kapeluszem w ręku. Pan Dumey otworzył drzwi. Młodzi ludzie spojrzeli na siebie i równocześnie się ukłonili.

— Pan jesteście panem Karolem Dumey? — Fryderyk zapytał pierwszy.

— Tak, panie.

— Oznajmiono panu moje nazwisko?

— Mój służący zaanonsował mi pana Fryderyka Boissier. Proszę usiąść.

— Dziękuję panu, to niepotrzebne.

— Niech i tak będzie. Bardzo mnie to cieszy, że pana widzę panie Boissier, chociaż przybycie pańskie było dla mnie prawdziwą niespodzianką. Wiele słyszałem o panu dawniej, w Tuluzie, a poza tym mam zaszczyt znać panią Boissier od kilku lat; sprawia mi to wielką przyjemność, ilekroć mogę ją spotkać u jednej z jej przyjaciółek, pani Surmain. Jak pan zatem widzisz, znam pana dobrze i nie potrzebuję dodawać, że pańskie odwiedziny są dla mnie wielką przyjemnością.

— Przedwczoraj pani Boissier przyszła do pana, ażeby pożyczyć dwa tysiące sto dwadzieścia franków.

— Tak jest, mogłem oddać pani Boissier tę drobną przysługę.

— Masz pan poświadczenie, że tę sumę otrzymała?

— Cóż znowu? Nie żądałem żadnego pokwitowania od pani Boissier.

— Jak to! Panie — zawołał Fryderyk, czując że go coś ściska za gardło — pożyczasz pan pieniądze bez pokwitowania?

— Przepraszam pana, że muszę zwrócić jego uwagę na to, iż nie trudnię się bynajmniej pożyczaniem pieniędzy; mam więc zupełnie prawo pomijać niektóre ostrożności, które potrzebne są bankierom i lichwiarzom. Po drugie, powiem panu, że czuję się najszczęśliwszy, jeżeli uda mi się zobowiązać sobie mych przyjaciół, a ponieważ mam do nich całkowite zaufanie, nie żądam nigdy poświadczenia. Gdybym podejrzewał, że

pieniądze pożyczone w ten sposób nie będą mi oddane, nie pożyczylbym i koniec. Zatem, mój panie, postąpiłem z panią Boissier jak z którymkolwiek z moich przyjaciół. Dodam jeszcze, że jestem całkiem spokojny o tę pożyczkę.

— I ma pan słuszność, bo przyszedłem tutaj, ażeby ją zwrócić. Pan Dumey poczuł, że rumieniec pokrywa mu czoło. Wobec tego nędzarza, którego znieważył, którego szczęście zniszczył a życie złamał, on milioner, jakże czuł się mały.

— Ależ mnie się wcale nie spieszy, ma pan jeszcze czas — wyjąkał.

W rzeczywistości nie wiedział, co powiedzieć.

— Panie — odparł Fryderyk drżącym głosem — gdybym miał pieniądze przedwczoraj wieczorem, byłbym ci je natychmiast przyniósł.

— Ale pozwól pan.

— Panie — Fryderyk przerwał gwałtownie — są rzeczy, których mąż przyjąć nie może; moja żona nie miała prawa zaciągać tej pożyczki bez mego zezwolenia. Dziś ja mam te pieniądze. Bierz pan je, oto są. Bierz, bierz prędzej, bo palą mi dłonie. — Z tymi słowami wyciągnął rękę do pana Dumeya z biletami bankowymi.

Było niemożliwe odmówić mu bez narażenia się na groźne następstwa. Musiał przyjąć z ręki męża pieniądze, które dał żonie.

— Policz pan, policz — rzekł Fryderyk.

— Nie warto — odparł nierozsądnie — ufam panu. Zaraz przyniosę pokwitowanie — dodał.

Fryderyk odpowiedział zimno i dumnie:

— Kiedy pan nie żąda go pożyczając, nie możemy upominać się o niego, oddając. — Po czym uklonił się i wyszedł z salonu.

Pan Dumey udał się spieszenie do swego pokoju, gdzie Emelina czekała na niego w straszliwej niepewności. Zapytała go wzrokiem. Pokazał jej bilety bankowe.

— Zatem mówił mi prawdę — zauważyła.

— Nie było mowy o czym innym.

— Odszedł już?

— Tak.

— Czy sądzi pan, że nie domyśla się mojej obecności w tym mieszkaniu?

— Bynajmniej.

— Ach! Dobrze zrobiłam, idąc za pierwszym popędem i uprzedzając pana o jego zamiarze.

— Tak jest, bo nie zaskoczono mnie znienacka i mogłem nieźle wywinąć się z bardzo trudnego położenia.

— Wszystko jedno, jednakże nie sądziłam. Któż taki mógł pożyczyć mi te pieniądze?

— Jeden z przyjaciół, z pewnością.

— Tak, tak, to najprędzej.

— A oto są one znowu w moim ręku. Weź je Emelino, weź.

— Nie, nie — cofnęła się z przerażeniem.

— Emelino, to twoje pieniądze.

— Nie, nie chcę ich!

— A ja nie mogę zatrzymać ich u siebie.

Zbliżył się do niej i wsunął wszystko za stanik jej sukni.

— Nie potrzebujesz oddawać ich panu Boissier — rzekł. Dreszcz przebiegł ją po całym ciele. Zwiesiła głowę na piersi, szepcząc:

— Nie śmiałybym ich przyjąć.

RS

* * *

Fryderyk, oddawszy dwa tysiące sto dwadzieścia franków panu Dumeyowi, wyszedł nagle ze stanu gorączkowego tak, że mógł zastanowić się nad swoim położeniem. Zaczął więc myśleć.

Jeszcze nie przeszedł pięćdziesięciu kroków od pałacu pana Dumeya, gdy sumienie jego upominając się o swoje prawa, wołało w nim z całych sił: nędzniku, cóżeś uczynił?

Wtedy w jednej chwili zrozumiał doniosłość swego czynu i następstwa, które musiał za sobą pociągnąć. Zdawało mu się, że krew ścina mu się w żyłach, opanowała go nieprzewyciężona trwoga. Bo czyn, którego się dopuścił, nie był lekkim przekroczeniem, lecz zbrodnią, zbrodnią fałszerstwa.

Nie śmiał patrzeć w oczy przechodniom, chciałby być niewidzialny lub móc skryć się pod ziemią, wyobrażając sobie, że każdy czyta na jego czole te dwa straszliwe słowa: „Złodziej! Fałszerz!”

O! Tak — mówił w duchu — jestem nędznikiem! Przed kilkoma dniami mogłem podnieść głowę i iść z wyniosłym czołem; byłem człowiekiem uczciwym. Dzisiaj jestem fałszerzem, to znaczy złodziejem, tak złodziejem! I oto czym zostałem w jednej chwili; łotrem, zbrodniarzem! Sądząc, że ocalę mój honor przed urojonym nieszczęściem, zhańbiłem się dobrowolnie.

Im dłużej się zastanawiał, im lepiej widział całą zbrodniczość swego postępu, tym bardziej był przekonany, że nic uniewinnić go nie zdoła. Na próżno wmawiał w siebie, że baronowa de Cernac powróci do Tuluzy w przeciągu dwóch miesięcy, że przyśle mu czym prędzej pieniądze i że będzie mógł zapłacić zaciągnięty dług. Na próżno starał się uspokoić, gryzły go wyrzuty sumienia, przyprowadzając go do szaleństwa. Czuł, że rozdierają mu wnętrzności. Ta nowa męczarnia była tak okropna, że stał się nieczuły na tortury zazdrości.

Nadto straszny niepokój ogarnął wszystkie jego myśli. Weksel przechodzi przez wiele rąk; czy nikt nie odkryje, że podpis jest fałszywy? Ależ wtedy byłby zgubiony! Pomimo tego może mógł jeszcze, powziąwszy wszystkie ostrożności, znaleźć schronienie przed groźącym niebezpieczeństwem. Jakiego użyć sposobu? Szukał. Wreszcie powiedział sobie, że musi ze wszystkim zwierzyć się swemu przyjacielowi

rachmistrzowi, nie wątpiąc, że ten nie odmówi mu swej rady, w razie gdyby fałszerstwo zostało wykryte.

Powziąwszy to postanowienie i wezwawszy na pomoc swą odwagę, udał się do rachmistrza.

Siadając przy biurku, skąd wziął papier, był blady i drżał na całym ciele.

— Okazywałeś mi pan zawsze wiele przyjaźni — rzekł rachmistrzowi.

— Tak, i jest ona szczerą.

— Gdybym był narażony na wielkie niebezpieczeństwo, przyszedłby mi pan z pomocą?

— Bez wątpienia.

— A więc muszę panu coś powiedzieć.

— A! O cóż chodzi?

Fryderyk westchnął, serce jego biło jak młotem.

— Jestem nieszczęśliwy! — zaczął. — W chwili obłąkania, szaleństwa, popełniłem bardzo zły czyn.

— Zły czyn, pan?

— Tak jest.

— Więc przyszedłeś pan, ażeby wypowiadać się przede mną.

— Tak.

— W takim razie mów, mój kochany, słucham.

Głosem cichym i urywanym, zatrzymując się co chwilę, Fryderyk opowiedział o swoim czynie.

Przy pierwszych słowach mówiącego rachmistrz zadrżał. Teraz, wsparłszy brodę na rękę, słuchał, patrząc z ukosa na nieszczęśliwego.

— Ponieważ chodziłem często z panem do bankiera domu — ciągnął Fryderyk — zna mnie on dobrze. Przypuszczając zapewne, że przychodzę po pieniądze w pańskim imieniu, wypłacił mi całą sumę, nie zadając żadnych pytań.

— Tam do diabła! — mruknął urzędnik, drapiąc się za uchem. Równocześnie jakiś dziwny uśmiech błąkał mu się na ustach.

— To bardzo ważne, nieprawdaż? — wyjąkał młody człowiek.

— Pewnie że ważne! Jest pan rzeczywiście wariatem, mój kochany.

— Tak jest, byłem wariatem, straciłem wtedy głowę.

— Na cóż potrzebowałeś pan tej sumy?

— Ach! Nie pytaj mnie pan o to — Fryderyk odparł boleśnie — nie mógłbym panu odpowiedzieć.

— Masz pan jeszcze te pieniądze?

— Nie.

— Tak więc natychmiast po otrzymaniu oddałeś je pan komuś trzeciemu?

— Tak jest.

— Rozumiem, była to pożyczka.

— Tak, pożyczka — odparł Fryderyk z westchnieniem.

— Wszystko to może pociągnąć za sobą nieprzewidziane skutki.

— Niestety! Wiem o tym dobrze.

— Teraz, kiedy pan rozumiesz, w jakim znajdujesz się położeniu, co zamyślasz uczynić?

— Zapłacić weksel.

— Naturalnie. Lecz ma pan pieniądze?

— Będę je miał.

— Kiedy?

— Za sześć tygodni, a najpóźniej za dwa miesiące. Wspominałem panu nieraz o pani baronowej de Cernac, mojej dawnej protektorce. Na nieszczęście wyjechała z Tuluzy, lecz za dwa miesiące powróci z pewnością i jeżeli tylko zażadam od niej potrzebnej mi sumy, otrzymam ją bez wątpienia.

— Zgoda, lecz w przeciągu dwóch miesięcy wiele wypadków może zajść.

— Dlatego też jestem bardzo niespokojny. Nie chcę przed panem ukrywać...

— Dokończ pan.

— Że liczyłem na pańską pomoc.

— Jak to?

— Liczyłem, że pan mi pomoże w razie, gdyby mój zbrodniczy czyn doszedł do wiadomości publicznej, lub że wykupi weksel i zechce zaczekać, aż będę w stanie zwrócić zaciągniętą pożyczkę.

Rachmistrz namyślał się głęboko. Po dosyć długim milczeniu odpowiedział:

— Zapewne, zrobię co będę mógł, ażeby wyratować pana z przepaści, w którą wpadłeś samochcąc. Lecz w wypadku tak ważnym, tak wyjątkowym, potrzebuję namysłu. Przyznaję, że byłoby najlepiej wycofać weksel z rąk bankiera, zanim go puści w obieg, prawdopodobnie trzyma go jeszcze. Może nawet trzeba będzie uprzedzić patrona, on wie, że pan pracuje, że wyrobiłeś już sobie niezłą klientelę i interesuje się panem. Jednym słowem,

przypatrzę się bliżej całej sprawie i zobaczymy, co się da zrobić. Jutro przyjmę pana tutaj, w moim biurze, o godzinie pierwszej po południu. Ponieważ mam bardzo wiele zajęcia na mieście, bądź pan łaskaw zaczekać na mnie, w razie gdybym się spóźnił.

— Będę punktualny — rzekł Fryderyk.

— Liczę na to — odparł tamten. Fryderyk oddalił się spokojniejszy, z jaśniejszymi myślami.

W dwie godziny później rachmistrz skończył swą dzienną robotę. Zażądawszy od kasjera dwóch tysięcy franków, lecz nie mówiąc mu nic o ich przeznaczeniu, pobiegł z pieniędzmi w kieszeni do bankiera.

— Panie — rzekł mu — jeden z urzędników naszego domu przyniósł panu dzisiaj rano weksel?

— Tak jest, weksel na dwa tysiące sto franków.

— Przez pomyłkę zaciągnęliśmy go na imię pp. Dufresne et Co. de Boulogne; przychodzę, ażeby go wykupić.

— Słowo daję — rzekł bankier — dobrze pan zrobiłeś przychodząc dziś wieczór, miałem go puścić w obieg jutro rano.

— W istocie to szczęście, że przyszedłem dzisiaj zamiast czekać do jutra rana.

Bankier wyjął z portfela fałszywy weksel i wręczył go rachmistrzowi.

— A teraz — dodał — wszystko załatwione między nami.

— Tak jest, pieniądze te wliczy pan do kredytu naszego domu i uwzględnimy to w najbliższym rachunku.

Rachmistrz włożył weksel do portfela, ukłonił się bankierowi i wyszedł.

— Teraz — szepnął przez zaciśnięte zęby — poczekajmy do jutra. Diabeł stara się być dla mnie uprzejmy.

Nazajutrz o wpół do pierwszej rachmistrz zadzwonił do drzwi mieszkania Fryderyka Boissier. Wpierw upewnił się, zapytując stróża domu, że Fryderyk wyszedł z domu i że zastanie panią Boissier samą. Rzeczywiście służąca, którą posłano po sprawunki, miała wrócić dopiero między trzecią a czwartą.

Na jego widok Emelina nie mogła powstrzymać się od poruszenia, które zdradzało jej zdziwienie a zarazem niechęć.

— Pan Boissier wyszedł z domu — rzekła mu sucho, stając przed nim jak gdyby w zamiarze zamknięcia drzwi.

Nie tracąc nic z zimnej krwi, zamknął je za sobą i postąpiwszy o trzy kroki naprzód, rzekł:

— To właśnie doskonale — uśmiechnął się ironicznie — nie mam nic do zakomunikowania w tej chwili panu Fryderykowi; z tobą, kochana pani, z tobą jedynie pragnę porozmawiać.

— Ze mną, mój panie? Cóż pan masz mi do powiedzenia.

— Wiele, bardzo wiele rzeczy i to nadzwyczaj zajmujących. Wie pani dobrze, że kiedy znajduję się przy tobie, same słodkie słowa płyną mi z serca na usta.

Przy tych słowach chciał ująć młodą kobietę za rękę. Lecz ona odskoczyła w tył, obrzucając go spojrzeniem pełnym wzdargy i lekceważenia. Cofnęła się do sali jadalnej, lecz on szedł za nią.

— Tak więc — rzekła Emelina, głosem drżącym z oburzenia i z oczami błyszczącymi — nie odstępiał pan od swego zamiaru; jeżeli dlatego tutaj przyszedłeś, to możesz natychmiast się oddalić, nie pragnę pana słuchać. Znam ja te słodkie słowa, które panu płyną z serca. W istocie po tym, co panu przed miesiącem odpowiedziałam, na twoje haniebne propozycje, nie spodziewałam się, że będzie pan na tyle zuchwały, ażeby tu powrócić i że z odwagą, godną lepszej sprawy, będzie mnie pan obrzucał słowami, które obrażają każdą kobietę. Skąd się bierze pańska śmiałość? Czy może dlatego, że milczałam przed panem Boissier, nie wtajemniczając go w to, kim pan jesteś i jakie są twoje pragnienia? Może zbłądziłam, nic mu o tym nie mówiąc? Lecz myślałam i myślę tak jeszcze, że wystarczy mi sił i odwagi do obrony mej godności przed panem. Oto wszystko, co mam panu do powiedzenia — dodała szyderczo — i sądzę, że to wystarczy, żeby pan zachował w sercu słodkie słowa, które ci się wymykają na usta, a oszczędzisz mi w ten sposób przykrości, jakiej bym pewnie doznała, odpowiadając panu raz jeszcze.

— O! Wiem dobrze, że pani mnie nie kocha.

— Powiedz pan raczej, że cię nienawidzę i że tobą pogardzam!

— Strzeż się pani, za chwilę będziesz mówiła nieco ciszej. Wzruszyła pogardliwie ramionami.

On, usiadłszy spokojnie na krześle, wyjął portfel z kieszeni.

— A! — zawołała, z błyskawicami w spojrzeniu — czy zamierzasz pan zabawić tu dłużej?

— Czyż nie mówiłem pani, że przyszedłem porozmawiać o rzeczach zajmujących? A rozmawiając lepiej jest siedzieć, aniżeli stać. Ma pani prawo zrobić tak jak ja.

Emelina osłupiała na widok takiego zuchwalstwa.

— Jeżeli mam prawo usiąść — odparła z gniewem — to pańskie postępowanie daje mi także prawo zapomnienia, że jesteś pan jednym z przełożonych mego męża, wyjdź pan z mego domu, rozkazuję panu opuścić to mieszkanie!

Nie poruszył się, lecz nagle pobladł straszliwie. Jego chytre oczy rzucały ponure błyski. Złośliwy uśmiech przemknął mu po ustach.

— Nienawidzi mnie pani i pogardza mną — rzekł twardo — to smutne, tym smutniejsze, że ja, ja panią kocham i nie odstępuję nigdy od raz powziętego zamiaru, jak pani przed chwilą powiedziała. Cóż pani chce, to zdarza się często: początkowo nienawidzimy, później kochamy. Trzeba się do wszystkiego umieć zastosować. Znam panią już od pięciu miesięcy i od tego czasu cierpię przez panią. A więc powinna pani zrozumieć tak jak ja, że to trwa za długo. Kiedy kobieta jest tak piękna jak pani, powinna być wspaniałomyślna. Darujemy jej kokieterię, te powłóczyście spojrzenia, które sprawiają tyle złego, słowem wszystko; ale trzeba, ażeby własną ręką zagoiła te rany.

Emelina siedziała, myśląc, jakim sposobem mogłaby ukarać tego człowieka za jego cynizm i bezczelność.

— Oto, co pani z początku miałem powiedzieć — ciągnął dalej, nie dając jej czasu do namysłu. — Teraz zaś pomówimy o czymś innym... Mąż pani jest chłopcem dobrze ułożonym, który wyrzucałby sobie niepotrzebne wydanie pięćdziesięciu centymów. Inny, oszczędny jak on i zarabiając to samo, żyłby sobie wcale wygodnie. Zamiast tego on nie może związać końca z końcem. Pieniądze zaledwie zarobione szybko znikają, a kiedy ich już nie ma, wtedy zaciąga się długi, pożyczki.

— Ależ panie, to co się dzieje w moim domu, nic pana nie obchodzi! — krzyknęła gwałtownie młoda kobieta.

— Pozwól mi pani dokończyć, a zobaczy pani, że mnie to trochę obchodzi. Na czym skończyłem? Aha! Mówiłem, że pani mąż się zadłużał, jeżeli nie on się zadłuża, to pani.

— O! To za dużo bezwstydu!

— Trochę cierpliwości, proszę. Gdy ma się długi, przychodzi chwila, kiedy trzeba je zapłacić. Tak więc wczoraj rano pan Boissier musiał zapłacić dwa tysiące sto franków. Wie pani o tym?

„Ach! Rozumiem — pomyślała Emelina — u tego człowieka się zadłużył”, po czym dodała sucho: — Tak jest, wiem o tym.

— Bardzo dobrze. Lecz jest jedna rzecz, której pani nie wie.

— To możliwe.

— Przedwczoraj mąż pani nie miał pieniędzy, których potrzebował koniecznie na zapłacenie długu; czy zapytała go pani, jakim sposobem je zdobył?

— Nie mieszam się w sprawy mego męża. Zresztą prawdopodobnie pan pożyczył mu tę sumę. A więc, mój panie, jestem zachwycona.

— Dlaczego?

— Bo natychmiast oddam panu te pieniądze.

— Czy naprawdę? — zaczął ją przedrzeźniać.

— Dał panu pewnie pokwitowanie, bilet, masz go pan przy sobie?

— Papier jest tu, w moim portfelu.

Młoda kobieta wybiegła jak strzała z jadalnej sali i zjawiła się znowu prawie w tej samej chwili z garścią pełną biletów bankowych.

„Patrzcie, patrzcie! Powiedziała prawdę, ma pieniądze” — pomyślał rachmistrz.

Od chwili już złośliwy uśmiech nie schodził mu z grubych warg.

— Oto pańskie pieniądze — rzekła mu Emelina — daj mi pan kwit mego męża i wyświadczyć mi pan łaskę, oddalając się natychmiast.

Potrząsnąwszy głową, stanął na równe nogi.

— Piękna pani — odparł z uśmiechem — prawdziwie mnie to zmartwiło, że nie mogę uczynić zamiany, proponowanej mi przez panią.

— Ależ panie...

— Brak pani zawsze cierpliwości; proszę mnie słuchać: ani ja, ani nikt inny nie pożyczał pieniędzy panu Fryderykowi Boissier.

— Co pan chce powiedzieć?

— Innym sposobem dostarczył sobie tych dwóch tysięcy franków.

— Wyłumacz się pan jaśniej, nie rozumiem pana.

— Pani, twój mąż popełnił fałszerstwo!

— Fałszerstwo?

— Tak jest, sfalszował podpis.

— Kłamiesz pan, jesteś nędznikiem! — krzyknęła Emelina z trwogą.

— Oto dowód — rzekł rachmistrz — przyjrzyj mu się pani bliżej.

Spojrzenie młodej kobiety skierowało się mimowolnie na papier.

— To podpis patrona domu, wcale nieźle podrobiony przez pani męża — ciągnął dalej — wczoraj wieczór poszedłem do bankiera odebrać ten fałszywy weksel.

— Więc to prawda? Prawda? — zawołała boleśnie.

— Najpewniejsza w świecie. Mąż pani, aby zdobyć pieniądze, popełnił zbrodnię sfalszowania podpisu.

Wydała głuchy jęk.

— Wiesz pani o tym zapewne, że prawo karze surowo fałszerzy.

— Boże! Boże!

— A teraz, jeżeli pani chce ocalić swego męża, to może to uczynić. Inaczej jest zgubiony!

— Panie, panie — mówiła jak szalona — oddaj mi ten papier lub zniszcz go w moich oczach. Oto pieniądze, niech je pan przyjmie.

— Zależy to tylko od pani, aby ten zgubny papier nie miał żadnego znaczenia.

— Panie, ja cię proszę! — błagała.

— Pani wie, czego chcę!

Ciągnęła dalej, jakby nie słysząc lub nie rozumiejąc:

— Och! Pan nie zgubi mego męża, gdy tak łatwo może go ocalić! Błagam cię, miej litość nad nim! — Wyciągała ku niemu załamane ręce.

Pożerał ją gorączkowym spojrzeniem, pełnym brutalnego pożądania. W tej chwili miał wstrętą postać satyra.

— Emelino — szepnął — bądź moja, a twój mąż będzie ocalony. — Równocześnie chciał ją otoczyć ramionami.

— Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! — krzyknęła, odpychając go ze wszystkich sił z odrazą.

— Ja cię chcę! — krzyknął — Jeżeli będziesz mi się opierała, zemszczę się!

— Wolalabym rzucić się przez to okno i rozbić głowę o kamienie, niż miałabym znieść jedno dotknięcie twoich ramion! Powtarzam ci, że cię nienawidzę, pogardzam tobą. Ach! Nie zbliżaj się, czuję wstręt do ciebie!

— Ach! Więc tak — odparł nędznik z oczami zaszłymi krwią i pianą na ustach — a więc dobrze, wiem teraz, co mam robić. Za kilka godzin twój mąż, fałszerz, będzie w rękach sprawiedliwości.

— Jesteś podłym łotrem — krzyknęła młoda kobieta, dając się opanować oburzeniu — wiedz, że nie mam słów na opisanie wstrętu, jaki we mnie wzbudzasz. Nie jesteś człowiekiem, jesteś potworem, czymś monstrualnym, co nie nosi nazwiska! Przestraszasz mnie, napawasz przerażeniem! Istota najbardziej nieludzka nie wprowadziłaby mnie w takie szaleństwo, jakiego doznaję, patrząc na ciebie! — Zatrzymała się na chwilę, ażeby zaczerpnąć oddechu, po czym dodała z nową gwałtownością. —

Podły! Podły! Odejdź ode mnie, lub zawołam na pomoc. — Słowom tym towarzyszył rozkazujący ruch ręki.

Nędznik rzucił jej spojrzenie groźne, pełne nienawiści i zgięty w pół zbliżył się ku drzwiom. Lecz tu zatrzymał się raz jeszcze. Straszliwy uśmiech pojawił mu się znowu na twarzy.

— Pani — odezwał się głucho — niedługo pożałujesz tych słów, tak, niedługo, lecz będzie już za późno. — I rzucił się na schody, po których zbiegł szybko.

Emelina stała z oczami szeroko rozwartymi, ze spojrzeniem nieruchomym. Nagle myśl jej wróciła, a z nią świadomość tego, co przed chwilą zaszło. — Aaaa! — chrapliwie wyrwało jej się z gardła. I upadła na krzesło ciężko i bezwładnie.

RS

* * *

Kiedy rachmistrz był u Fryderyka Boissiera, ażeby zrobić podły targ z żoną artysty, ten ostatni czekał na niego w jego biurze.

Był tu już od godziny, wystawiony na najsrozsze katusze niepokoju, gdy urzędnik powrócił.

— Mój kochany — rzekł Fryderykowi — przykro mi bardzo, żeś pan tak długo na mnie czekał, ale nie mogłem wcześniej powrócić.

— Uprzedziłeś mnie pan o tym.

— Prawda. A więc myślałem wiele o pańskiej sprawie. Zważywszy wszystkie za i przeciw, uznałem, że należy koniecznie donieść o tym patronowi.

— Sądzi pan, że inaczej być nie może? — przerwał Fryderyk blednąc.

— Naturalnie, że nie, mój drogi. Zrozum pan przecież, że tak wielkiej odpowiedzialności nie mogę brać na siebie.

Fryderyk westchnął.

— Tak jest — odparł — rozumiem. Czyń pan, jak ci nakazuje sumienie.

— Nie mogłem widzieć się z patronem dziś rano, lecz w tej chwili jest w swoim gabinecie; nie zwlekając dłużej pójdę go powiadomić.

— Mam czekać tutaj?

— Nie. Lepiej przejdź się pan trochę po mieście.

— Kiedy mam wrócić?

— Daję panu dwie godziny czasu, bądź tutaj o godzinie czwartej. Fryderyk oddalił się, a rachmistrz udał się natychmiast do patrona.

W kilku słowach opowiedział mu całą sprawę. Zdawało się, że nieszczęście Fryderyka zmartwiło kupca.

— To nie do pojęcia — odezwał się — nigdy nie przypuściłbym, że ten młody człowiek, tak dystyngowany, tak uprzejmy i dobrze wychowany, jest zdolny do czegoś podobnego.

— Właśnie tu sprawdza się trafność tego zdania, że nigdy nikomu nie można ufać. Tak jak pan i ja zostałem niegodnie oszukany przez tego nieszczęśliwego.

— Rzeczywiście, chwalił go pan często przede mną.

— Sądziłem, że to człowiek uczciwy.

— Przedstawiał mi go pan jako człowieka czynnego, pracowitego, a przede wszystkim rozsądnego.

— Cóż pan chce, żałuję teraz bardzo, że potrafił mnie wyprowadzić w pole.

— Widocznie potrzebuje pieniędzy?

— Bez wątpienia, kiedy nie cofnął się nawet przed fałszerstwem. Prawdopodobnie ma jakąś ukrytą namiętność.

— To źle, bardzo źle. Lecz jakże sprawa ta została wykryta? Czy bankier doniósł panu o...

— Pan Boissier sam wczoraj wieczór wyznał mi swoją zbrodnię.

— Ach! Więc to on...

— Wtedy, będąc pewnym, że pan to pochwali zażądałem pieniędzy od kasjera i udałem się do bankiera, ażeby wykupić weksel.

— Dobrze pan zrobił, postąpił pan, jak urzędnik oddany zupełnie interesom naszego domu.

— Oto weksel.

Kupiec wziął papier do ręki i przyglądając mu się bacznie, szepnął:

— O, nieszczęśliwy młody człowiek! — po chwili milczenia zaczął. — Prawie natychmiastowe przyznanie się do winy jest dowodem jego szczerego żalu za popełniony występpek, świadczy to o nim korzystnie i usposabia mnie do okazania pobłażliwości.

— Jak to? Pan by mu przebaczył?

— Chcę wierzyć, że ten nieszczęśliwy działał w chwili obłąkania. Zapewne zawinił on, bardzo zawinił, lecz pochodzi z dobrej i uczciwej rodziny, jest wykształcony, otrzymał staranne wychowanie i żał mi jego młodości. Złamać zupełnie przyszłość takiego człowieka jest rzeczą niezmiernie przykrą. Czy jest pan tego samego zdania?

— Pozwól pan, że powiem: nie.

— A!

— W obecnym przypadku pobłażliwość byłaby złym przykładem; przebaczenie jest słabością, której się później najczęściej żałuje, bo jest ono tylko zachętą dla złoczyńców.

— Jak widzę, to osądza pan pana Boissier bardzo surowo.

— Może surowiej niż kogokolwiek innego.

— Dlaczego?

— Bo ten człowiek mnie oszukał. Ażeby złapać mnie na fałszywe pozory uczciwości, trzeba być bardzo zręcznym i chytrym. Zaręczam panu, że to zbrodniarz, który nie zatrzyma się przed żadną przeszkodą, ażeby dogodzić swoim namiętnościom.

Kupiec potrząsnął głową.

— A więc — odezwał się po chwili milczenia — rób pan, co uważasz za stosowne.

Ponura błyskawica zamigotała w oczach urzędnika. Skłoniwszy się pokornie przed swym zwierzchnikiem, wyszedł z pokoju.

Radość z podłego triumfu jaśniała w jego spojrzeniu. Nędznik mógł wreszcie zemścić się za wzgardę i lekceważenie, okazywane mu przez żonę, uderzając nielitościwie i zdradziecko jej męża.

Fryderyk wrócił o czwartej, przeszedłszy kilka razy całą dzielnicę dokoła i rozmyślając nad swym smutnym przeznaczeniem. Był przybity. Wszystkie obawy z poprzedniego dnia obieżyły go na nowo; miał przeczucie nowych męczarni i katuszy.

W bramie domu stanął oko w oko z dwoma ludźmi zupełnie mu nieznanymi. Ukłoniwszy się im, chciał ich minąć. Lecz jeden z nich zagroził mu przejście. Zatrzymał się zdziwiony.

— Pan jest Fryderykiem Boissier? — zapytał nieznajomy.

— Tak panie — odparł.

— Czekamy na pana.

— Na mnie? — powtórzył Fryderyk, patrząc z niepokojem na nieznajomych.

— Tak jest i proszę iść za nami.

Nieszczęśliwy uczuł gwałtowne wzruszenie. Nerwowe drżenie przebiegło mu po ciele.

— Panowie, ja was nie znam — wyjąkał z trudnością. — Nie wiem, coście za jedni?

— Jesteśmy agentami policyjnymi.

Fryderyk wydał głuchy jęk i spuściwszy głowę, rzekł bezdźwięcznym głosem:

— Idę.

Agenci wzięli go między siebie. Ukryty za szybami okna rachmistrz patrzył, jak aresztowano tego, którego jeszcze dwa dni temu nazywał przyjacielem.

W kwadrans później Fryderyk stanął przed komisarzem policyjnym dzielnicy i jego sekretarzem.

— Jak pan się nazywa? — zapytał urzędnik.

— Fryderyk Boissier.

— Pański wiek?

— Trzydzieści lat.

— Gdzie pan się urodził?

— W Tuluzie.

— Jest pan żonaty?

— Tak, panie — odparł Fryderyk boleśnie.

— Masz dzieci?

— Mam malutką dziewczynkę. — Tym razem łyzy, których nie mógł powstrzymać, stoczyły mu się po policzkach.

Urzędnik milczał przez chwilę, wpatrując się weń bacznie. Czuł wzruszenie i współczucie. Płaczący mężczyzna sprawia zawsze na drugim mężczyźnie wrażenie, któremu ten oprzeć się nie może.

— Ten chłopak nie ma ani twarzy ani spojrzenia łotra — mówił w duchu — jakaś zgubna ręka wepchnęła go na bezdroża.

Podniósł do góry weksel.

— Poznaje pan?

— Tak, panie.

— Pismo jest więc pańskie?

— Niestety! Tak.

— Podpis, naśladowający charakter pisma znanego właściciela domu handlowego jest również pański?

— Tak.

— Kiedy nadawałeś pan temu papierowi wartość przeszło dwóch tysięcy franków, podpisując twego patrona, czy wiedziałeś, że popełniasz zbrodnię, którą prawo surowo karze?

— Wiedziałem.

— I miał pan odwagę zostania fałszerzem?

— Nie zastanawiałem się wtedy, bo... zastanawiać się... nie mogłem, straciłem głowę, byłem jak szalony.

— Czy mówisz pan prawdę?

— Moja matka była święta; ona wpoila we mnie wstręt do kłamstwa. Panie, ja nigdy w życiu nie skłamałem.

— Przed chwilą płakał pan, mówiąc o swym dziecku, teraz jesteś wzruszony na wspomnienie o matce, to dowodzi, że żałujesz swojego występku. Zaniósłeś pan fałszywy weksel do bankiera, który przyjął go, nie domyślając się niczego. Zatem jakaś nagła potrzeba pieniędzy popchnęła cię do tego czynu?

— Och! Gdyby nie to...

— Co zrobiłeś pan z tą sumą? Fryderyk milczał.

— Nie odpowiadasz pan?

— Nie mogę odpowiedzieć, panie.

— Powiedz pan raczej, że nie chcesz.

— Przepraszam pana, chociażbym nawet chciał, to są rzeczy, których nie można, których się nie powinno mówić.

— Sprawiedliwość ma prawo wiedzieć o wszystkim.

— O! Uznaję wszystkie prawa sprawiedliwości, zawiniłem, ona mnie potępi, lecz nie wierzę, ażeby miała prawo do mojego sumienia. Jeżeli nie odpowiedziałem na zadane mi przed chwilą pytanie, to dlatego, że mi sumienie na to nie pozwala.

— Zgoda, postaramy się wykryć tę tajemnicę.

— Pozwoli mi pan mieć nadzieję, że pańskie usiłowania będą daremne.

— Koniec końców, nie posiada pan obecnie tych pieniędzy?

— Nie, panie.

— Winienesz pan swemu patronowi dwa tysiące franków.

— Wiem o tym dobrze.

— Jakże zamierzasz zwrócić mu tę sumę?

— W tej chwili nie mogę panu jeszcze odpowiedzieć — odparł z bólem w głosie — musiałbym zaciągnąć pożyczkę. Byłem pewny, że otrzymam pieniądze w przeciągu dwóch miesięcy, dziś mam ręce związane. Później, jeżeli ból i wstyd mnie nie zabiją, będę pracował, ażeby ten dług spłacić.

— Nie ma pan zatem majątku?

— Ja nie posiadam nic zupełnie.

— Prawdopodobnie same długi?

— Jeden tylko panie, który pan zna.

— A! — rzekł urzędnik.

Na tym zakończyło się badanie. Z wyjątkiem jednego, które zaznaczyliśmy wyżej, Fryderyk odpowiedział szczerze na wszystkie pytania, które mu zadawał komisarz.

Po skończeniu badania zaprowadzono młodego człowieka do niskiej sali, która była zarazem posterunkiem policyjnym. Nieszczęśliwy oglądał swoje pierwsze więzienie. Dwóch policjantów miało strzec więźnia. Nie trwało to długo. Wieczorem wyprowadzono go z sali i wsadzono do zamkniętego powozu, którym przewieziono go do prefektury policji. Tu miał pozostać trzy dni, zanimby wtrącono go do więzienia Mazas.

Najpierw więzienie, potem wstyd, męczarnie, rozpacz, złamana przyszłość. Co za straszliwy upadek po tak pięknych marzeniach!

RS

* * *

Po odejściu rachmistrza, Emelina pozostała u siebie w domu, do czego nie była przyzwyczajona. Zresztą, pod ciosem straszliwej tajemnicy, którą jej wyjawiono, wzburzona, zaniepokojona, prawie złamana, nie znalazłaby sił do wyjścia.

Pomimo tego, powtarzając w duchu, że rachmistrz jest nędznikiem, że chcąc ją przerazić, mógł bardzo łatwo nie powiedzieć jej prawdy, zdołała się nieco uspokoić.

Opanowawszy wzruszenie, czekała dosyć spokojnie na męża, który wracał zawsze punktualnie o godzinie siódmej. Lecz kiedy siódma wybiła i znowu pół godziny upłynęło, niepokój obudził się w jej sercu. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, siadała, podnosiła się natychmiast, zmieniając co chwilę miejsca, otwierała okno, ażeby rzucić okiem na ulicę, po czym wróciwszy do sali jadalnej, obchodziła raz jeszcze całe mieszkanie. Niepokój, przechodzący chwilami w trwogę, dręczył ją bez ustanku. W jej uszach dźwięczała ponura groźba rachmistrza.

— Podły! — mówiła w duchu — nie ukrywał przede mną bynajmniej swego zamiaru, powiedział mi, że się zemści i dopełnił tej groźby.

O ósmej, zachęcona przez służącą, usiadła do stołu i posiliła się trochę. Gardło jej było tak ściśnięte, że połykała z trudnością jedzenie.

Służąca nie domyślając się niczego, a wiedząc jak Fryderyk był punktualny, nie umiała sobie wytłumaczyć jego nieobecności. Obawiając się, czy nie spotkał go jakiś wypadek, które tak często zdarzają się w Paryżu, była nie mniej niespokojna od swej pani.

Dotrzymywała tej ostatniej towarzystwa do godziny dziewiątej.

Kiedy wyszła z pokoju, młoda kobieta otworzyła okno, wychodzące na ulicę, oparła się na ramieniu i zatopiwszy spojrzenie w płomieniach gazowych, migających w latarniach, czekała na męża.

Okolo dziesiątej jakiś człowiek przyniósł jej kawałek papieru, na którym Fryderyk skreślił pospiesznie ołówkiem kilka wierszy. Poślaniec oddalił się natychmiast. Emelina nie śmiała zadać mu ani jednego pytania. Wróciwszy do salonu, zbliżyła pismo do światła i bez trudności odczytała co następuje:

Emelino

Dziś wieczór o godzinie czwartej zostałem zatrzymany przez dwóch ludzi. Chciałem za wszelką cenę mieć pieniądze i ażeby je zdobyć, popełniłem fałszerstwo. Ach! Drogo za to zapłacę! Niestety! Jestem winny i

pragnąłbym jedynie znieść z rezygnacją moje nieszczęście. Każdy tu na ziemi ma swoje przeznaczenie, moje jest okropne i musi spełnić się do końca.

Emelino, pomyśl o tym, co cierpię, co jeszcze cierpieć będę. Strzeż naszego dziecka, naszej drogiej małej Żanety. Wasz los mnie niepokoi, moim sercem targa obawa. Dla siebie, dla naszego dziecka, będziesz potrzebowała pieniędzy; zwróć się śmiało do pani baronowej de Cernac, udaj się do Tuluzy, jeżeli będzie tego potrzeba, powiedz jej wszystko, nie ukrywaj przed nią niczego. Nawet w moim straszliwym nieszczęściu pani de Cernac, najlepsza z kobiet, nie opuści Ciebie!

Jestem godny pożałowania i litości! Twój nieszczęśliwy mąż

Fryderyk

Jak widzimy, list ten nie zawierał wyrzutów, ani jednego gorzkiego słowa dla Emeliny.

Widocznie, mimo swego bólu, Fryderyk zastanawiał się nad tym, co czyni; pomyślał, że list ten będzie czytany i nie napisał nic takiego, co by mogło skompromitować jego żonę i zwalić na nią odpowiedzialność moralną za czyn jej męża.

Młoda kobieta nie odgadła tej delikatności swego męża względem niej, nowego dowodu, dowodu, można by się wyrazić, nawet wzniosłego, jego miłości dla niej. A jednak jej sumienie nie było zupełnie czyste.

— Tak więc to prawda — myślała — fałszerstwo! Uczynił to, uczynił!

A wzburzone sumienie krzychało jej: to twoja wina! Czuli, że popchnęła Fryderyka ku przepaści, która go pochłonęła. Pomimo tego nie widziała całej wielkości swej winy, wobec tego nieuniknionego nieszczęścia, którego była przyczyną, nie czuli smutku, będącego następstwem żalu.

Już nie miała na kogo czekać, położyła się do łóżka. Lecz nie mogła zasnąć. Kiedy tylko przymknęła znużone powieki, zmora chwyciła ją za piersi. Wtedy rzucała się na łóżku i otwierała oczy, ażeby stracić z oczu ponure widziadła, które jej chora wyobraźnia wytwarzała wśród nocy. Dopiero gdy słońce weszło i jego jasne promienie przedarły się przez spuszczone rolety, usnęła, poddając się znużeniu, lecz sen jej był ciężki, podobny do letargu. Już było po dziesiątej, kiedy się obudziła. Służąca skończywszy robotę, czekała na przebudzenie się pani.

Emelina ubrała się bardzo szybko. Może po raz pierwszy w życiu pominęła kilka drobnych szczegółów w toalecie, które nakazywała jej

zalotność. W kapeluszu na głowie, gotowa do wyjścia, otworzyła szufladę, w której obok klejnotów leżały bilety bankowe.

— Oto są te pieniądze, te przeklęte pieniądze! — szepnęła. Chwyciwszy bilety, wsunęła je do kieszeni.

Aby zapobiec pytaniom, które by jej służąca stawiała, rzekła tej ostatniej, że mąż uprzedził ją o swej podróży, która prawdopodobnie potrwa przeszło miesiąc i że był zmuszony opuścić nagle Paryż.

— Teraz wyjdę z domu — dodała — ale powrócę w południe. W kwadrans później Emelina weszła do gabinetu patrona. Ten

przyjął ją natychmiast, kiedy ją zaanonsowano. Podawszy jej krzesło, odezwał się wzruszony:

— Jestem zrozpaczony nieszczęściem, które na panią spadło. Przychodzisz pani zapewne wstawić się za swym mężem; byłem przed godziną u komisarza policji, zrobiłem dla pana Boissier, co mogłem. Nie obwiniałem go bynajmniej, przeciwnie, i sędzę, że będą się liczyli z tym, co powiedziałem.

— Dziękuję panu za pańską dobroć, lecz przyszedłem o to prosić, ażeby pan darował memu mężowi.

— Na nieszczęście nie zależy to tylko ode mnie. Kiedy sprawiedliwość ma winnego w swych rękach, nie wypuszcza go tak prędko. Ale powtarzam pani, że wyrok nie będzie tak surowy, jaki mógłby być.

— Jednak panie, gdybym panu oddała pieniądze... mam je... przyniosłam... oto są. Bierz pan, wszystko jest, może pan policzyć.

— Nie pani, proszę zachować tę sumę, której będziesz z pewnością potrzebowała. Pan Boissier nie jest nic winien naszemu domowi, oświadczyłem to komisarzowi policji. Pan Boissier pracował, stworzył klientelę, która nam pozostaje, a ja szanuję ją wyżej niż dwa tysiące franków.

— A więc nie mogę mieć żadnej nadziei uwolnienia mego męża, zostanie skazany.

— Nie mogę nic uczynić nadto, com już uczynił. Żałuję, tak, bardzo żałuję, że pani nie była u mnie wczoraj lub że pan Boissier, nie mając śmiałości lub zaufania do mnie, sam mi nie wyjawiał całej sprawy. Byłbym się okazał surowy, bez wątpienia, lecz miałbym litość nad nim. Dzisiaj już za późno.

Młoda kobieta spuściła głowę.

— Pozwoli pani zadać sobie jedno pytanie? — zaczął kupiec po chwili milczenia.

— Proszę.

— Czy mąż mówił pani o tym, co zrobił?

— O! Nie, panie, ukrył to przede mną. Dowiedziałam się o tym dopiero wczoraj, dopiero o godzinie pierwszej. Ach! Powinnam była przyjść tutaj natychmiast.

— Tak, byłyby pani dobrze zrobiła.

— Ale wahałam się, nie mogłam uwierzyć, ażeby to była prawda.

— Któż panią o tym powiadomił?

— Pański rachmistrz.

— Mój rachmistrz?

— Tak, panie. Przyszedł do mnie, wiedząc, że mego męża nie ma w domu, miał weksel w swoim portfelu, pokazał mi go; miałam pieniądze, te bilety bankowe, chciałam mu je dać i wykupić nieszczęsny papier.

— I?

— Odmówił, panie...

— Odmówił! — krzyknął kupiec.

— Tak, panie.

— Dlaczego? Czy mówił pani dlaczego?

Rumieniec okrył bladą twarz Emeliny. Wahała się z odpowiedzią.

— Mów pani, mów — nalegał patron — nie ukrywaj niczego, pragnę wiedzieć prawdę.

— Panie, człowiek ten proponował mi inny targ.

— Ach!

— Nie mogłam przewyciężyć mego oburzenia, uniosłam się, sama nie wiem, co mu wtedy powiedziałam... Wreszcie wypędziłam go z mego domu. Oddalił się, grożąc mi zemstą! Niestety, pogrożki jego były prawdziwe, nie czekałam długo na jego zemstę!

Kupiec powstał z twarzą zmienioną, z rysami ściągniętymi, oczy jego ciskały pioruny.

— Ależ to coś potwornego, ohydneho, to podłość bez granic! — wykrzyknął.

Emelina podniosła się z krzesła. Kupiec zbliżył się do niej i ujął ją za rękę.

— Mówię pani raz jeszcze, że jestem w rozpacz; podzielam pani smutek, jeżeliby pani potrzebowała rady lub jakiegokolwiek przysługi, to udaj się do mnie bez wahania.

Emelina podziękowała mu ze łzami w oczach. Odprowadziwszy ją do drzwi swego mieszkania, wszedł do pokoju przyległego do gabinetu, gdzie pracowało dwóch jego urzędników i rzekł jednemu z nich:

— Proszę powiedzieć panu Michałowi, że pragnę go natychmiast widzieć.

W chwilę potem rachmistrz stał przed patronem.

— Panie — odezwał się kupiec poważnie — zauważyłem wczoraj, że jest pan bardzo surowy dla pana Boissiera; zajęty inną sprawą, nie zwróciłem dostatecznej uwagi na pańskie wzburzenie, lecz obecnie znam prawdziwe uczucie, które panem powodowało. Wczoraj o godzinie pierwszej po południu, znalazłeś się pan w mieszkaniu pani Boissier, kiedy mąż jej, któremu pan naznaczyłeś o tej samej godzinie spotkanie, był nieobecny. W pańskim portfelu znajdował się fałszywy weksel, wykupiony poprzedniego dnia, pokazałeś go pani Boissier, powiadamiając ją równocześnie, w jak krytycznym położeniu znajduje się jej mąż. Wtedy pani Boissier prosiła pana, błagała, abys oddał jej weksel w zamian za sumę, którą wypłaciłeś bankierowi. Pan nie chciał tego uczynić. Dlaczego?

Rachmistrz zbladł jak ściana.

— Nie mogłem przyjąć propozycji pani Boissier bez pańskiego zezwolenia — zaczął się tłumaczyć widocznie strwożony — pan sam tylko miałeś prawo...

— Zgoda — odparł kupiec — lecz dlaczego nie powiadomił mnie pan wcześniej o tym?

— Ja... zapomniałem — wyjąkał.

— To po prostu niemożliwe, pomimo tego jestem gotów uwierzyć. W takim razie bądź pan łaskaw mi wytłumaczyć, w jakim celu udałeś się do pani Boissier?

Rachmistrz szukał nadaremnie odpowiedzi. Był zdenerwowany. Szeroko otwarte oczy zwrócił na poważne i surowe oblicze patrona.

Ten ostatni pociągnął za sznurek dzwonka.

Urzędnik, z którym rozmawiał przed chwilą, stanął we drzwiach pokoju.

— Bądź pan łaskaw — rzekł mu — uprzedzić kasjera, że pragnę z nim pomówić.

Urzędnik zniknął, a w dwie minuty później wszedł do gabinetu kasjer.

— Mój panie — odezwał się kupiec, zwracając się do niego — dasz pan natychmiast panu Michałowi, co mu się należy tego miesiąca aż do dzisiejszego dnia włącznie. Oddasz pan książki kasy panu Courlier i już dzisiaj zajmiesz się rachunkami. Na razie nie mam panu nic innego do powiedzenia, może się pan oddalić.

Kasjer wyszedł. Wtedy patron zwrócił się do rachmistrza i rzekł mu sucho:

— Od tej chwili nie wchodzi pan w skład urzędników mego domu.

Rachmistrz osłupiał. Przerażone jego spojrzenie błagało litości. Posiadał miejsce z płacą ośmiu tysięcy franków rocznie.

— Są rzeczy potworne, na które nie ma dość wielkiej kary — ciągnął dalej kupiec — bądź pan jednak pewien, że żałuję, iż nie mogę surowiej cię ukarać.

— Ależ panie — zaczął nędznik.

— Ani słowa więcej — przerwał rozkazująco patron — nie chcę, aby w moim domu znajdował się łotr i podlec. Odejdź pan, nie znam cię więcej!

Rachmistrz zwiesił głowę na piersi i postąpił ku drzwiom, chwiejąc się jak pijany.

* * *

Po wizycie u patrona Emelina uznała, że już dosyć zrobiła dla męża i była zadowolona.

Powiedzmy prawdę: wizytę tę uważała za swoją powinność, sądząc, że w ten sposób oczyści się i uniewinni sama przed sobą. Powoli jej wzburzone sumienie odzyskało zwykły spokój i wkrótce zaczęła przyglądać się przyszłości przez szkła mniej ciemne. Mogła napisać list do Fryderyka; list od niej byłby dla biednego więźnia wielką pociechą, lekarstwem na głębokie rany jego serca. Na list ten czekał codziennie i codziennie powtarzał w duchu:

— Otrzymam go jutro.

Spodziewał się również, że Emelina odwiedzi go raz przynajmniej w więzieniu. Powiedziano mu, że to jest możliwe i że żona jego musi tylko poprosić o pozwolenie, które by jej łatwo zostało udzielone. Niestety! Czekał na próżno na jedno i drugie.

Emelina zamierzała napisać do niego, pragnęła także zażądać pozwolenia odwiedzenia więźnia, lecz cofnęła się przed oboma rzeczami. Czuli, że nie będzie mogła znaleźć się w obecności swego męża, będąc pewna, że nie ośmieli się spojrzeć mu w oczy. Co do listu, nie miała również śmiałości do napisania go, nie z obawy przed kłamstwem, lecz ponieważ nie miała nic do powiedzenia.

Pewnego ranka zdecydowała się wreszcie; wzięwszy kartkę papieru listowego usiadła przy stole. Lecz napisawszy zaledwie pięć czy sześć wierszy, rzuciła pióro i podarła rozpoczęty list. Po czym odezwała się głośno, przesuwając ręką po czole:

— Nie, nie mogę nic pisać, o czym będę mu mówiła? Znużony oczekiwaniem na list lub odwiedzin, Fryderyk napisał

do Emeliny dwa listy jeden po drugim, w których błagał ją, aby przesłała mu wiadomości o sobie i o małej Żanecie. Czekał na odpowiedź niecierpliwie, podobnie jak na samym początku uwięzienia. Wiemy, dlaczego Emelina nie pisała do niego.

Nieszczęśliwy więzień oddawał się najboleśniejszym rozmyślaniom, robiąc co dzień inne przypuszczenia, aby wytłumaczyć sobie w sposób usprawiedliwiający uporczywe milczenie Emeliny, które zachowywała względem niego.

Nie wiedząc, co wymyślić, wmówił wreszcie w siebie, że Emelina nie otrzymała jego listów.

„Znam ją — mówił sobie — obawiała się plotek całej dzielnicy, szyderczych uśmiechów sąsiadek, bo prawdopodobnie cała ulica Montholon wie o tym, że znajduję się tutaj w więzieniu; ażeby uniknąć złośliwych spojrzeń, opuściła Paryż, nie mówiąc nikomu, gdzie zamierza się udać. Może pojechała do Tuluzy. Tak, tak, jestem tego prawie pewny, jest w Tuluzie... Rzeczywiście, miała słuszność, opuszczając Paryż. W Tuluzie ma wiele przyjaciółek, nie licząc pani de Cernac, przy której znajdzie schronienie, która będzie jej pocieszycielką i aniołem opiekuńczym. Bogu dzięki, ta myśl pocieszyła mnie nieco.”

Pomimo tego często był bardzo przybity, wtedy opanowywało go zniechęcenie, a nawet rozpacz.

Gdyby przynajmniej mógł wiedzieć, że Emelina uspokoiła się po tak gwałtownych wstrząsach, że nie jest chora i że mała Żaneta cieszy się również dobrym zdrowiem, sprawiłoby mu to wielką ulgę. Zdawało mu się, że nie tylko zmniejszyłaby się jego boleść, lecz przestałby zupełnie cierpieć.

Mógł otrzymać wiadomości o córce pisząc do jej mamki, ale nie śmiał tego uczynić. Powiadomić ją i jej męża o swym obecnym położeniu było nad jego siły; czuł, że w interesie samego dziecka nie powinien informować o swym nieszczęściu jego żywicielkę.

Myśli jego były bezustannie przy Emelinie i małej Żanetce. Przebiwszy wysokie mury, pomimo oddalenia, dusza jego łączyła się z nimi. Zdawało mu się, że widzi je przed sobą, pieścił je spojrzeniem i przez godziny, nawet całe dni, prowadził z nimi czułe rozmowy. W nocy, gdy zdołał usnąć, marzył o nich w swoich snach.

Niekiedy przypominał sobie o Karolu Dumeyu; widział go wtedy w jego wspaniałym pałacu, wśród zbytku, otoczonego wszystkim, co może oczarować, uwieść i zgubić kobietę. Wtedy czuł gwałtowny cios w samo serce, stawał na równe nogi, blady i dyszący. Oczy jego ciskały błyskawice, spojrzenie było groźne, mściwe. Lecz natychmiast zwracał myśl w inną stronę i widziadło znikało mu z oczu.

Nie wiedząc o ohydnej roli, jaką odegrał rachmistrz w dniu jego aresztowania i poprzedniego dnia, nie wątpił, że przyjaźń tego ostatniego była szczerą i sądził, że jego wstawienie się nie zdołało przekonać patrona, który zaniósł sam skargę do komisarza policji.

Śledztwo rozpoczęło się w czwarty dzień po aresztowaniu.

Kiedy wszelkie usiłowania odkrycia tajemniczego powodu przestępstwa okazały się daremne, wezwano Fryderyka przed sąd przysięgłych.

Przed sądem stanął tylko jeden świadek, patron, gdyż oskarżony przyznał się do sfalszowania podpisu.

Według aktu oskarżenia, był to jedyny oskarżyciel obwinionego. Kupiec nie przemawiał długo, lecz wszystko, co mówił, było tylko na korzyść oskarżonego. Opowiedział ze wzruszeniem o odwiedzinach pani Boissier, wystrzegając się jednak jakiegokolwiek wzmianki o postępowaniu swego dawnego rachmistrza.

Od tej chwili Fryderyk nie słuchał już niczego. Nie słyszał ani aktu oskarżenia, ani obrony adwokata, która była jedną z najłatwiejszych, ani wreszcie wyniku rozpraw, prowadzonych z wielkim umiarkowaniem i uwzględnieniem wszystkich łagodzących okoliczności. On myślał tylko o jednym, o wizycie, którą żona jego złożyła patronowi, ażeby oddać mu dwa tysiące sto franków.

Nie obwiniał Emeliny za to wystąpienie w celu otrzymania łaski dla uwięzionego. Ale to, że jego żona mogła zdobyć pieniądze w przeciągu kilku godzin, napełniało go niepokojem, a w końcu sprawiało mu straszliwy ból. Jakże to uczyniła? Czy ulegając szlachetnemu uczuciu, miała odwagę zastawienia po raz drugi swych klejnotów? O! W takim razie było to niezwykle szlachetne!

Lecz inne myśli zaczynały go oblegać i zapominał o pierwszym przypuszczeniu. Wtedy pytał się znowu: Jakże to uczyniła? Kto pożyczył jej pieniędzy? Nazwisko pani Surmain przychodziło mu na myśl, lecz zazdrość stawiała mu przed oczyma zimną postać Karola Dumeya. Czy po wszystkim, co zaszło, Emelina ośmieliłaby się powrócić do tego człowieka! Ten jeden fakt uważał za nieszczęście straszniejsze od wszystkich innych.

Równocześnie, gdy zadawał sobie te pytania i szukał na nie odpowiedzi, mnóstwo innych myśli krzyżowało się, stykało tłumnie w jego mózgu. Coś go ścisnęło za gardło, tamując oddech. Zdawało mu się, że drapieżne szpony rozdierają mu serce, zdawało mu się, że głowa cała w płomieniach lada chwila pęknie.

Sędziowie uzgodnili werdykt. Wszyscy byli usposobieni przychylnie do oskarżonego. Urzędnicy powstali i rozprawiali chwilę, odwróciwszy się plecami do publiczności. Sędzia ogłosił wyrok.

Fryderyk, którego myśli były daleko od sądu przysięgłych, stał z głową spuszczoną, nieruchomy jak posąg. Jeden z woźnych położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Chodź pan!

Drgnął i podniósł głowę.

— Czy już skończone? — zapytał.

— Tak.

Wyszedł z sali. W korytarzu, prowadzącym do sali oskarżonych, zatrzymał się nagle.

— Możesz mi powiedzieć, jaki ogłoszono wyrok? — zapytał woźnego.

— Więc pan nie słyszałeś?

— Nie, nie słyszałem.

— A więc może się pan uważać za bardzo szczęśliwego.

To słowo „szczęśliwy” sprowadziło na usta Fryderyka gorzki uśmiech.

— Skazano pana tylko na jeden rok więzienia — dokończył woźny.

— Dobrze — szepnął Fryderyk. A cicho dodał: — Sąd był pełen pobłażliwości: rok to mało, lecz jeszcze za wiele, za wiele.

Adwokat czekał na niego.

— Dziękuję panu — rzekł ze smutkiem młody człowiek.

— Robiłem, co mogłem.

— To prawda.

— Na nieszczęście nie mogliśmy liczyć na uwolnienie.

— Wiem o tym.

Adwokat był człowiekiem starszym, w wyrazie twarzy miał coś ojcowskiego, spojrzenie i uśmiech były pełne życzliwości.

Fryderyk patrzył na niego, jakby chciał poprosić go o coś...

W istocie, chciał go poprosić, aby zasięgnął wiadomości o Emelii, dowiedział się, gdzie się ona znajduje, co robi i powiadomił go o jej położeniu. Lecz słowa zatrzymały mu się na ustach; nie śmiał mówić, obawiając się tego, czego mógłby się dowiedzieć.

Adwokat domyślił się, że chce mu coś powiedzieć.

— Jestem na pańskie usługi — oświadczył — ma pan może jakieś żądanie?

Fryderyk westchnął.

— Nie, nie panie — odparł, przesuwając ręką po czole — chciałem panu tylko jeszcze raz podziękować za zajęcie się moją sprawą.

Adwokat wymówił kilka słów zachęty i zniknął w korytarzu. Młody człowiek myślał boleśnie:

— Jestem i tak zgubiony... Skazany jestem na istnienie, które jest dla mnie ciężarem, i zgięty, złamany pod tym krzyżem, muszę dojść aż do szczytu mojej Golgoty!

Nie będziemy opisywali, co za męczarnie musiał znieść nieszczęśliwy podczas tego długiego roku. Są bóle, męczarnie moralne, których niepodobna oddać w żadnym języku. Były to katusze bez ulgi, w każdym dniu, w każdej chwili, straszniejsze a nie mniej okrutne od tych, które istniały dawniej, za rządów najlepszych naszych królów, gdy skazanemu palono stopy, wrywano paznokcie, rozdzierano ciało i łamano kości.

A wszystko dlatego, że więzień żył tylko jedną myślą: o żonie i dziecku!

RS

* * *

Godziny mijają, pomimo że są gorzkie i bolesne. Upłynął rok.

Fryderyk Boissier liczył wszystkie dni, niestety! Nie posiadał tej pierwszej cnoty więźnia, cierpliwości. Wreszcie pewnego wieczoru mógł powiedzieć:

— Jutro!

Nie omylił się.

Nazajutrz o godzinie jedenastej, po śniadaniu więźniów, wprowadzono go do pokoju, gdzie znajdowało się jego ubranie, które miał na sobie w dniu aresztowania. Gdy już zrzucił ubranie więzienne, oddano mu wiele przedmiotów, między innymi pieniądze, które znaleziono przy nim, po czym bramy więzienia stanęły przed nim otworem.

Kiedy ostatnie z tych ponurych drzwi zamknęły się za nim, oddalił się powoli. Zdawało się, że nie czuje żadnej radości z odzyskanej wolności. Kiedy jednak uszedł już ze sto kroków, zatrzymał się, podniósł czoło i zatopiwszy wzrok w oddali, odetchnął pełną piersią. Można było sądzić, że chce oczyścić płuca powietrzem wolności z atmosfery, którą oddychał przez cały rok.

Rzuciwszy spojrzenie na więzienie, gdzie pozostało wielu innych nieszczęśliwych, gdzie tylu jeszcze miało wejść, westchnął i zaczął iść dalej. Do głowy cisnęły mu się pytania:

Gdzie idę? Gdzie mam zwrócić moje kroki? Po jakich cierniach mam jeszcze stapać? Smutno! Smutno, smutno! — myślał — co ma robić człowiek, dla którego nie ma egzystencji? Czyż jestem dziś mniej nieszczęśliwy, lub mniej nędzny niż byłem wczoraj? Jakieś smutne przeczucie ściska mnie i dławi, coś mi mówi, że więzienie było dla mnie lepsze od wolności. A jednak wśród nowych nieszczęść, których się obawiam, a które czekają na mnie z pewnością, moja Żaneta zjawia się przede mną jak ostatni promyk nadziei. Patrząc się na nią, przyciskając ją do serca, odzyskam siły i odwagę. Powinno się uznawać opiekę Boga, gdy ma się przy sobie jednego z jego aniołów. Jeżeli wszyscy mnie opuszczą, jeżeli nawet tę, którą tak kochałem, będę zmuszony przekląć, zostanie mi tylko moje dziecko, a moja Żaneta, moja ubóstwiona córeczka, będzie całą moją pociechą, moją jedyną miłością!

Z takimi myślami, z niepokojem w sercu, zbliżał się do ulicy Montholon. Zatrzymał się przez chwilę na trotuarze, patrząc na front domu,

a przede wszystkim na okno salonu swego mieszkania. Okno to było zamknięte i zasłonięte gęstymi firankami.

Przeszedłszy przez ulicę, wszedł śmiało do loży stróża. Tu zastał tylko jego żonę. Na jego widok nie mogła ukryć swego zdziwienia.

— Ach! To pan — rzekła zimno.

— Tak, to ja.

— Więc pan już nie jest...

— Widzisz pani, że jestem tutaj.

— Przepraszam, nie zastanawiałam się, w istocie, to już rok temu... Jak ten czas szybko leci! Czego pan sobie życzy?

— Czy moja żona nie mieszka już tutaj? — spytał Fryderyk stłumionym głosem.

— Jak to, pan nie wie?

— Nic nie wiem.

— Więc pańska żona nic panu nie pisała?

— Nie.

— W takim razie rozumiem.

— Pani będzie łaskawa udzielić mi wiadomości o mojej żonie.

— I owszem, jeżeli to może sprawić panu przyjemność.

— Przede wszystkim, gdzie mieszka teraz pani Boissier?

— Tego, proszę pana, nie wiem.

— Czy nie sądzisz pani, że wróciła do Tuluzy?

— Nie mogę panu nic powiedzieć; może wróciła może i nie.

— W każdym razie — rzekł Fryderyk — może mi pani powiedzieć, co zaszło od dnia...

— W którym wyjechałeś pan niby to w długą podróż. Mogę panu wszystko szczegółowo opowiedzieć. Jak panu przed chwilą wspomniałam, gdy dziwiono się w pierwszych dniach pańskiej nieobecności, żona pańska oznajmiła, że udałeś się pan w podróż. Mój Boże! Nie było w tym nic nieprawdopodobnego i uwierzyliśmy w to wszyscy, my i inni lokato rowie...

— Czy żona moja przyjmowała wizyty?

— Nikt jej nie odwiedzał. Zresztą prawie nigdy nie było jej w domu; wyszedłszy rano o dziesiątej, wracała bardzo późno wieczorem. Widocznie jadła obiad na mieście, w restauracji lub gdzie indziej. Nie trwało to dłużej niż dwa tygodnie. Pewnego ranka pani Boissier zwolniła służącą i zapłaciwszy nam czynsz z góry na dwa miesiące, napełniła dwa wielkie

kufry rzeczami i opuściła mieszkanie, mówiąc nam, że wyjeżdża z Paryża, ażeby połączyć się z panem w jakimś mieście, którego nazwy nie pamiętam, gdzie pan byłeś zmuszony pozostać przez pięć lub sześć miesięcy. Nie wiedząc o tym, co pana spotkało, nie mieliśmy powodu nie wierzyć pani Boissier. Wreszcie wyjechała...

— Kiedy powróciła?

— Ależ ona już wcale nie wróciła.

— Jak to! Nie wróciła tutaj? — zawołał Fryderyk.

— Nie widzieliśmy jej odtąd nigdy.

— Przychodziły do niej listy?

— Tak jest, nadeszło kilka.

— Cóż robiliście z nimi?

— Chowaliśmy je, póki ktoś nie zjawił się po nie.

— Więc listy odebrano?

— Tak, panie.

— Posłaniec?

— Nie. Była to kobieta w starszym wieku, wyglądająca bardzo porządnie.

— A meble? — Fryderyk spytał drżącym głosem.

— Zostały tam przeszło przez sześć miesięcy; nie niepokoił się bynajmniej, bo miały one większą wartość niż czynsz za sześć lub siedem miesięcy. Zapomniałam nadmienić, że pani Boissier zostawiła nam klucz od mieszkania i wychodziłam często na górę, aby wywietrzyć pokoje. Pewnego dnia weszło dwóch panów do loży. Jeden z nich rzekł mi: „Przychodzę w imieniu pani Boissier, mam pani zapłacić dwie raty, tę, która upłynęła, i tę, która następuje, po czym zabierzemy meble z mieszkania, aby pani mogła wynająć je komu innemu. Ten pan przyszedł ze mną, aby kupić wszystkie ruchomości”. Po tych słowach dał mi do przeczytania jakiś list, napisany i podpisany przez panią Boissier. Nie przypominam sobie, co ten list zawierał, wiem tylko, że upoważniał nieznanym do wyniesienia mebli.

Fryderyk był bardzo blady, lecz słuchał z gorączkowym niepokojem.

— Udałam się z tymi panami na górę — ciągnęła dalej stróżka. — Przypatrzysz się po kolei meblom, rozprawiali chwilę, razem zgodzili się na jedną cenę i dobili targu.

— Tak więc wszystko sprzedano?

— Tak, panie, i wyniesiono nazajutrz rano.

— Fortepian również?

— Tak, a także pańskie skrzypce, na których wygrywałeś pan także śliczne arie, że łzy mimo woli cisnęły się do oczu.

Młody człowiek stłumił westchnienie.

— Żałujesz pan tych skrzypiec? — spytała stróżka.

— Tak, żałuję — odparł ze smutkiem — należały do mego ojca, była to dla mnie najdroższa pamiątka.

— Prawdopodobnie pani Boissier nie myślała o tym.

— Nieszczęsna! — pomyślał Fryderyk — o czym ona myślała? — Po krótkim milczeniu zaczął: — Czy nie pytała się pani tego nieznanego, który miał polecenie sprzedania mebli, gdzie mieszka pani Boissier?

— W istocie, panie, ale człowiek ten nie odpowiedział mi, udając, że nie słyszy. Naturalnie, nie nalegałam dłużej. Lecz pomyślałam wtedy, że pańska żona mieszka w Paryżu lub w okolicy.

— Zna pani kupca, który kupił meble?

— Nie, panie, nie znam go.

— Więc pani nie wie, gdzie mieszka?

— Nie pytałam się o to.

— Jeszcze tylko jedno pytanie: miałem dosyć obszerny pakiet papierów, może wie pani, czy moja żona umieściła go w kufrze i wzięła ze sobą?

— Czy te papiery nie znajdowały się w szafie?

— Tak jest, w szafie w rogu salonu, po prawej stronie pieca.

— W takim razie pani Boissier nie wzięła ich ze sobą.

— Cóż się stało z nimi? — spytał Fryderyk żywo.

— Czy miało to jaką wartość?

— Nie wiem — odparł młody człowiek z westchnieniem. — Dlaczego pani o to pyta?

— Ponieważ... ponieważ... — zaczęła stróżka zakłopotana.

— Cóż takiego?

— Te papiery już nie istnieją.

— A! Zniszczone! — szepnął. Nieokreślony uśmiech przemknął mu po ustach.

— Bardzo mi przykro, proszę pana, bardzo mi przykro, bo widzę, że panu na tych papierach zależało. Ale przysięgam panu, że nie wiedziałam, iż te wielkie kajety, pokryte czarnymi kropkami mogą się przydać do czegoś. Kiedy wynajęłam mieszkanie i zrobiłam w nim porządek przed wprowadzeniem się nowych lokatorów, zabrałam wszystko, co znalazłam w

pokojach; związałam razem i sprzedawałam gałganiarzowi. Zresztą, kupiec mebli otworzył szafę przede mną i posłużył się częścią papierów do pakowania.

Młody człowiek zrobił ruch rozpaczy. Po czym przesunął gwałtownie ręką po czole.

— Nic, nic — rzekł do siebie — nie myślmym o tym, już dawno znikły wśród huraganu wszystkie moje nadzieje i złudzenia. — A głośno dodał: — Te papiery nie miały żadnej wartości, pomimo tego zależało mi na nich! Ale zawadzały w mieszkaniu... pani je wzięła... miała prawo do tego, nie mogę pani czynić wyrzutów. Moja żona powinna była wziąć je ze sobą, w tej okoliczności ona jedna zawiniła.

Podziękowawszy stróżce za wskazówki, których mu udzieliła, wyszedł z domu.

Zaczął iść szybko, ażeby oddalić się czym prędzej od tej dzielnicy.

I widząc jego ściągnięte rysy, błędne oczy i nerwowe poruszenia, można go było wziąć za szalonego. W rzeczywistości to, co czuł obecnie, podobne było do napadu szaleństwa. Próbował zebrać myśli, lecz wzburzenie nie pozwalało mu na spokojne myślenie. Do głowy cisnęły mu się tylko myśli bezładne, bez związku...

Już szedł blisko od dwu godzin, gdy wreszcie zdołał zapanować nad sobą. Zatrzymał się nagle i spojrzał wokół siebie. Znajdował się na bulwarze Menilmontant, niedaleko cmentarza, w dzielnicy, której nie znał zupełnie. Po lewej stronie widział ulice. Po ogromnym hałasie, dobiegającym z prawej strony, domyślił się, że z tej strony jest środek miasta. Hałas ten był podobny do ryku wzburzonego morza. Młody człowiek zaczął porównywać Paryż do szerokiego oceanu pełnego zasadzek i głębokich przepaści. Cóż znalazł w Paryżu? Przeszkody na każdym kroku, potem otchłań, w którą runął rozdzierając się i raniąc. Paryż i ocean, dwa groźne, straszliwe potwory, dwie bezdenne przepaści!

Czując, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, usiadł na ławce, i ścisnąwszy rękami rozpalone czoło, zaczął rozmyślać.

Wokoło siebie i ponad sobą widział próżnię. Paryż, Francja, przestwór cały był dla niego pustynią bez końca, ziemia pod jego stopami stawała się kraterem! Czuł swoją nicość, był zmiażdżony!

— Ach! Moje nieszczęście jest zupełne! — krzyknął nagle. Ręce załamał nad głową, paznokcie wpijały się w skórę głowy. Jęknął

rozpaczliwie. Niestety! Nie mógł mieć już złudzeń. Emelina zdradziła go i opuściła.

— O! Nędzna! Nędzna! — szepnął głosem pełnym bóleści, żalu i mściwości. W jego sercu zawrzał bunt przeciw temu podeptaniu wszelkich praw ludzkich, a w głębi mózgu tkwiła myśl straszliwej zemsty.

Emelina zniknęła. Widocznie ukryła się w Paryżu lub na jednym z przedmieść. Nie pytał się, jak ma ją znaleźć, wiedząc, że wystarczy zażądać wiadomości o niej od Karola Dumeya.

Na samą myśl o tym człowieku, ciałem jego wstrząsały nerwowe dreszcze, w oczach lśniły ponure błyskawice i wściekłość ogarniała znękanego Fryderyka.

RS

* * *

Przed zniknięciem na zachodzie, słońce złociło jasnymi promieniami szczyty domów, zaglądając po raz ostatni w głąb ciemnych poddaszy. Ostatnie promienie słońca dla nieszczęśliwych! Czyż nie należy się, ażeby biedny, zarówno z bogatym korzystali z niego?

Noc się zbliżała a Fryderyk był bez przytułku. Pozostając na ławce, na której usiadł, narażał się na zatrzymanie jako włóczęga. Jakkolwiek wolność była dla niego smutna i pozbawiona jednego promyka radości, nie pragnął bynajmniej przestąpić po raz drugi progu więziennego.

Zresztą, czyż nie miał jeszcze obowiązków do spełnienia? Żona, opuściwszy go, nie uwalniała go tym samym od opiekowania się dzieckiem. Mógł znaleźć w swym sercu dosyć wzgardy, ażeby pozostawić wiarołomną małżonkę jej wstydomi i nie myśleć o zemście, lecz w tym samym zranionym sercu było za wiele miłości ojcowskiej, aby nie pomyślał o istnieniu i przyszłości swego dziecka. Miłość męża mogła zmniejszyć się i całkiem wygasnąć, lecz zarazem zwiększała się i podwajała miłość ojca. Jednym słowem Fryderyk mógł nie zajmować się już żoną i zostawić ją jej przeznaczeniu, ale musiał zabezpieczyć los swej małej Żanetki i oddać jej resztę swego nieszczęśliwego życia.

Czy dziecko było jeszcze u mamki? Należało to zbadać jak najprędzej. Jeżeli Emelina odebrała ją, aby wziąć do siebie, lub umieścić gdzie indziej, to w takim razie powinien odszukać ją bezzwłocznie. Jego córka należała tylko do ojca. Miał prawo wyrwać ją z rąk niewiernej żony, która nie była dobrą matką. A potem zniknąłby ze swoją córką, aby matka nigdy jej nie mogła widzieć, zaniósłby ją na drugi kraniec świata, aby ją tam ukryć. Już teraz miał na myśli Amerykę.

Jestem wyrzutkiem społeczeństwa — myślał — jeżeli chcę żyć i znaleźć środki do zarabiania na życie i wychowanie mego dziecka, muszę nazwać inny kraj moją ojczyzną!

Podczas gdy tak rozmyślał, słońce zaszło, posyłając ciasnym ulicom i szerokim bulwarom purpurowe odblaski.

Fryderyk podniósł się, mówiąc:

— Gdzie pójdę? Co będę robił? — spojrzął w stronę Paryża, następnie w stronę Belleville. — Muszę przecież znaleźć jakieś schronienie — szepnął.

Oparłszy się plecami o drzewo, wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej portmonetkę. Zaczął liczyć pieniądze. Znalazł sześćdziesiąt dwa franki i pięćdziesiąt centymów.

— Majątek — mruknął z gorzkim uśmiechem.

Zrobił kilka kroków, jakby zamierzał przejść przez bulwar i iść do centrum miasta. Lecz nagle odwrócił się od Paryża. Po krótkim wahaniu zagłębił się w najbliższą ulicę. Szedł już od kilku minut, postępując w górę ulicy Pueblya, kiedy wśród tysięcy płomieni gazowych, jaśniejących po sklepach i na ulicach, spostrzegł świecącą wielką latarnię, na której wyczytał następujące wyrazy: Dom noclegowy.

Dom był smutny z pozoru. Pomimo tego zdawało się, że jest porządnie utrzymany.

— Nie warto iść dalej i szukać dłużej — rzekł w duchu. — Tu znajdę łóżko, na którym będę mógł wypocząć i zasnąć, jeżeli mi na to pozwolą nerwy.

Wszedłszy do domu, dostał się aż do schodów, szukając osoby, do której mógłby się zwrócić.

— Tędy, tędy, proszę pana — krzyknął mu nad uchem gruby głos kobiety, a właścicielka jego zjawiała się przed oszklonymi drzwiami.

Równocześnie drzwi się otworzyły i pani domu, olbrzymia kobieta opierając się na nogach, jak słupy, stanęła przed Fryderykiem. Wyszła z sali, o niskim suficie, odymionych i okopconych murach, w której znajdował się mały bufet z flaszkami wina, trzy czy cztery drewniane stoły, dwie ławki i kilka krzeseł. Siedząc naokoło stołów, goście palili fajki, zapełniając pokój gęstym dymem, którego gryząca i przenikająca woń drażniła powonienie i chwytiała za gardło.

— Czego pan sobie życzy? — potężna matrona obrzuciła badawczym spojrzeniem młodego człowieka.

— Pokoju, jeżeli mi go pani może wynająć.

— Na noc?

— Tak jest, na noc; jeżeli mi się jednak będzie u pani podobało, to mógłbym zostać tutaj dwa tygodnie lub nawet miesiąc.

— Jest pan sam?

— Sam zupełnie.

— Jeden frank pięćdziesiąt za noc, licząc w to świecę i usługę.

— Bardzo dobrze, moja pani. — I dodał, mówiąc do siebie: — To cena rozsądna w stosunku do mego majątku.

— Jeżeli jutro rano postanowi pan pozostać — rzekł kolos w spódnicy — to za dwa tygodnie będzie się należało piętnaście franków, a za cały miesiąc dwadzieścia. — Cofnąwszy się nieco, aby nie tamować przejścia Fryderykowi, dodała: — Czy nie wejdzie pan do sali?

Młody człowiek zagłębił spojrzenie wewnątrz sali i cofnął się.

— Sądzę, że się pan nikogo nie obawia — ciągnęła dalej gruba dama — ci panowie to moi stali goście, nie zjedzą pana z pewnością.

Fryderyk zdecydował się wejść. Szerokie oblicze gospodyni rozpromieniło się radością.

— Może pan coś przekąsi? — zapytała, pokazując zęby żółte, długie i ostre, prawdziwe zęby tygrysicy.

— Dziękuję, na razie nie potrzebuję niczego — odparł Fryderyk.

— Więc pan jadł już obiad?

— Nie, ale nie jestem ani głodny, ani spragniony. Jestem tylko okropnie znużony; jedna rzecz, której obecnie pragnę to spoczynek, zwłaszcza, że zamierzam jutro dużo chodzić.

— Zaraz panu służę — rzekła gospodyni. Zapaliwszy świecę, dała ją Fryderykowi wraz z kluczem, zawieszonym na skórzanym rzemyku. — Pierwsze piętro, numer szósty — odezwała się. — Liczbę zobaczy pan na drzwiach pokoju.

Fryderyk wyszedł z sali, mówiąc:

— Do widzenia.

W kwadrans później leżał w łóżku dosyć czystym, na cienkim i bardzo twardym materacu, który pomimo tego wydawał mu się nadzwyczaj wygodny. Wbrew swemu oczekiwaniu, nim godzina upłynęła, zasnął twardo.

Sen przynosi ze sobą zapomnienie. Nieszczęśliwy przestał cierpieć na kilka godzin.

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie. Umywszy się, ubrał się szybko i zszedł na dół. Gospodyni była już na nogach od godziny i otworzyła sklep, zmiatając wszystkie śmieci do jednego kąta. Świeże ranne powietrze oczyściło nieco duszną atmosferę z poprzedniego dnia. Przynajmniej można było oddychać.

— Pani — rzekł młody człowiek — wynajmuję pokój na dwa tygodnie, oto piętnaście franków.

— Czemu nie bierze go pan od razu na miesiąc?

— Muszę jeszcze poczekać, zobaczymy za dwa albo trzy dni.

— Jak pan sobie życzy. Zresztą to, co panu powiedziałam, leży bardziej w interesie pańskim niż moim. Mogę coś podać dzisiaj rano, zanim pan wyjdzie?

— I owszem.

— Nabrał pan w czasie snu apetytu. Kotlet, wołowina lub cielęcina?

— Zjadłbym tylko mały omlet z dwu jaj, a do tego szklaneczkę wina.

— Zgoda, zaraz panu to przygotuję. Tymczasem... umie pan pisać?

— Tak.

— Jest pan szczęśliwszy od swej najniższej sługi, mój panie; ja nie umiem pisać. Patrz pan, oto rejestr policyjny, musi pan umieścić w nim swoje nazwisko, wiek, stan, sama już nie wiem co jeszcze, trzeba wypełnić wszystkie punkty.

Fryderyk wziął książkę do ręki, ażeby uczynić zadość wymaganiom policji. Podpisał się, jako świeżo przybyły z Tuluzy do Paryża. Chciałby, jak na papierze, wykreślić ten czas pobytu w Paryżu ze swego życia.

Gruba gospodyni podała mu omlet, chleb i butelkę wina. Spożywszy ten lekki posiłek, czuł się zupełnie nasycony. Zapłaciwszy rachunek, wyszedł z domu noclegowego i skierował się na kolej żelazną, prowadzącą do Lyonu. Nie wiedząc, kiedy odchodzą pociągi, rzekł w duchu:

Zaczekam i pojedę pierwszym pociągiem linii Bourbonnais.

W istocie musiał czekać przeszło dwie godziny.

Wreszcie stanął przed kasą i kazał sobie dać bilet trzeciej klasy. Czuł, że powinien oszczędzać. Już w myśli obliczał cały swój majątek; po tej podróży zostawało mu tylko dziesięć franków, a dotychczas jeszcze nie wiedział, w jaki sposób zapewni sobie utrzymanie.

Wysiadł z pociągu na stacji Pouilly. Droga wydawała mu się niezmiernie długa. Na szczęście Bouchot jest oddalone od Pouilly o kwadrans drogi. Idąc, spotkał dwie wieśniaczki, niosące do Pouilly masło i jaja. Miał wielką ochotę zadać im kilka pytań, lecz zdołał się powstrzymać.

— Nie — mówił idąc dalej — dowiem się i tak za chwilę całej prawdy.

Był przekonany, że mała Żanetka nie znajduje się u matki.

Kiedy znalazł się o kilka kroków od domu, kiedy spostrzegł jego białe ściany, oblane strumieniami światła, i drzwi otwarte dla gościa, poczuł gwałtowne bicie serca.,

Wtem jakieś dziecko wybiegło z domu, trzymając w ręku kawałek chleba. Natychmiast otoczyło je ze dwadzieścia kur i kurczątek. Najśmielsze z nich wyskoczyło na ramię maleństwa, które zaczęło kruszyć

chleb różowymi paluszkami. I podczas gdy kury i kurczęta tłoczyły się u nóg dziecka, zbierając okruchy w miarę jak padały, to ostatnie na ramieniu dziobało kawałek chleba, umieszczony umyślnie przed nim.

Była to prawdziwa idylla, śliczny obrazek pasterski.

Fryderyk stał przez chwilę w zachwycie, nie mogąc postąpić kroku naprzód. Nagle rzucił się ku dziecku, wydając okrzyk radości. Pomimo oddalenia, które ich rozdzielało, pomimo że nie widział jej od piętnastu miesięcy, poznał na pierwszy rzut oka swoją Żanetkę. W jednej chwili znalazł się przy niej.

Ptactwo spłoszone uciekało na wszystkie strony, faworyt żywicielki zeskoczył również z ramienia, unosząc w dzióbku resztę chleba.

Zdziwiona i trochę przestraszona tym nagłym napadem nieznajomego, dziewczynka patrzyła na niego pięknymi czarnymi oczyma, gotowa do ucieczki. Lecz Fryderyk uprzedził jej zamiar.

— Żanetko, moje dziecko! — zawołał.

Chwyciwszy ją w ramiona, podniósł ją z ziemi. Przycisnął ją do serca i całował, całował, całował...

Wszak dziecko to było jedyną istotą na ziemi, którą miał prawo przycisnąć do zbolącej piersi, jedyną istotą, która należała do niego.

Dziewczynka wydała zrazu cichy okrzyk, lecz teraz zupełnie uspokojona, z uśmiechniętą buzią i oczkami błyszczącymi jak dwa węgielki, porwała się do całowania.

Jakaś kobieta stanęła na progu domostwa i spostrzegłszy Fryderyka, wydała okrzyk zdziwienia.

— Wszelki duch pana Boga chwali! — zawołała. — Pan tutaj w Bouchot!

Młody człowiek zbliżył się do mamki, trzymając ciągle małą w ramionach.

— Kochana pani — rzekł — poznaję po pani zdziwieniu, że nie spodziewała się pani mego przybycia.

— Skłamałabym, mówiąc przeciwnie — odparła wieśniaczka — w istocie, zdziwienie moje było wielkie, bo sądziłam, że już pana nigdy nie zobaczę.

— Myślała więc pani że umarłem?

— Nie, ale...

— Nie mogła pani przypuszczać, że nie przyjadę odwiedzić mojej małej Żanetki.

— Jeżeli mam panu powiedzieć prawdę, panie Boissier, sądziliśmy, mój mąż i ja, żeście państwo zupełnie zapomnieli o dziecku i zostawili go na łaskę losu.

Fryderyk drgnął i poczuł dreszcz, przebiegający po wszystkich członkach.

— Nie rozumiem, dlaczego pani podobna myśl przyszła do głowy — odparł. — Lecz jeżeli pani pozwoli, porozmawiamy w domu i pani mi wszystko wytłumaczy. Czy mogę wejść?

— Pan żartuje ze mnie, panie Boissier. Proszę, bardzo proszę... Mój mąż jest w winnicy, powróci za godzinę i zjemy obiad. Jeżeli pan jednak chce, mogę podać jedzenie w tej chwili.

— Dziękuję pani, na razie nie potrzebuję niczego. Wieśniaczka podała mu krzesło, na którym usiadł trzymając

dziewczynkę na kolanach. Kiedy mamka powróciła z kuchni, gdzie poszła zaglądnąć do garnków, maleńka już oswojona zupełnie, głaskała brodę ojca.

RS

* * *

Fryderyk zaczął pierwszy:

— Jeżeli zdziwiła się pani przed chwilą, widząc mnie tutaj, to nie ukrywam przed panią, że i ja doznałem miłej niespodzianki.

— Z jakiego powodu?

— Przybywałem tutaj z przeświadczeniem, że nie zastanę u pani mojej córki.

— A to dobre! A gdzieżby się moje drogie maleństwo miało znajdować?

— Sądziłem, że matka ją odebrała.

Kobieta uśmiechnęła się szczególnie i potrząsnęła głową.

— Czy widziała się z córką? — spytał Fryderyk.

— Ani razu.

— Ach! — zawołał — ale przynajmniej pisała. Czy często?

— Otrzymaliśmy od niej dwa listy.

— Tylko dwa?

— Tak jest.

— Kiedy przyszedł ostatni?

— Sześć lub siedem miesięcy temu.

— I od tego czasu nie otrzymaliście żadnych wiadomości od pani Boissier?

— Nie słyszeliśmy więcej o niej.

— Ach! To okropne! — szepnął. Spuścił głowę, pocałował dziecko i milczał chwilę. — Teraz — zaczął — pojmuje dlaczego mogła pani sądzić, żeśmy opuścili dziecko.

— Było to jedyne przypuszczenie, które przychodziło nam na myśl, skoro nie otrzymaliśmy wieści o ojcu i matce. Doszliśmy do przekonania, że jedynymi opiekunami małej jesteście my.

— Pisząc do pani, pani Boissier przysyłała pieniądze?

— Tak jest, za każdym razem to, co się nam należało.

— Listy przychodziły z Paryża?

— Tak mi się zdaje.

— Odpowiedziała pani na nie?

— Na oba listy, nie licząc pięciu czy sześciu innych, na które nie otrzymałam odpowiedzi.

— Gdzie adresowała pani listy?

— Zawsze na ulicę Montholon.

— Dziwiliście się bardzo, że nie odwiedzałem dziecka i nie od-
powiadałem na wasze listy?

— Z początku dziwiliśmy się bardzo.

— A potem?

Wieśniaczka poczerwieniała.

— Dowiedzieliśmy się... — zaczęła z widocznym zakłopotaniem.

— Wtedy zrozumieliście, dlaczego zachowuję milczenie, dlaczego nie
odwiedzam mojej małej Żanetki.

— Dowiedziawszy się o pańskim nieszczęściu, zmartwiliśmy się bardzo.
Co chwilę rozmawialiśmy o panu. Mój mąż utrzymywał, że to niemożliwe,
że był pan ofiarą pomyłki lub złośliwości, gdyż nic nas nie mogło
przekonać, że pod tym wszystkim nie było żadnej intrygi. Nie mówię tego,
aby panu pochlebić, panie Boissier, ale znamy pana dosyć, ja i mój mąż,
aby być pewnymi, że pan jesteś niezdolny do spełnienia złego czynu. Nie
po raz pierwszy ukarano niewinnego, toteż mój mąż zawsze mówił, a ja z
nim razem: dobry pan Boissier został ukarany, ale ktoś inny zawinił.

— Tak, inny — szepnął głucho Fryderyk i złowrogi blask zajaśniał mu
w oczach. — Czy to przez panią Boissier dowiedzieliście się o tym? —
zapytał.

— Nie, nic nam o tym nie powiedziała.

— Więc jakim sposobem?

— Zaraz panu to powiem, panie Boissier, prosząc pana, ażebyś nas
wy tłumaczył, mnie i mego męża. Już będzie temu ze cztery miesiące,
widząc, że nie otrzymujemy listów i że nasze pozostają bez odpowiedzi,
byliśmy bardzo zaniepokojeni, a nawet, przyznam się panu, trochę
niekontenci. Mój mąż pojechałby do Paryża, ale widzi pan, nie jesteśmy
bogaci, taka podróż kosztuje, a kiedy trzeba pracować na życie, wtedy musi
się oglądać za każdym centymem, który już czyni różnicę w tak małym
gospodarstwie. Ktoś z Pouilly poradził memu mężowi, żeby napisać do
komisarza policji; był to jedyny sposób zaspokojenia naszej ciekawości.
Mój mąż napisał i posłał list do pana komisarza policyjnego z ulicy
Montholon. Adres nie był zbyt dokładny. Pomimo tego list doszedł do
miejsca przeznaczenia, bo w cztery czy pięć dni potem otrzymaliśmy
odpowiedź od komisarza policji. W krótkich słowach doniósł nam o
nieszczęściu, jakie pana spotkało. Potem pisał, że pani Boissier
wyprowadziła się z ulicy Montholon, że wyjechała, nie mówiąc, gdzie się
udaje. Jednym słowem, że zniknęła bez śladu. Dodał o sprzedaniu

wszystkich ruchomości. Kończąc list radził nam poczekać jeszcze trochę, jeżeli możemy, następnie, gdyby rodzice zachowywali milczenie, moglibyśmy posłać oświadczenie do burmistrza z Pouilly, ażeby przyjął dziecko do ochronki.

Fryderyk zadrżał. Mamka ciągnęła dalej:

— Lecz nie zrobilibyśmy tego, panie Boissier, chociaż byśmy nie otrzymali wieści ani o panu, ani o pani Boissier.

— Ach! Jesteś pani poczciwą kobietą! — zawołał wzruszony młody człowiek.

— Ona przecież taka grzeczna, taka słodka, taka uprzejma, nasza malutka Żanetka! Gdy ją ktoś tylko zobaczy, kiedy się uśmiechnie i spojrzy tymi pięknymi oczkami, zaraz za nią szaleje! Tak jest, wszyscy ją ubóstwiają. Wszyscy ją lubią, nawet kury, prawda, że te ostatnie trochę przez łakomstwo, bo im kruszy codziennie po kawałku chleba. Widzi pan, panie Boissier, pańskie dziecko to prawdziwy boski aniołek! Och! Ten drogi skarb! Kocham ją zarówno, a może nawet więcej, niż jej siostrę mleczną, którą na nieszczęście straciliśmy, jak pan wie o tym. To prawdopodobnie z tego powodu przywiązałam się tak do pańskiej Żanetki; zdaje mi się zawsze, że to moja córka, że Ninetka nie umarła. Och! Nie, nie oddałabym jej nigdy do ochronki. Mamy troje dzieci, z których dwoje zaczyna już pracować, w każdym razie mój mąż ma pięć żołądków do nakarmienia, ale to nic nie szkodzi, zmniejszając każdy kawałek chleba, utworzymy szósty.

Młody człowiek chwycił rękę wieśniaczki i uścisnął ją serdecznie. Wielkie łzy błyszczały mu w oczach.

— A zresztą — ciągnęła dalej mamka — aż dotychczas Żanetka nie była dla nas ciężarem, przeciwnie. Często z jej powodu otrzymywaliśmy podarunki.

— Pomimo tego winien pani jestem za sześć czy siedem miesięcy karmienia. Dziś pani nic nie mogę dać, bo nie przybyłem tutaj w celu zapłacenia pani, lecz może pani liczyć na mnie, nic przez to nie straci. Powróciwszy do Paryża, zacznę pracować. Dla mojej córki muszę zarabiać wiele pieniędzy; będę szukał sposobu do tego i znajdę go, muszę go znaleźć.

— Co do tego, panie Boissier, masz pan słuszność. Lecz nie trzeba wbijać sobie ćwieka w głowę, co do zapłaty za miesiące karmienia. Mój mąż i ja nie żądamy od pana niczego.

— Winienem wam i muszę to zapłacić — odparł żywo Fryderyk.

— Zaręczam panu, panie Boissier, że nie należy nam się nic od pana.

— Ależ, pani...

— Proszę mnie posłuchać, panie Boissier, zaraz mnie pan zrozumie. Powiedziałam panu przed chwilą, że dawano nam podarunki z powodu dziecka, a więc gdybym policzyła wszystko razem, co darowano dziecku od pięciu miesięcy w bieliźnie, cukrze, kawie, owocach, a nawet w pieniądzach, to przekroczyłoby z pewnością cenę jednego roku karmienia.

Mgła zasłoniła oczy Fryderyka i poczuł gwałtowny zawrót głowy. Przyszło mu do głowy, że podarunki robione dziecku, pochodziły od Karola Dumeya. Wreszcie zdołał opanować wzruszenie.

— Któż daje te wszystkie rzeczy mojej małej Żanetce? — zapytał po chwili wahania.

— Bardzo bogata dama.

— Ach! Więc to kobieta?

— Tak.

— Zna ją pani?

— Ma się rozumieć.

— Przychodzi tutaj?

— Często, prawie co tygodnia.

— Więc ona z okolicy?

— Mniej więcej; mieszka o dwie mile stąd, w zamku Roure. Lecz aby przyjechać stamtąd do Bouchot, gdy się posiada piękny powóz, to tylko mały spacer.

— Jak się ta pani nazywa?

— Pani de Mesie.

— Dlaczego przyjeżdża do Bouchot tak często?

— Aby zobaczyć małą.

— Umyślnie?

— Pewnie że umyślnie. Często bawi u nas całą godzinę, trzymając dziecko na kolanach i całując ją ciągle podczas rozmowy. Kocha maleńką do szaleństwa.

— To dziwne.

— Dlaczego? To całkiem naturalne. Mała pokochała również panią de Mesie; kiedy tylko ją spostrzeże wychodzącą z powozu, biegnie do niej, aby się rzucić w jej objęcia. Nazywa ją mamą. Zaręczam panu, że sprawia to wielką przyjemność pani de Mesie.

— Ta pani już od pięciu miesięcy odwiedza Żanetkę?

— Mniej więcej.

— Jakim sposobem dowiedziała się o istnieniu dziecka?

— Miły Boże! Jak to się zdarza prawie zawsze, przypadek wszystko zrządził.

— Przypadek?

— Tak jest. Opowiem panu wszystko szczegółowo. Przede wszystkim muszę panu oznajmić, że pani de Mesie jest bardzo dobra, hojna i wyświadcza wiele dobrego ubogim. To pięknie, widzi pan, panie Boissier, wspierać innych, kiedy się może, to znaczy kiedy się posiada majątek. Tak więc pani de Mesie przyjechała pewnego dnia do Bouchot, ażeby odwiedzić chorą staruszkę, która nie miała już długiego życia przed sobą. Ponieważ nieszczęśliwej zbywało na wszystkim, nie potrzebuję panu dodawać, że dzięki pani de Mesie nie cierpiała głodu i niedostatku. Tego dnia towarzyszył pani de Mesie jej mąż, człowiek również bardzo miłosierny. Zostawili powóz przed wioską. Wracając od chorej, przechodzili przed naszym domem. Właśnie maleńka karmiła chlebem ptaki. Ja stałam na progu domu. Widziałam już wtedy drugi czy trzeci raz państwa de Mesie. Ukłonili mi się oboje i zatrzymali się, ażeby przyjrzeć się dziecku. „Och! Co za cudowny aniołek!” — zawołała pani de Mesie. Równocześnie wysunęła rękę spod ramienia męża i pobiegła do małej. Chwyciła ją w ramiona i zaczęła całować. Mała nie broniła się, nie przestraszyła się wcale; owszem, uśmiechała się, nadstawiając różowe policzki pięknej damie. Państwo de Mesie weszli do nas, a ponieważ nie są wcale dumni, usiedli. „To piękne dziecko, to pani?” — pani de Mesie pierwsza spytała. „Nie, pani — odpowiedziałam — to dziecko z Paryża, które dano mi do wykarmienia, moje umarło przed czterema miesiącami.” Pocałowała jeszcze raz Żanetkę, ciągle patrząc się na nią, pożerając ją niemal oczyma. „To dziewczynka, nieprawdaż?” — zwróciła się do mnie z zapytaniem. „Tak, pani, dziewczynka.” — Spojrzała na męża. „Och! Dziewczynka!” — odezwała się szczególnym głosem. Następnie, przypatrując się uważnie dziecku: „Co za oczy! — mówiła — co za usta, twarzyczka prześliczna, jaka ona cała milutka.” Pan de Mesie uśmiechał się dobrotliwie. Westchnęła i zapytała mnie: „Jak jej na imię?” — „Żaneta” — odparłam. „Jak ja! — zawołała. — Nazywam się także Żaneta!” — Po czym rzekła, patrząc na swego męża: „Rodzice tej ślicznej dziewczynki są bardzo szczęśliwi.” — Wtedy zadała

mi kilka pytań, odnoszących się do pana i do pani Boissier. Byłam zakłopotana.

Fryderyk spuścił głowę.

— Powiedziała jej pani, że znajduję się w więzieniu? — zapytał.

— Nie znaleźliśmy wtedy jeszcze pańskiego nieszczęścia.

— To prawda, ale potem, powiedziała jej pani...

— Nie, panie Boissier, ukryliśmy to przed panią de Mesie.

Dobrze pani zrobiła, dziękuję.

— Są rzeczy smutne, których nie powinno się wyjawiać.

— Lecz wreszcie cóż pani odpowiedziała?

— Nie mogłam ukryć przed nią, że jesteśmy zaniepokojeni, nie otrzymując od dłuższego czasu wiadomości od państwa, że na nasze listy na próżno czekaliśmy odpowiedzi.

— Niech pani nie mówi prawdy, może jej pani powiedzieć, że wskutek strat majątkowych musieliśmy nagle wyjechać za granicę.

— Postaram się skłamać jak najlepiej — odparła kobieta z uśmiechem.

— Pozostawię u pani dziecko prawdopodobnie jeszcze przez dwa lub trzy lata — rzekł Fryderyk — lecz muszę dać pani ważne zlecenie.

— Mów pan, panie Boissier.

— Trzeba będzie jej pilnować.

— Och! Może pan być pewny.

— Słuchaj pani, zdaje mi się, że matka przyjedzie ją odwiedzić. Gdyby to się stało, proszę jej nie dawać Żanetki ani na chwilę. Słusznie czy niesłusznie, obawiam się, że pani Boissier zechce kiedyś odebrać swą córkę.

— Z chwilą, kiedy pan mnie o tym uprzedził, panie Boissier, może być pan spokojny.

* * *

Przyjęcie, jakiego Fryderyk doznał od męża mamki, było również bardzo serdeczne.

Oboje zaczęli wypytywać się go o Emelinę, lecz on położył koniec tym pytaniom, mówiąc im, że nie ma żadnych wiadomości od żony, która udała się za rodzicami do Algieru.

Spędził resztę dnia w Bouchot. Wieczorem, po wieczerzy, pocałował po raz ostatni małą Żanetkę, którą mamka rozbierała do snu, wyjechał w towarzystwie wieśniaka pragnącego koniecznie odprowadzić go do stacji. W Paryżu znalazł się koło północy.

Tych kilka godzin spędzonych przy boku córki, dodało mu sił i otuchy. Bezwzględny spokój nie panował jeszcze w jego sercu, lecz nie było tam już rozpacz i zdawało mu się, że słodkie pieszczoty dziecka wróciły mu dawną odwagę. Te odwiedziny w Bouchot miały być dla niego na zawsze pamiątką.

Ta noc nie była podobna do poprzedniej. Na próżno zamykał oczy, nie mógł zasnąć. Za dużo różnych myśli tłoczyło mu się do głowy.

Nieszczęśliwy nie miał żadnych złudzeń co do swego położenia: było ono godne pożałowania. Jakim sposobem wydostać się z niego? Długo szukał jakiegoś zbawionego środka, nie mogąc go znaleźć. Nadaremnie przywołał na pomoc cały zasób swego rozumu i wyobraźni, tej wyobraźni, tak niegdyś bujnej; jego zaciemnionego umysłu nie rozjaśniało żadne światło.

— Muszę przecież pracować, muszę coś robić — powtarzał gorzko. — Gdybym był sam na świecie, mógłbym zdechnąć z nędzy jak pies bez pana, lub ażeby prędzej skończyć to życie, rzucić się w nurty Sekwany z mostu, jak to czyni tylu innych nędzarzy, lecz ja mam córkę, moją najukochańszą Żanetkę, a dla niej, dla niej jedynie, powinienem żyć i pracować! Ona rośnie, wkrótce będę musiał odebrać ją od mamki; wtedy trzeba będzie oddać ją na pensję, sprawiwszy jej wprzód małą wyprawkę. Nie mogę przecież pozwolić, aby moja Żanetka była nieszczęśliwa. Będzie piękna jak... Nie, nie chcę myśleć o tej nędzniczce, potworze, odejdz! Tak, Żanetka będzie piękna; już dziś jest dobra i kochająca. Ach! Ona będzie miała serce! Lecz to jeszcze nie dosyć, musi być wykształcona, rozumna, uczciwa! Chcę, aby posiadała jedyny skarb, który można dać biednej dziewczynie. Posag! O tym nie mogę nie myśleć. — Wtedy nagabywały go smutne

myśli, bo ciągnął dalej: — Co za ciężki łańcuch uciska me barki, kępując ręce i zginając całe ciało! Czuję na sobie piętno galernika! I do ostatniej chwili mego życia będę je musiał wlec ze sobą.

Przyszli mu na myśl liczni klienci, których zdobył, pracując z takim trudem i z taką wytrwałością. Zapewne mógł rozpocząć znowu roznoszenie wina u innego handlarza, bo za nic w świecie nie wróciłby do dawnego domu. Lecz kupcy znają się wszyscy pomiędzy sobą; gdyby tylko wypowiedział swoje nazwisko, odepchnięto by go z pogardą, ze wstrętem. Nawet gdyby przyjęto jego usługi, komu miał się polecić? Najczęściej spośród znajomych i ich przyjaciół można sobie w krótkim czasie pozyskać klientelę.

— Nie — rzekł wreszcie — to rzemiosło zamknięte dla mnie na zawsze.

Co do miejsca profesora muzyki w pensjonacie, miał za delikatne uczucia, aby myśleć o tym. Sprawiedliwość dosięgnęła go swym ramieniem, odebrał zasłużoną karę, czuł się niegodny.

Zima nadchodziła; wkrótce miały się otworzyć salony paryskie. Lecz chcąc dawać wieczory, to jest akompaniować na fortepianie lub grywać do tańca, musiał udać się do swych dawnych towarzyszy. Czy mógł to uczynić? Niestety! Czuł, że brakłoby mu odwagi prosić ich o jakąkolwiek przysługę.

A więc znajdował się w położeniu bez wyjścia. W którą bądź stronę zwróciłby się, widział przed sobą ciemną bramę.

A jednak pragnął pracy i posiadał do niej siły. To jednak nie wystarczało!

Przed oczami stawała mu postać córki. Wtedy przymknawszy oczy płakał...

Zmęczony bezsenną nocą, nie wiedząc zresztą ani gdzie iść, ani co robić, pozostał w łóżku do godziny ósmej. Ubrawszy się, zszedł na dół do wspólnej sali.

— Dzisiaj wróciłeś pan późno w nocy — rzekła mu gospodyni — było około pierwszej.

— To prawda. Wczoraj odwiedziłem jedną osobę mieszkającą dosyć daleko od Paryża — odpowiedział.

— Dobrze się panu spało?

— Bardzo dobrze.

Kazał sobie podać porcję ryżu z mlekiem, którą zjadł z chlebem, za jednego sou.

Gruba gospodyni, zajęta gotowaniem rosółu, nie zwracała nań więcej uwagi. W tej chwili był sam jeden w sali.

Nagle drzwi się otworzyły i do sali wszedł jakiś chudy, wynędzniały człowiek, wyglądający na trzydzieści pięć do czterdziestu lat. Dwoje bladych i mizernych dzieci szło przy nim: chłopczyk w wieku siedmiu lub ośmiu lat i dziewczynka nieco starsza. Człowiek, prawdopodobnie ojciec obojga dzieci, był dotknięty tą straszliwą nerwową chorobą, nazwaną tańcem św. Wita, która czyniła go niezdolnym do jakiegokolwiek pracy.

Ojciec i dzieci byli okryci łachmanami, pokrytymi błotem i tłustymi plamami. Malcy mieli spojrzenia biednych istot, wystraszone i ogłupiałe, spojrzenia ludzi, których zewsząd wypędzają. We troje przedstawiali obraz najstraszliwszej nędzy i boleści.

Fryderyk przypatrywał im się ze smutkiem.

— Oto czym ja jestem — myślał. — A kto wie, może ten nieszczęśliwy jest mniej godny litości ode mnie?

Gospodyni znała widocznie nieznajomego i dzieci, gdyż zanim pierwszy mógł zwrócić się do niej z żądaniem, rzekła:

— Usiądźcie, zaraz wam usłużę.

Zdjęła z półki trzy porcje, ryżu z mlekiem i podała im na stół.

Podczas gdy dzieci zasiadały za stołem, stojącym obok krzesła Fryderyka, nieznajomy wyciągnął spod długiej bluzy stare skrzypce, do których smyczek był przywiązany wypłowiałą wstążką.

Płomień zabłysnął w oczach Fryderyka. Na widok skrzypiec artysta ożywił się, wychodząc z dotychczasowego uśpienia.

— Jest pan muzykantem? — spytał nieznajomego. Ten skinął głową.

— Jestem lichym partaczem — odparł. — Już od sześciu lat jestem chory i niezdolny do pracy, ażeby zarobić na życie moje i moich dzieci. Bylibyśmy dawno umarli z głodu, gdybym sobie nie przypomniał, że dawniej, dwadzieścia lat temu, byłem muzykantem na wsi. Wtedy to były dobre czasy, grywałem do tańca dziewczętom i chłopcom co niedzielę, w święta i na weselach. Ten oto instrument, dawniej służący dla przyjemności, dziś jest jedynym moim środkiem zarobkowania. Dziś słyszy on tyle skarg, ile dawniej okrzyków radości. Dobrze zrobiłem, że go nie sprzedawałem. Była to pamiątka. Kiedy trzeba było prosić litościwe serca o jałmużnę, zdjąłem te skrzypce, pokryte kurzem i nitkami pajęczymi, z gwoźdźca, na którym je dawniej powiesiłem. I wychodzimy rano we czworo, bo i one należą przecież do naszej rodziny. Codziennie jemy tutaj

śniadanie, potem udajemy się do Paryża i idziemy grać od domu do domu. Litują się wszyscy nad nami, rzucają po jednym lub po dwa sou i w ten sposób, zbierając codziennie po czterdzieści lub pięćdziesiąt sou, żyjemy jak możemy. Uczę piosenek moich pędraków, śpiewają je lepiej lub gorzej, a ja towarzyszę im grą na skrzypcach. Gdy nie można już inaczej, lepiej uprawiać rzemiosło żebraka niż złodzieja. Fryderyk zadrżał.

— Zna się pan na muzyce? — zapytał nieznajomego po chwili milczenia.

— Nie, nigdy w życiu nie grałem z nut, uczyłem się kilkunastu arii z pamięci i posiadam trochę rutyny. Gram na skrzypcach, nie znając muzyki, jak niejeden mówi, nie umiając ani czytać, ani pisać.

Fryderyk zwrócił spojrzenie na instrument.

— Pozwoli pan zagrać na tych skrzypcach? — zapytał.

— Och! I owszem; nie mam obawy, aby mi je pan popsuł. Fryderyk wziął skrzypce, odwiązał wstążkę, po czym dotknąwszy

lekko każdej struny z osobna, nastroił instrument. Nagle wyprostował się, odrzuciwszy w tył swą piękną głowę. Oczy jego błysnęły, twarz się rozjaśniła. Zdawało się, że w jednej chwili zmienił się w innego człowieka.

I nagle stare skrzypce ożywiły się i zaczęły wydawać cudowne dźwięki, a Fryderyk Boissier, ten sam, który czarował publiczność w Tuluzie, natchniony artysta, skrzypek pierwszej miary, wykonał z całą siłą swego uczucia świetną improwizowaną fantazję na temat głównych motywów „La Reine de Chypre”.

Nieznajomy powstał. Drżąc od stóp do głowy, patrzył na Fryderyka i słuchał w zachwycie. Dzieci przestały jeść; siedziały nieruchomo, z otwartymi ustami i rozszerzonymi źrenicami. Gospodyni odeszła od pieca. Stojąc za artystą, słuchała, oparłszy ręce na biodrach, nie czując, że łyzi ciekłą jej wzdłuż policzków.

— Och! Jakież to piękne! — wykrzyknęła. Dzieci klaskały w ręce.

Nieznajomy nic nie mówił, tylko stał i słuchał...

— I to te skrzypce, to ladaco, tak pięknie śpiewają! — zaczęła gospodyni zachwycona — Ach! Patrzcież państwo, to sprawia jakieś dziwne wrażenie. Wszystko trzęsie się we mnie... Moja twarz jest mokra. Ależ naprawdę, ja płaczę, w istocie płaczę! — otarłszy twarz z łez, powtórzyła: — O, jakie to piękne! Jakże to piękne!

Fryderyk odłożył skrzypce. Wtedy żebrak odzyskał mowę.

— Panie — rzekł naiwnie — pan gra lepiej ode mnie. Uśmiech zarazem słodki i smutny przemknął po ustach artysty.

— Pan jest muzykiem — ciągnął dalej nieznajomy — to, co przed chwilą słyszałem, to nie rutyna. Ten, kto nauczył mnie grać na skrzypcach, Ojciec Hollier, jak go nazywają, bo żyje jeszcze, uchodził za bardzo uczzonego, ale nie dlatego, abym panu chciał pochlebić, pan gra jeszcze lepiej od niego, o, tak, daleko lepiej od niego! Pan zna muzykę, to się widzi. Do diabła! Jak pańskie palce latają! Jakie uderzenie smyczkiem! Co za święto dla moich biednych skrzypiec! Będą się mogły teraz pochwalić, że raz w życiu grał na nich prawdziwy artysta! — Po chwili milczenia dodał: — Widzi pan, gdybym umiał grać jak pan, miałbym gotowy majątek!

Fryderyk kiwnął smutnie głową.

— Tak — ciągnął dalej człowiek — zrobiłbym majątek. Jestem pewny, że zarabiałbym codziennie piętnaście do dwudziestu franków.

Artysta zadrżał.

— Jakim sposobem? — zapytał ciekawie.

— Jakim? Tym, którego teraz używam. Nie, nie zmieniałbym rzemiosła. Jestem żebrakiem i zostałem nim aż do dnia, w którym posiadałbym dosyć majątku, aby żyć z kapitału. Tylko widzi pan, nie chodziłbym już grywać w ubogie dzielnice; robotnicy mało dają, bo więcej nie mogą. Ja poszedłbym do wielkich dzielnic, w których mieszkają bogaci ludzie, których stać na to, żeby rzucić dziesięć lub nawet dwadzieścia sou. Kiedy srebrna moneta spada, wtedy, rozumie pan, plon jest obfity.

— Rozumiem — szepnął Fryderyk.

Oparłszy głowę na rękę, zatopił się całkiem w myślach.

W chwilę potem żebrak wręczył gospodyni dwanaście sou za śniadanie i wyszedł z sali pożegnawszy Fryderyka. Ten nie odpowiedział mu, bo nie usłyszał pozdrowienia.

Ilekróć gospodyni przechodziła koło niego, przypatrywała mu się ciekawie. W każdym razie — mówiła w duchu — mam dziwnego lokatora!

* * *

Fryderyk wstał i zwrócił się powoli ku drzwiom. Młody człowiek zyskał już życzliwość grubej gospodyni.

— Wychodzi pan? — spytała.

— Tak, wychodzę.

— Do Paryża?

— Tak jest.

— Wygląda pan bardzo smutnie — rzekła z prawdziwym współczuciem.

— W istocie, nie jestem wesoły.

— Więc jest pan nieszczęśliwy?

— Bardzo.

— Czy nie można by pana pocieszyć? No, cóż pana gnębi? Spojrzał na nią, potrzęsając głową.

— Z tego, co mnie gnębi — odparł boleśnie — nie mogę się nikomu zwierzyć. — Otworzył drzwi i wyszedł ze spuszczoną głową.

Gospodyni zbliżyła się do okna i ściagała go jakiś czas oczyma; po czym, uderzywszy się w piersi, szepnęła:

— Tu go coś gryzie.

Fryderyk zmierzał wolno ku zewnętrznym bulwarom.

— Grać na skrzypcach w podwórzach kamienic, żebrać! — mówił w duchu. — Och! Ja mam to zrobić, ja! Nędzo, nędzo! Czym się stałem? Żebrakiem, żebrakiem? — Przesunął gwałtownie ręką po czole. — Muszę nim zostać — odezwał się głucho — muszę, bo cóż innego pocznę? — Coś jakby łkanie rozrywało mu piersi. — O matko! Matko! — jęknął — gdybyś jeszcze żyła, jakże byś cierpiała.

Powziął stanowcze postanowienie. Miał wejść w to nędzne i nieznane życie, które przed dwudziestoma laty nazywano życiem cygańskim.

Potrzebował skrzypiec. Z dwunastoma frankami w kieszeni nie mógł marzyć o kupieniu skrzypiec w porządnym magazynie. Liczył jedynie na szczęśliwą sposobność, ażeby nabyć instrument podobny do tego, na którym grał przed godziną.

W Paryżu znajduje się łatwo to, czego się wytrwale szuka.

Przybywszy na bulwary, młody człowiek zaczął się przypatrywać wszystkim wystawom sklepowym. Po półgodzinnym szukaniu zatrzymał się przed jedną, gdzie za szkłem spostrzegł kilka starych skrzypiec, dwa

stare klarnety, pięć czy sześć fletów, basy, trąbę i stary róg myśliwski, pokryty rdzą.

Przypatrzywszy się bacznie skrzypcom, szczególnie jednym z nich, które mu od razu wpadły w oko, wszedł do sklepu. Właściciel magazynu zbliżył się do niego z pośpiechem.

— Panie — rzekł mu Fryderyk — rad bym oglądać skrzypce znajdujące się na pańskiej wystawie.

Tandeciarz wszedł na krzesło i odczepiał skrzypce jedne po drugich, podając je młodemu człowiekowi, który próbował strun wskazującym palcem. Nie pomylił się, tylko jedne z nich miały pewną wartość, te które wybrał, nie dotknąwszy ich jeszcze.

Tandeciarz wygłaszał tymczasem stereotypowe pochwały swoich towarów.

— Pan jest znawcą — mówił — musiał pan poznać, że te skrzypce są znakomite. Jestem pewny, że lepszych nie znalazłbyś pan nawet w fabryce paryskiej.

Według niego, jedne pochodziły z najlepszej fabryki z Mirecourt, drugie z Włoch — z Kremony. Trzecie należały dawniej do sławnego Paganiniego; nie śmiał jednak utrzymywać tego na pewno, twierdząc jedynie, że tak mu mówiono, gdy kupował instrument. Czwarte wreszcie nabył od wdowy po pierwszym skrzypku orkiestry Wielkiej Opery.

Fryderyk nie przerywał mówiącemu. Dopiero gdy ten skończył zachwalać skrzypce, młody człowiek zapytał:

— Ile pan żąda za te?

— Te pan wybiera?

— Tak jest.

— Ach! Widzę dobrze, że jest pan znawcą; to skrzypce wielkiego, sławnego Paganiniego.

— Za ile pan mi je sprzeda?

— To najlepsze ze wszystkich, mój panie.

— Pan mi nie odpowiada. Tandeciarz przymrużył oczy.

— Widzę po pańskim wyglądzie, że jest pan artystą — rzekł — dlatego też nie chcę zarobić na panu i sprzedam panu te skrzypce za dwadzieścia franków; na honor Chaponarda, tandeciarza z ojca na syna, za tę cenę nabyłem je od panny Rachel, wielkiej tragiczki. Nic nie mówiąc, Fryderyk położył skrzypce przy innych.

— Więc? — odezwał się kupiec, nieco zaniepokojony.

— Do widzenia — odparł Fryderyk, zmierzając ku drzwiom.

— Jak to! Pan odchodzi?

— Jak pan widzi.

— Nie kupuje pan?

— Nie kupuję.

— Ależ to skrzypce Paganiniego...

— Paganiniego czy nie, chce je pan sprzedać za cenę, której panu nie mogę ofiarować.

Otworzył drzwi, lecz kupiec chwycił go za rękaw.

— Przecież to nie powód, abys pan tak prędko uciekał, nie jestem tygrysem, diabłem, możemy się jeszcze porozumieć.

Fryderyk potrząsnął głową.

— Nie znajdzie pan nigdzie takiej sposobności — ciągnął dalej tancerz — rozumie pan przecież, sławny Paganini! Jest pan za dobrym znawcą, aby nie widzieć, że to instrument, jakiego panu potrzeba. Więc ta cena jest dla pana zbyt wygórowana?

— Tak jest.

— W takim razie ile pan za nie da?

— Nie warto nawet o tym mówić.

— Muszę przecież wiedzieć...

— Powtarzam panu, że nie warto.

— W takim razie nie chce pan kupować.

— Potrzeba mi koniecznie skrzypiec, panie.

— Gra pan na nich dobrze?

— Jak umiem.

— Czemu pan tych nie spróbuje? Może by to skłoniło pana do kupienia.

— Trudno próbować — odparł Fryderyk — bo tylko na czwartej strunie można by jeszcze zagrać.

— Zaraz założę inne, proszę pana, to drobnostka; mam tam w pudełku zbiór strun pierwszej miary, sprzedam je panu ze skrzypcami. Widzi pan, mój panie, jak kto jest kupcem, to musi sprzedawać, wszystko sprzedawać, a za towary brać pieniądze; handel polega na wymianie. — Mówiąc tak, otworzył szafę, z której wyjął małe owalne pudełko z kartonu. — Oto, proszę pana — ciągnął dalej — te struny, jeżeli pan zechce założyć je do skrzypiec.

— I owszem — odparł Fryderyk.

Za chwilę skrzypce posiadały wszystkie struny. Artysta nastroił je powoli.

— Teraz można by już zagrać — rzekł. Podał skrzypce tandeciarzowi.

— Nie umiem grać — odparł.

— Oddaję je tylko panu.

— Więc nie chce pan spróbować?

— A na cóż? Nie mogąc ich kupić, może bym później żałował.

— Spróbuj pan w każdym razie.

— Zależy panu na tym?

— Tak jest.

Wtedy Fryderyk zagrał z pamięci jakiś koncertowy kawałek. Kiedy skończył, tandeciarz stanął naprzeciw niego, patrząc mu pilnie w oczy.

— Na honor, panie — rzekł — jestem zadowolony, że pana słyszałem, zdaje się, że pan wie lepiej ode mnie co to za skrzypce. Gdyby te nie były warte nawet czterech sou, pan potrafiłby nadać im wielką wartość. Wygląda pan na poczciwego chłopca — ciągnął dalej — i mówię panu szczerze, podoba mi się pan bardzo. Nie jest pan bogaty, prawda?

Fryderyk potwierdził skinieniem głowy.

— Więc jest pan ubogim artystą?

— Bardzo ubogim.

— Gdyby pan był bogaty, ile by mi pan zapłacił?

— Tyle, ile pan zażądał.

— Więc dla pana przedstawiają one wartość dwudziestu franków?

— Tak jest.

— Na nieszczęście, zamiast być bogatym, jest pan biedny. No, ile może mi pan zapłacić?

— Dziesięć franków.

— A ile panu zostanie?

— Dwa franki.

— Na obiad?

— Ażeby żyć może przez cały tydzień, zanim zacznę zarabiać — smutnie odpowiedział młody człowiek.

— Ach! — zawołał kupiec. Chwilę milczał, drapiąc się za uchem. — A więc — zaczął — nie żądam już od pana dwudziestu franków, ani nawet tych dziesięciu, które mi pan ofiarowujesz. Ma pan dwanaście franków, daj mi połowę i bierz skrzypce z życzeniami, aby ci się jak najlepiej powodziło.

— Naprawdę? — wymówił z trudnością Fryderyk, nie przygotowany na taką niespodziankę — pan chciałbyś...

— Tak jest, sprzedaję je panu za sześć franków; oto jaki ja jestem, ja... Tylko proszę pana, bądź łaskaw przysyłać mi swoich kolegów. Jak pan widzi, mam jeszcze kilka instrumentów muzycznych do sprzedania.

Fryderyk, czerwony jak rak, położył na stole sześć franków, wziął skrzypce pod pachę i podał tandeciarzowi rękę.

— Dziękuję — odezwał się wzruszony — będę pamiętał przez całe życie o tym, co pan dla mnie zrobił.

Tamten odparł:

— Sprawilo mi to prawdziwą przyjemność, że mogłem wyświadczyć panu tę przysługę.

Kiedy Fryderyk był już za drzwiami sklepu, tandeciarz zawołał:

— Czekaj, czekaj pan, zapomniałeś pan strun! Czyż nie należą się one panu wraz ze skrzypcami?

— Bynajmniej — odpowiedział młody człowiek, chcąc się oddalić.

— W takim razie, panie, to pomyłka.

— Ale...

— Nie ma o czym mówić. Daję je panu. — I łącząc czyn ze słowami, wcisnął owalne pudełko do kieszeni płaszcza artysty.

Ten ostatni oddalił się szybko wielkimi krokami, przyciskając skrzypce do piersi. Widząc go tak umykającego, można było sądzić, że przed chwilą skradł instrument; a może obawiał się, że tandeciarz rozmyśliwszy się, odbierze mu skrzypce, oddając sześć franków.

Płonne obawy! Kupiec stał na progu swego sklepu, patrząc długo za odchodzącym artystą, i mruczał pod nosem:

— Skrzypce Paganiniego!

* * *

Nazajutrz, jak dnia poprzedniego, Fryderyk zjadł śniadanie złożone z ryżu i chleba. Następnie wrócił do swego pokoju. Skrzypce znajdowały się tam, gdzie je położył, na małym, okrągłym stoliku. Fryderyk zatrzymał się przed nimi. Przez długą chwilę stał nieruchomo, wlepiając wzrok w instrument.

— Odwagi! — szepnął wreszcie — już za późno na rozmyślanie. — Wziął w rękę skrzypce wraz ze smyczkiem, wsuniętym pod struny, i ciągnął dalej z bolesnym uśmiechem: — Mój kolega żebrak powiedział: „W bogate dzielnice, w których mieszkają ludzie zamożni!”

Otworzył i zamknął drzwi bez szelestu, jakby w obawie, aby go ktoś nie spostrzegł wychodzącego i zszedł powoli po schodach, krokiem wilka, ukrywając skrzypce pod płaszczem.

Zanim postawił nogę na chodniku, zatrzymał się i rzucił wzrokiem na ulicę, na prawo i na lewo. Ujrzał kobiety, spieszące na zakupy i robotników udających się do roboty.

Nagle brakło mu sił i nie mając śmiałości wyjść na ulicę, cofnął się w głąb sieni. Nieszczęśliwego ogarnęła obawa przed spotkaniem ze znajomymi osobami. Zdawało mu się, że każda z nich, ujrawszy go ze skrzypcami w ręku, pozna natychmiast, że idzie żebrać. Nabrał przekonania, że gdyby skrzypce znajdowały się w futerale lub były czymkolwiek owinięte, dodałoby mu to śmiałości.

Wrócił po schodach na górę, jak poprzednio, bez najmniejszego hałasu. Położywszy skrzypce na stoliku, osunął się bezwładnie na krzesło, jedyne, które posiadał w pokoju.

— Boję się, jestem podły! — szepnął głucho.

Wielkie łzy błysnęły mu w oczach i stoczyły się z wolna po policzkach. Usprawiedliwiał się sam przed sobą z tego braku odwagi, twierdząc, że wyszedłby z pewnością, gdyby skrzypce były zamknięte w futerale.

Pomimo tego nie pomyślał o kupieniu futerału. Po pierwsze wydatek taki był dla niego za kosztowny, po wtóre zaś rozumiał dobrze, że futerał zawadzałby mu jedynie. Lecz zamiast niego potrzebował koniecznie okrycia dla swych skrzypiec.

W ciągu dnia kupił w magazynie zielone sukno, nici, igły i kawałek plecionki. Wróciwszy do siebie, sporządził sam futerał podobny nieco do prostego worka, lecz otwierający się i zamykający bardzo wygodnie.

— Jutro rozpocznę — pomyślał wsunawszy skrzypce do futerału.

Zresztą w kieszeni posiadał jeszcze tylko kilka sou; nie chcąc umrzeć z głodu, musiał się wreszcie zdecydować.

Nazajutrz rano w istocie wyszedł o godzinie ósmej. Dotarłszy do zewnętrznych bulwarów, szedł nimi aż do placu Blanche. Tu przystanął. Miał przed sobą trzy ulice: Fontaine, Blanche i Bruxelles. Coś go pchnęło ku tej ostatniej. Wchodził w jedną z tych wielkich dzielnic Paryża, w których mieszkają ludzie bogaci.

Teraz szedł powoli, ze spuszczoną głową, garbiąc się umyślnie i przyciskając się do muru. Niekiedy zatrzymywał się, ażeby rzucić wokół siebie szybkie spojrzenie.

Był bardzo blady. Czarna broda, której od wyjścia z więzienia jeszcze nie strzygł, zwiększała bladość jego twarzy. Miał wygląd nieszczęśliwego, gotującego się do popełnienia zbrodni.

Z każdej strony ulicy widział piękne wielkie domy pięcio- lub sześciopiętrowe, z szerokimi bramami wjazdowymi, prawie bez wyjątku otwartymi, lub wspaniałymi sieniami, na końcu których spostrzegał wewnętrzny podwórzec każdego domu. Patrzył się i przechodził, nie śmiejąc wejść do środka. Zawsze coś stało na przeszkodzie: raz jakaś osoba w sieni, drugi raz ktoś wychodzący z domu, to znowu szczekanie psa, krzyk dziecka, kupiec na progu swego sklepu lub stróżka, przed którą trzeba było przechodzić.

Wreszcie na ulicy Clichy przywołał na pomoc całą swoją odwagę i tym razem z niezłomnym postanowieniem w duszy wsunął się w bramę jakiegoś wielkiego domu i dostał się na dziedziniec, którego brama była również otwarta.

Nikt nie stanął mu na drodze; lecz nawet wtedy nie cofnąłby się, nie zmuszono by go do odwrotu, trzeba by było go wypędzić, a może nawet zagrozić policją.

W niektórych chwilach nieśmiali i wstydliwi stają się zuchwałymi. Odwaga wśród przestרחu uczyniła wielu z nich bohaterami.

Pomimo tego serce Fryderyka biło bardzo mocno. Z trudnością oddychał. Pot strumieniami spływał mu z czoła.

Wreszcie otworzył futerał i wyjął z niego skrzypce. Był bardzo wzruszony i drżał jak w febrze. Zrazu pociągnął niepewnie kilka razy smyczkiem, lecz nagle, przewyciężywszy wzruszenie, opanował zupełnie instrument. Wtedy pod palcami artysty skrzypce ożywiły się i zaczęły

wydawać cudowne dźwięki. Wznosiły się one zrazu miękkie i słodkie, podobne do pieszczotliwego i błagalnego głosu dziecięcia; następnie powoli nabierały stanowczości i siły. Był to bez przerwy ten sam melodyjny głos, lecz zmieniający się co chwila i przybierający nowe, coraz bogatsze dźwięki.

Westchnienia, skargi, jęki, wszystko tworzyło nieprzerwaną całość. Struny drgały coraz szybciej i zdawało się, że nawet one cierpią pod wpływem uczucia artysty. Słysząc w nich było jakby łkanie i tłumione łzy.

Ta symfonia, ten bolesny śpiew, były przepyszną improwizacją artysty, który skarżył się światu na to, co przedtem wycierpiał od niego, co cierpiał w tej chwili i co miał jeszcze wycierpieć.

Fryderyk Boissier, jako artysta, mógł zaliczyć tę chwilę do najszcześniejszych w swym życiu; przewyższał samego siebie.

Ponad nim, od pierwszego do ostatniego piętra okna trzech domów, wychodzące na dziedziniec, otworzyły się jakby pod wpływem czarodziejki; w każdym z nich widać było głowy; w niektórych Fryderyk mógłby policzyć po sześć osób.

Słuchano jak się słucha sławnego solisty w teatrze lub na koncercie; jak w teatrze, damy przytknęły do oczu lornetki, aby się przypatrzeć ulicznemu muzykowi. Pomiedzy słuchaczami zamieniano czasami cicho i szybko pojedyncze wyrazy, jakby w obawie stracenia choćby jednego dźwięku z tego wspaniałego wstępu muzycznego. Podziwiano. Po zdumieniu w pierwszej chwili nastąpił zachwyty.

Dźwięki skrzypiec dochodziły aż na ulicę. Przechodnie zatrzymywali się przed domem. Sień, aczkolwiek bardzo szeroka, była pełna ludzi. Popychani przez napływającą bez przerwy publiczność pierwsi z nich wtargnęli na dziedziniec, tworząc wielkie koło obok artysty. W tej ostatniej grupie znajdował się stróż domu ze swą żoną; tym nawet na myśl nie przyszło zabronić komukolwiek wstępu do kamienicy. I wszyscy, zachowując głębokie milczenie, słuchali w skupieniu. Mówiono tylko w duchu: — Co to za jeden? Skąd przybywa? To nie jeden z tych muzykantów ulicznych, których spotykamy tak często. Ten nieszczęśliwy może sam nie wie, że jest wielkim artystą, prawdziwym wirtuozem.

Między słuchaczami znajdowali się zapewne znawcy muzyki, amatorzy, dyletanci, artyści. Na próżno szukali oni w pamięci nazwiska autora tego cudownego wstępu muzycznego.

Nie myśląc o tym, Fryderyk wstąpił na jedną z dróg, prowadzących do sławy, bo geniusz wszędzie, gdzie się ukaże, musi zwyciężyć. Zresztą posiada on skrzydła, ażeby wznieść się z cienia do słonecznego światła, wzbić się wysoko i zdumieć świat.

Podanie o Homerze opisuje, jak przebiegając Grecję we wszystkich kierunkach, zatrzymując się w miastach i we wsiach, aby wygłaszać swe bohaterskie pieśni, boski poeta „Iliady” i „Odysei” zdobył nieśmiertelną sławę.

Zdawało się jednak, że słuchacze opanowani wdziękiem muzyki nie rozumieją prośby artysty o ich miłosierdzie. Zaledwie kilka sou spadło na dziedziniec do nóg muzyka.

Ten ostatni przestał grać.

A wtedy we wszystkich oknach, na dziedzińcu, w sieni i na ulicy, zagrzmiały oklaski. Wszystkie ręce wznosiły się w powietrzu.

— Brawo, brawo! — krzyczeli jedni.

— Dalej, dalej! — wołali drudzy.

— Bis! Bis! — słyhać było ze dwadzieścia głosów. Machinalnie Fryderyk zdjął kapelusz.

Zapał wzrósł nie do opisania. Był to jednogłośny okrzyk przywodzący artyście na myśl jego powodzenie w sali Meissonnier w Tuluzie.

Jakieś dziecko w wieku dziesięciu do dwunastu lat zebrało z ziemi kilkanaście sou i wrzuciło je do kapelusza Fryderyka.

Nieszczęśliwy spojrział ze smutkiem na otaczającą go publiczność, nie wiedząc jaką przybrać postawę. Na jego twarzy, jeszcze bledszej niż przedtem, malowała się rozpacz. Włożył skrzypce pod ramię i chwiejąc się na nogach, ze spuszczoną głową, starał się utorować sobie przejście między publicznością.

Zrozumiano, że chce się oddalić.

— Zaczekaj pan! — zawołano.

— Tak, tak, zaczekaj pan jeszcze — powtórzyło kilkanaście osób.

Prawie równocześnie od pierwszych pięter aż do poddaszy, ze wszystkich okien, pieniądze owinięte w papier posypały się jak grad na dziedziniec.

Fryderyk nie potrzebował się po nie schylać. Osoby znajdujące się na dziedzińcu zbierały i wrzucały datki do kapelusza muzyka.

Podczas tego jakiś mały piekarczyk, wyciągnawszy swój biały fartuch, zbierał składkę na dziedzińcu, w sieni i na ulicy. Wróciwszy do Fryderyka,

który mu otworzył jedną z kieszeni swego płaszcza, wsypał do niej pieniądze. Druga była pełna datków, rzuconych z okien.

W tej chwili, jakiś poważny mężczyzna, dystyngowany i bogato ubrany, zbliżył się do młodego człowieka.

— Panie — rzekł mu z wyraźnym zagranicznym akcentem — gra pan na skrzypcach jak mistrz. Zdaje mi się, że znam się trochę na tym, pan ma wielki talent.

Zmieszany artysta bąknął kilka niezrozumiałych słów.

— Sprawił mi pan prawdziwą przyjemność — ciągnął dalej nieznajomy — nie na ulicach ani w podwórzach należałoby pana oklaskiwać, mój panie, ale na scenach wielkich teatrów. Kto jest autorem tego uroczego ustępu muzycznego, który pan przed chwilą grał z takim uczuciem?

— Nie wiem, panie, nie pamiętam — odparł Fryderyk niepewnym głosem.

— Ach! — odezwał się tamten zdziwiony — szkoda, wielka szkoda! Oto proszę pana, mój datek.

Wręczywszy skrzypkowi dwadzieścia franków, oddalił się natychmiast.

Przed Fryderykiem utworzyło się przejście; przeszedłszy szybko sień, znalazł się na ulicy. Ze trzydzieści osób szło za nim w nadziei, że idzie grać na innym podwórzu, lecz on nie miał tego zamiaru. Czuł się złamany przez rozliczne wzruszenia, których doznał w tych kilku godzinach i osądził, że na pierwszy dzień dość takiej jednej próby.

Minął ulicę Clichy, ulicę Vintimille i dotarł wkrótce do bulwaru Pigalle. Tam usiadł na ławce i włożył skrzypce do futerału. Odpocząwszy chwilę, wrócił do swego mieszkania.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zaczął liczyć zebrane pieniądze. W jednym papierze znalazł pięć franków, w wielu innych po pięćdziesiąt centymów, po jednym lub dwa franki. Doliczywszy do tego dwadzieścia franków otrzymanych od nieznajomego, biedny artysta przekonał się, że jest posiadaczem pięćdziesięciu dwu franków i sześćdziesięciu centymów.

Nie mógł uwierzyć swym oczom. Stał oniemiały i jakby przerażony, wlepiwszy wzrok w pieniądze, rozrzucone na stole.

— Żebak się nie mylił — szepnął wreszcie — i miał słuszość, mówiąc mi: „Gdybym umiał grać na skrzypcach jak pan, nie troszczyłbym się o majątek”. Chwilę milczał, zatopiony w myślach. — Tak jest — zaczął tym razem z większą pewnością w głosie — mogę zarabiać wiele, bardzo wiele pieniędzy. Ale zostanę zawsze żebrakiem, łachmaniarzem, nędzarzem!

Słuchali mnie, oklaskiwali. O! Triumf był piękny! Zdaje się, że dobrze grałem; nie pamiętam; miałem głowę i ręce w gorączce, a śmierć w duszy! Zresztą, mniejsza o to, moi słuchacze byli zadowoleni, najlepszym tego dowodem jest to, że hojnie zapłacili. Ach! — ciągnął dalej szorstkim głosem — muszę przecież wypić aż do dna ten kielich boleści i wstydu! Idź, idź, nędzarzu przeklęty! Może na szczyt Golgoty jeszcze bardzo daleko!

Przeszło godzinę siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

Nareszcie, postanowiwszy stawić mężnie czoło przeciwnościom, wstał. Włożywszy dwadzieścia franków do kieszeni, schował resztę pieniędzy do jednej z szuflad starej komody, nie posiadającej zamka i nie otwieranej już z pewnością od wielu lat. Po czym zszedł na dół do sali i kazał sobie podać obiad. Czuł potrzebę odzyskania sił, niezbędnych do dalszej pracy. Wypił bulion, zjadł kawałek wołowiny z kapustą, zakrapiając to wszystko lampką wina.

Po obiedzie wyszedł, aby kupić różne przedmioty, bez których nie mógł się już pokazać na ulicy: dwie koszule, dwie pary butów, cztery chustki do nosa, grzebień i kawałek mydła.

Tydzień upłynął, zanim Fryderyk ośmielił się wyjść powtórnie ze skrzypcami. Każdego rana mówił sobie w duchu:

„Nie, nie dziś, jutro.”

Na samą myśl znalezienia się powtórnie na podwórzu, pod spojrzzeniami lokatorów domu, serce jego ścisnęło się boleśnie. Obawiał się tego jak nieszczęścia. Biedny człowiek nie zrobił jeszcze całkowitej ofiary ze swej dumy.

Pomimo tego siódmego dnia zdołał się przewyciężyć.

— Drogo mnie to kosztuje, lecz muszę spełnić moją powinność — rzekł — to dla Żanetki. Wziął skrzypce w rękę i wyszedł.

Potem czekał cztery dni, zanim trzeci raz poszedł grać po dziedzińcach. Mniej się już wstydził, stawał się śmielszy, zaczął się wprawiać. Wkrótce wychodził co drugi dzień, wreszcie co dzień, a zawsze z jednakowym powodzeniem. Gdziekolwiek ukazał się ze swym instrumentem, tam za chwilę jego gra zwabiała mnóstwo słuchaczy.

W niespełna miesiąc, wyszedłszy tylko czternaście czy piętnaście razy, zebrał przeszło czterysta franków.

W dwóch listach, wysłanych jeden po drugim, posłał mamce trzysta franków.

* * *

Pierwszy występ Fryderyka jak widzieliśmy powyżej, odbył się na ulicy Clichy. Na tę ulicę, piękną i wielką, i na ulice sąsiednie powracał artysta najczęściej.

Niekiedy jednak zapuszczał się bardziej w głąb Paryża i grywał na ulicach Havre, Isly, Tronchel i w kilku innych dzielnicach Madelaine.

Pewnego dnia, między dziesiątą a jedenastą, przypadek zawiódł go na ulicę Ferme-des-Mathurins. Wybrawszy jeden dom, którego brama była otwarta, wszedł do środka. Spostrzegłszy stróżkę ukłonił się jej grzecznie. Lecz zanim doszedł do podwórza, kobieta otworzyła szybko drzwi i zatrzymała go słowami:

— Gdzie pan idzie?

Fryderyk zadrżał, odwrócił się i za całą odpowiedź pokazał jej smutnie skrzypce.

— Tutaj grać nie wolno — odezwała się stróżka — nie ma pan tu co robić!

Skrzypek spuścił nieśmiało głowę.

— Przepraszam panią bardzo — szepnął — nie wiedziałem...

— Ci ludzie wszyscy jednacy — mruknęła kobieta pod nosem. — Następnie, podnosząc głos: — Wstydz się pan, w pańskim wieku trudnić się takim rzemiosłem — rzekła.

— Niestety moja pani, trzeba przecież, abym coś robił.

— Jest pan silny, może pracować.

— Mogę jedynie grać na skrzypcach.

— Ile pan zarobi?

— Tyle, żeby starczyło dla mojego dziecka.

— Ach! Pan ma dziecko. A pańska żona, cóż ona robi?

— Umarła — odparł głucho.

Stróżka nagle złagodniała. Przypatrując się bacznie muzykantowi i widząc smutek na jego twarzy, poczuła w sercu litość. A poza tym, chociaż Fryderyk wyglądał bardzo skromnie, było w nim coś, co nakazywało szacunek.

— Ile lat ma pańskie dziecko? — zapytała.

— Przeszło dwa lata.

— Chłopczyk?

— Nie, dziewczynka.

— Dziewczynka! — powtórzyła kobieta.

— Dla niej to tylko grywam na skrzypcach po podwórzach.

— Tak, kocha ją pan, jak ja kochałam moją. Miałaby teraz dwa lata, pogrzebałam ją przed dwoma miesiącami, umarła na kur. — Otarła oczy, które napełniły się łzami.

— Współczuję pani — rzekł Fryderyk — żałuję z całego serca. Do widzenia — dodał — przepraszam panią raz jeszcze.

Odchodził. Przywołała go na powrót.

— Nie mam prawa zabraniać panu zarobienia tutaj kilku sou — rzekła mu — wyjątek nie jest jeszcze zwyczajem. Dzisiaj pańska córeczka przynosi panu szczęście.

— Dziękuję pani.

— Może pan iść zagrać. Fryderyk wszedł na dziedziniec.

Na pierwszym piętrze tego domu, w prześlicznym buduarze, obitym pomarańczowym jedwabiem, rozmawiały dwie młode kobiety, siedząc naprzeciw siebie. Światło dzienne wpadało do buduaru przez dwa wielkie okna, wychodzące na szeroki dziedziniec.

— Emelino, nie jesteś dziś spokojna — rzekła jedna z nich, zwracając się do drugiej.

— Nie zawsze ma się umysł swobodny, moja kochana Heleno.

— Jak tylko tu weszłam, spostrzegłam, że jesteś smutna i milcząca. Rozmawiam z tobą, odpowiadasz mi krótko. No, cóż ci dolega?

— Nie wiem, jestem zdenerwowana.

— Może zarzucasz co panu Karolowi?

— Nic.

— Czy dotrzymuje tego, co przyrzekł?

— Tak, z wyjątkiem jednego?

— Czego?

— Już przeszło od dwóch miesięcy powinniśmy znajdować się we Włoszech.

— Tak ci spieszno opuścić Paryż?

— Tak jest.

— Nudzisz się?

— Żyję w ciągłym niepokoju.

— Dlaczego?

— Wiesz o tym dobrze, Heleno.

— Powiedz mi Emelino, czego się boisz w istocie?

— Nie bojąc się, można się obawiać...

— Rozumiem teraz przyczynę twego niepokoju... Myślisz o panu Boissier. Czy otrzymałaś jakieś wieści o nim?

— Żadnych.

— W takim razie po cóż się niepokoić?

— Nie wiem, mam przeczucie.

— Wszystko to przyszło tak prędko, przed trzema dniami byłaś weselsza.

— Miałam sen, Heleno.

— Och! Sen! — zawołała młoda wdowa. — I zaczęła się śmiać.

— Tak, Heleno sen, a raczej zmoreę straszliwą, przerażającą.

— Kiedy to miałaś tę zmoreę?

— Dzisiejszej nocy.

— Rozumiem teraz. Źle spałaś i koniec.

— Nie ma nic dla ciebie poważnego, Heleno, wszystko obracasz w żart.

— A więc tak jest, taka dziś jestem, jak powiedziałaś. Wszystko w żart obracam, bo dawniej ciągle płakałam. Mniejsza o to, w każdym razie opowiedz mi, o czym śniłaś?

— Słuchasz więc?

— Ze skupieniem.

— A więc, oto mój sen: ubrałam się, ażeby udać się na jakieś wielkie zebranie, włożyłam na siebie pierwszy raz prześliczną suknię, ozdobioną bogato koronkami. Znajdowałam się w moim pokoju, oświetlonym mnóstwem świec. Bransolety wisiały na mych rękach, miałam mój diadem na czole, a brylanty w uszach.

— Jak dotąd — zauważyła Helena — twój sen nie zawiera nic przerażającego.

— Zaczekaj, pozwól mi dalej opowiadać.

— Zapewne, jeżeli pragnę usłyszeć koniec.

— Byłam więc ubrana i gotowa do wyjazdu; słyszałam jak konie zaprzężone do mego powozu biły niecierpliwie kopytami o bruk na podwórzcu. — Emelina nagle przerwała. — Cóż to takiego? — spytała.

— O co chodzi?

— Ta muzyka!

— Ktoś gra na skrzypcach, słyszysz to prawdopodobnie nie gorzej ode mnie.

— Ach! Nienawidzę tego instrumentu.

— Zostaw go w spokoju i opowiadaj dalej swój sen.

— Masz słuszność. Mówiłam, że byłam gotowa, do wyjazdu. Stojąc przed zwierciadłem podziwiałam z wielką przyjemnością trzy rzędy pereł na mojej szyi i broszkę z diamentów, zapiętą z boku. Krótko mówiąc, moja droga, byłam sama sobą zachwycona. Nagle usłyszałam szelest drzwi otwierających się za mną; odwróciłam się szybko. Wydałam przeraźliwy krzyk i odskoczyłam w tył, zdjeta przerażeniem.

— Cóż ujrzałaś?

— Co widziałam? Jego, Heleno, jego!

— Kogo?

— Mego męża.

— Ach!

— Okryty łańchmanami, blady jak trup, wyglądał na widmo; był wynędzniały i wychudły jak szkielet. Przy każdym jego poruszeniu, zdawało mi się, że słyszę chrzęst kości. Powoli, nic nie mówiąc, zbliżył się do mnie. Krzyknęłam głośno i chciałam uciekać. Niepodobna mi było ruszyć się z miejsca; moje nogi, ramiona, ciało całe były jakby skrupowane łańcuchami. Czułam ciężące na mnie jakieś niewidzialne ręce, jedną na głowie, dwie na ramionach, czwartą na gardle. W rzeczywistości nie mogłam już oddychać. Widmo stało nade mną, dotykając mnie prawie. Pomimo przestrachu, nie spuszczałam z niego wzroku. Rzecz dziwna na samo wspomnienie o tym drzę jeszcze cała. Nie widziałam ani jego oczu, ani ust lecz na ich miejscu trzy głębokie rany, sączące krwią. Nagle wystrzeliły z nich równocześnie iskry i płomienie. Widmo nachyliło się nade mną, jak gdyby chciało mnie pocałować: rzuciłam się w tył. Ono pochyliło się jeszcze bardziej, ziejąc ogniem na moją twarz i usłyszałam jego piekielny śmiech. Równocześnie poczułam w oczach okropny ból, ostrzejszy od ognia. Wyprostowałam się, a z mojej piersi wyrwał się jakiś nieludzki krzyk. Nic już nie widziałam ani widma, ani zapalonych świec. Zupełna ciemność mnie ogarnęła. Dotknęłam mego ciała. Poczułam na rękach bransolety, na piersi brylanty, na szyi perły. Wyciągnęłam ramię i postąpiłam naprzód; jednocześnie ręka moja dotknęła płomienia zapalonej świecy. Wtedy, wtedy dopiero zrozumiałam, że widmo wypaliło mi wzrok, że nie posiadam oczu! Wydałam dziki krzyk i runęłam na posadzkę. Ten upadek mnie zbudził. Leżałam w łóżku, Heleno, ale w jakim stanie! Dyszałam, czułam na piersi olbrzymi ciężar, mój język i moje gardło były wyschnięte, ciało zlane potem; włosy rozwiązane i poplątane porzrzucone

były na poduszce, wokół mej głowy. Tak leżałam przeszło kwadrans, zanim pojęłam, że było to tylko zmorą, i potrzebowałam całej reszty nocy do opanowania wzruszenia, jakiego doznałam.

— Przyznaję, Emelino — odezwała się pani Surmain — że miałaś sen bardzo nieprzyjemny. Widać na tobie jeszcze ślady przebytego wzruszenia. Zdaję sobie wybornie sprawę z tego, co czułaś; tłumaczy to znużenie, malujące się na twojej twarzy, i niezwykły blask twych oczu. Masz trochę gorączki, dlatego jesteś niespokojna i zdenerwowana. Jakakolwiek byłaby jednak zmora, nie zdołałaby na mnie zrobić głębszego wrażenia. A może jesteś zabobonna?

— Nie.

— Znakomicie. Nic sobie z tego nie rób, Emelino, to tylko sen.

— To prawda, tylko sen.

— Możesz być pewna, że twój mąż ani myśli o tobie.

— Tak sądzisz?

— Gdyby chciał cię znaleźć lub przynajmniej otrzymać wiadomości o tobie, przyszedłby do mnie.

— W istocie...

— Wiesz, co myślę?

— Nie.

— Zdaje mi się, że tego samego dnia, kiedy wyszedł z więzienia, albo następnego dnia, opuścił Paryż.

— Tak, to możliwe.

— Widuję bardzo wiele osób z Tuluzy, które go znały. Gdyby pozostał w Paryżu, my pierwsze wiedziałybyśmy o tym.

— Myślę teraz, gdzie też mógł się udać.

— Co do tego, moja droga, nie mogę ci nic powiedzieć. Obie przez chwilę milczały. Wtedy, pomimo że okna były zamknięte, usłyszały bardzo wyraźnie muzykę dochodzącą z podwórza.

— Ten skrzypek gra wcale nieźle — zauważyła pani Surmain.

— Pierwszy raz w tym domu słyszę skrzypce — odparła Emelina — nie wiedziałam, że mieszka tu taki artysta.

Helena wstała i zbliżywszy się do okna, odsunęła firankę i spojrzała na podwórze. Nie mogła dojrzeć twarzy grającego, gdyż w tej chwili był odwrócony do niej tyłem; zresztą nie poznałaby go z powodu gęstej brody. Odwróciła się do Emeliny.

— Jakiś biedak gra na podwórzu i czeka, aby mu rzucono kilka sou — rzekła.

— To nieznośne — mruknęła Emelina.

— Słyszysz? — ciągnęła dalej pani Surmain — biją mu brawo. To dobry znak, prawdopodobnie zbierze tu kilka franków. — Włożyła rękę do kieszeni. — Jak na złość — zawołała — nie mam przy sobie drobnych. Emelino dajże trzy lub cztery sou temu nieszczęśliwemu.

— Ruszać się z miejsca dla takiej drobnostki!

— Moja droga, każdy musi żyć.

— Zależy ci na tym?

— Tak jest, zrobi mi to wielką przyjemność.

Emelina podniosła się z fotela, zbliżyła się do kominka i wyjęła z portmonetki dwa sou.

— Trzeba zawinąć je w papier — zauważyła pani Surmain. Emelina oddarła kawałek dziennika i owinęła nim pieniądze. Po czym otworzyła okno, wychyliła głowę i rzuciła jałmużnę pod nogi grającego. Spojrzała na niego przelotnie i zamknęła okno. Podobnie jak Helena nie poznała Fryderyka.

Pomimo że cofnęła się szybko w głąb pokoju, Fryderyk miał czas ją spostrzec. Od pewnej chwili patrzył nieco zdziwiony na te dwa okna pierwszego piętra, które w odróżnieniu od innych, pozostały zamknięte.

Na widok Emeliny, którą rozpoznał, nieszczęśliwy wypuścił z ręki smyczek, a ten upadł na bruk przy pieniądzach, rzuconych przez młodą kobietę. Schylił się i podniósł jałmużnę żony i smyczek.

Wokół niego leżało jeszcze dużo pieniędzy owiniętych w papier, których nie miał czasu podnieść z ziemi. Nie zwrócił na nie uwagi. Mgła przysłoniła mu oczy, nic przed sobą nie widział. Ściskając w skurzonej dłoni papier i smyczek, opuścił szybko podwórze i uciekł jak złodziej, ścigany przez żandarmów.

* * *

Fryderyk był już daleko od ulicy Ferme-des-Mathurins, kiedy zwolnił kroku. Jednak nie zatrzymał się aż na bulwarze zewnętrznym, aby zaczerpnąć oddechu. Nieszczęśliwy, opanowany gorączką, wyglądał jak szalony. Gdyby go kto spostrzegł w tej chwili i widział jego błędny i tajemniczy wzrok, byłby się z pewnością przeląkł i uciekł, mówiąc:

„To jakiś wariat, który się wymknął z zakładu obłąkanych, albo łotr, który przed chwilą popełnił zbrodnię.”

Po chwili otworzył rękę i patrzył na nią dziwnym wzrokiem; odwinąwszy papier spostrzegł dwa sou.

— To jałmużna mojej żony — szepnął ponuro. — Dwa sou! Mają one dla mnie wielką wartość; nie umieszczę tych pieniędzy razem z innymi. Zachowam je na pamiątkę. — Owinął na powrót oba sou papierem i wsunął je do kieszeni swej kamizelki: — Ach! — ciągnął dalej gorzkim głosem — stróżka domu nie pomyliła się, mówiąc mi: „Dziś pańska córeczka przyniesie panu szczęście”. Prawda, dzień dzisiejszy jest dla mnie szczęśliwy — dodał z groźnym spojrzeniem — bo dzisiaj znalazłem moją żonę!

Chwilę stał, milcząc. Nagle, podniósł gwałtownie głowę i wybuchnął śmiechem straszliwym i bardziej podobnym do wybuchu gniewu. Ujął skrzypce i zaczął iść dalej pospiesznie. W godzinę później był już u siebie.

Zamknąwszy drzwi na klucz, rozciągnął się ubrany na łóżku. Wtedy boleść jego wezbrała. Płakał, skarżył się, jęczał, wił się na posłaniu, gryząc z wściekłością poduszkę i kołdrę, ażeby stłumić rozpaczliwe krzyki. Ten okropny kryzys trwał przeszło dwie godziny.

Wreszcie jego nerwy uspokoiły się nieco, spazmy ustały. Po gwałtownym wybuchu nastąpiła bezwładność. Lecz boleść nie ustąpiła, była ona tylko innego rodzaju.

— Podły jestem — mówił do siebie. — Wstręt i pogarda, którą wzbudzała we mnie, nie mogą zabić uczucia, które dla niej żywiłem; kocham ją zawsze! Tak, pogardzam nią, przeklinam, ale ją kocham jeszcze. O! Jakże ludzie są podli i głupi.

Długo był pogrążony w smutnych myślach. Jedne mu mówiły: „zapomnij o niej, myśl jedynie o córce, którą tak kochasz, ona wróci ci szczęście, które ci tamta wydarła!” Równocześnie drugie wołały: „nie miej

litości nad występłą kobietą, zemścij się!" W końcu zeskoczył z łóżka, szepcząc:

— Tak być musi, zrobię to i chcę to zrobić. Wyprostował się, podniósł głowę wysoko, z postawą groźną i oczami ciskającymi błyskawice.

Otworzywszy szufladę, na dnie której znajdował się jego majątek, wyjął z niej kilkanaście garści pieniędzy i policzył je na stole, dołączwszy dzisiejszy zarobek. Był właścicielem trzystu osiemdziesięciu franków, oprócz dwudziestu centymów w kamizelce, owiniętych w papier.

— Na razie — rzekł dziwnym głosem — pozostaną one tutaj. Następnie, patrząc na pieniądze srebrne i miedziane, dodał: — Nosić je przy sobie byłoby trudno i ciężko.

Wziął chustkę, napełnił ją monetami i związał. Połowa jego skarbu znajdowała się jeszcze na stole. Połowę tę włożył do drugiej chustki. Następnie wszystko razem umieścił w nieużywanej jeszcze serwecie i wyszedł z pokoju, ażeby udać się do pewnego kramarza, który już dwa razy zmienił mu drobną monetę na bilety bankowe.

Nazajutrz rano Fryderyk wyjechał z Paryża pociągiem zmierzającym do Nivernais. Do Bouchot przybył o wpół do dwunastej.

Zanim miał czas wejść do domu, mała Żanetka spostrzegła go i poznała natychmiast. Z okrzykiem radości pobiegła do niego, wyciągając z daleka małe rączki. Podniósł ją z ziemi, przycisnął gorąco do piersi i obsypał pocałunkami policzki, oczy, czoło i włosy.

— Rozmawialiśmy dziś o panu, panie Boissier — rzekła mu mamka — powiedziałam memu mężowi: „Pan Boissier z pewnością niedługo przyjdzie odwiedzić małą.” Jak pan widzi, nie pomyliłam się tym razem. Można by powiedzieć: o wilku mowa... Przepraszam pana, tak to się już u nas mówi.

— Tęskno mi było w istocie za Żanetką — odparł Fryderyk.

— Zawsze zdrowa jak rybka, a rośnie jak na drożdżach.

— Tak jest, i nie wiem jak podziękować za starania, którymi ją otaczacie...

— A panu, panie Boissier, jakże się teraz powodzi?

— Bardzo dobrze.

— Musi pan bardzo pracować, bo zarabia pan niemało pieniędzy. Nie trzeba się jednak wysilać, panie Boissier, zdrowie to skarb najdroższy na świecie. Otrzymał pan prawdopodobnie oba listy mojego męża w odpowiedzi na pańskie listy.

— Tak jest, otrzymałem je.

— Dlaczego jednak, panie Boissier, przysyłasz nam wciąż pieniądze?

— Ależ pani, zdaje mi się...

— Bynajmniej — przerwała żywo — nic pan nam nie jest winien, powiedziałam to panu. Jesteśmy biednymi ludźmi, to prawda, ale, a mogę to powiedzieć głośno i z dumą, nie jesteśmy podobni do tych, którzy nigdy nie są nasyceni, którzy zawsze czegoś żądają i pragnęliby zawsze tylko otrzymywać. Wie pan, cośmy zrobili? Nie, prawda? A więc powiem to panu. Mój mąż tak mi powiedział: „Kobieto, nie dotkniemy pieniędzy ojca, byłoby to brzydko z naszej strony; ponieważ nam je przysłał, zachowamy je, lecz należą one do Żanetki i dla niej będą jedynie zbierane; jeżeli pozostanie u nas przez trzy lub cztery lata, jak mam nadzieję, kiedy będzie czegoś potrzebowała, jako dorosła panna, kupisz jej to z tych pieniędzy”. Oto co mój mąż powiedział, panie Boissier. Toteż nie tknęłam jeszcze tych trzystu franków, leżą one tam, w mojej szafie.

Fryderyk otarł dwie łzy.

— Nie pochwalam postanowienia pani męża — rzekł — bo pieniądze, które wam posłałem, bezwarunkowo należą do was. Chociaż pani de Mesie dawała wam to i owo dla dziecka, ja w to wchodzić nie mogę i czuję się pomimo tego waszym dłużnikiem.

Wieśniaczka potrząsnęła głową.

— Mój mąż nie da się nigdy przekonać — oświadczyła.

— Zgoda, ale pani to rozumie.

— Ja, panie Boissier, zgadzam się zawsze z moim dzielnym człowiekiem.

— Ach! Doprowadzacie mnie do rozpacz.

— Ależ nie, panie Boissier. Nie gniewaj się na nas; cóż pan chce? Takimi Bóg nas stworzył.

Fryderyk podziwiał tę kobietę, tak szlachetną w swej wieśniaczej prostocie.

— O! Zaczne serca! — myślał. — Jacy oni wielcy, ci biedni ludzie! Jak oni przygniatają swą wyższością moralną tylu wzbogaconych parweniuszy, których nazywają mieszczanami, a których ja znam tak dobrze.

Chwilę milczał, przypatrując się małej Żanetce, bawiącej się opodal małym gospodarstwem kuchennym.

— Wprawiacie mnie w prawdziwy kłopot — zaczął zwracając się do mamki.

— Dlaczego panie Boissier?

— Bo przynoszę wam nowych trzysta franków.

— Nie sądzę, panie Boissier, abyś to mówił poważnie.

— Ależ tak, moja pani. Ja zaś sądzę że trzysta a trzysta to sześćset, to prawie tyle, ile wam winien jestem za miesiące karmienia mojej córeczki.

— Lecz muszę panu jeszcze powiedzieć...

— Oto trzysta franków.

— Nie chcę ich, panie Boissier, nie wezmę ich wcale.

— Nie przyniosłem tych pieniędzy, ażeby odnosić je na powrót do Paryża. — Przemocą wcisnął kobiecie do ręki bilety bankowe.

— Zastanów się pan, panie Boissier — rzekła — cóż mamy robić z tymi pieniędzmi?

— Należą one do was, zrobicie z nimi, co zechcecie.

— Panie Boissier — odparła — biorę pańskie bilety bankowe, ponieważ pan tak chce koniecznie, lecz poradzę się wprzód mego męża, niech on rozstrzyga.

— Pani mąż zrobi, co mu się będzie podobało, lecz ja chcę, abyście przyjęli to, co wam daję, chociażbym nawet, według waszego zdania, nic wam nie był winien.

— Nie jesteś bogaty, panie Boissier, wiemy o tym dobrze, jestem przekonana, że pan się wszystkiego pozbawia.

— Może się pani uspokoić — odparł dziwnym głosem — nie odmawiam sobie niczego, nic mi nie brakuje, mam wszystko, czego mi potrzeba!

— Jak pan to dziwnie mówi — zauważyła kobieta.

Fryderyk fałszywie się uśmiechnął.

— Mówmy o czym innym — odparł wymijająco.

— Tak, mówmy o czym innym panie Boissier. Przede wszystkim spędzisz ten dzień z nami, to już ułożone, następnie prześpisz się pan u nas, możemy ci ofiarować jedno łóżko i odjedziesz jutro lub pojutrze o której bądź godzinie.

— Dziękuję pani za tę życzliwość, lecz to czego żądasz, jest niestety niemożliwe.

— Niemożliwe, dlaczego?

— Muszę być jutro rano w Paryżu.

— Spiesz się panu?

— O! Bardzo!

— Mojemu mężowi będzie przykro.

— Będziemy jeszcze mieli czas porozmawiać trochę ze sobą, chociaż muszę wsiąść w pociąg, odchodzący do Paryża o wpół do piątej.

— Jak to! Pojechałbyś pan tak prędko? I cóż pana tak pędzi?

— Zależy mi na tym, abym dzisiaj wieczór wrócił wcześniej do domu.

— Więc nie pójdziesz pan tym razem do zamku de Roure?

— Nie, za mało mam na to czasu.

— Szkoda, bo pani de Mesie czeka na pana. Jak zaznaczyliśmy w naszych listach, przyjechała tu kilka razy od czasu pańskich pierwszych odwiedzin.

— Cóż wam mówiła?

— Że pragnie koniecznie widzieć się z panem. Jej przywiązanie do dziecka wzrasta z każdym dniem. Widzi pan, panie Boissier, jestem przekonana, że rodzzonego dziecka nie kochałaby bardziej od naszej Żanetki. Oświadczyła nam, że ponieważ jej nie może adoptować, podejmie się kosztów jej wychowania i utrzymania, a później, gdy nadejdzie pora wyjścia za mąż, da jej posag. Pani de Mesie pragnie pomówić z panem, panie Boissier, o swych projektach i przedstawić je panu.

— To rzeczywiście zacna osoba — rzekł Fryderyk — za wiele dobrego życzy Żanetce, abym mógł być zazdrosny o przyjaźń, którą żywi dla maleńkiej. Zastanowię się jeszcze, a może nawet przyjmę propozycję, którą mi robi.

— Ja, panie Boissier, nie mogę ci dawać rad, ale będąc na pańskim miejscu, nie wahałabym się ani chwili.

Młody człowiek, bardzo wzruszony, otaczał dziecko spojrzeniem pełnym ogromnej czułości.

— Otrzymał pan jakieś wiadomości od pani Boissier? — zapytała mamka.

Fryderyk zadrżał.

— Nie, żadnych — odparł krótko.

— To dziwne.

Fryderyk podniósł się szybko i poszedł pocałować dziecko.

Wieśniak wrócił z pola z dziećmi. Obiad był gotowy. Fryderyk zasiadł do stołu z całą rodziną, lecz zaledwie dotknął potraw.

Po obiedzie wieśniak nie wrócił jak zwykle w pole, lecz pozostał, aby rozmawiać z Fryderykiem. Naturalnie rozmowa dotyczyła owych sześciuset franków.

Wieśniak rzekł Fryderykowi:

— Pozostawimy tu dwieście franków, w razie gdybyśmy ich potrzebowali dla dziecka, a ponieważ pan sam nie chce tego uczynić, wpłacę resztę do kasy oszczędności, na imię Żanetki.

— Nie nalegam dłużej — odparł Fryderyk — bo widzę, że stanąłbym na przeszkodzie waszej woli i waszym zamiarom, róbcie co chcecie.

O godzinie czwartej przygotował się do odjazdu. Wieśniakom czas prędko upłynął.

— Więc nie chce pan pozostać? — zapytała mamka.

— Żałuję, że opuszczam was tak wcześnie — odpowiedział — ale powtarzam jeszcze raz, nie mogę zostać.

— W takim razie, panie Boissier, przyrzeknij nam, że podczas najbliższego pobytu w Bouchot pozostaniesz tutaj najmniej dwa dni.

— Postaram się o to — odparł.

Przelotny uśmiech przemknął mu po ustach. Wziął małą Żanetkę w ramiona i ucałował ją gorąco. Postawił ją na ziemi i trzy razy jeszcze podnosił ją i okrywał ciągłymi pocałunkami. Nie mógł się z nią rozstać, zdawało mu się ciągle, że ją jeszcze za mało uściskał.

— Proszę ją zabrać — rzekł mamce przygasłym głosem.

Kobieta usłuchała.

— Teraz odjeżdżam — rzekł wieśniakowi.

— Odprowadzę pana na kolej.

— Nie potrzeba. Z Bogiem!

— Mówi się z Bogiem, żegnając kogoś na zawsze, powinien pan powiedzieć: do rychłego widzenia.

— Ma pan słuszość, do widzenia.

Uścisnęli sobie po raz ostatni dłonie i Fryderyk oddalił się szybko.

Kiedy minął ostatnie domy wioski, łkanie wyrwało mu się z piersi, lecz oczy błyszczące fosforycznie pozostały suche.

— Teraz nieubłagane przeznaczenie — przemówił szorstkim głosem.

Wieśniaczka rzekła do męża:

— Czy zauważyłeś jak ja, że pan Boissier jakoś dziwnie wyglądał?

— Zauważyłem w istocie, że był bardzo smutny. Jakaś wielka boleść go gryzie.

— Chwilami siedział jakby obezwładniony, to znowu twarz jego przybierała szczególny wyraz, tylko oczy ciągle świeciły.

Wieśniaczka potrząsnęła głową.

— Co myślisz o tym wszystkim? — zapytała kobieta.

— A ty?

— Ja nie wiem.

— A więc, kobieto, ja sędzę że pan Boissier jest bardzo nieszczęśliwy, a pani Boissier to ladaczniczka.

— Czy sądzisz, że opuściła swego męża i swoje dziecko?

— Takie jest moje przekonanie.

— Jeżeli tak, to masz słuszość, to nędzniczka, zbrodniarka!

— Kobieto, tak mi się zdaje, a bardzo bym chciał się mylić, że to się źle skończy.

RS

* * *

Fryderyk powiedział mamce: „Muszę być jutro rano w Paryżu”. Dlaczego tak się śpieszył? Wkrótce się o tym dowiemy.

Wstał o godzinie siódmej. Ponieważ poprzedniego dnia jadł tylko raz, w Bouchot, gdzie jak wiemy, nie uszczuplił spiżarni wieśniaczki, kazał sobie podać omlet z jaj, który zjadł z dobrym apetytem.

Kiedy się czuł już dostatecznie posilony, wyszedł z hotelu.

Idźmy za nim.

Postępując ulicą równoległą do bulwaru, doszedł do ulicy Menilmontant. Wkrótce znalazł to, czego szukał: ślusarza. Wszedł do sklepu. Rzemieślnik pracował przy warsztacie.

— Panie — rzekł mu — chciałbym pana prosić o załatwienie drobnej rzeczy.

— O cóż chodzi? — zapytał ślusarz.

Fryderyk wyciągnął z kieszeni kamizelki dwa sou, owinięte w papier.

— Panie — odparł, schowawszy papier do kieszeni — oto dwa wielkie sou, trzeba by je pociąć na piętnaście lub dwadzieścia kawałków.

— He, co pan mówisz? — zapytał rzemieślnik, sądząc że źle usłyszał.

— Proszę pana, ażebyś mi pan pociął te dwie sztuki miedziane na piętnaście lub dwadzieścia kawałków — odparł Fryderyk.

Ślusarz spojrzał nań ze zdziwieniem. Prawdopodobnie pomyślał, że ma przed sobą biednego wariata. Zresztą jego błada twarz, zwichrzone włosy i błędne spojrzenie, usprawiedliwiały to mniemanie.

— Zastanówmy się, mój przyjacielu — rzekł z uśmiechem — czy nie uważasz, że twoje sou są więcej warte całe, niż pocięte na kawałki.

— Może pan nie chce mi tego zrobić? — zapytał Fryderyk. — Wiem, że to praca, lecz bądź pan spokojny, zapłacę dobrze.

— Zależy mu na tym — pomyślał rzemieślnik. A głośno dodał: — Nic nie mam przeciw pańskiemu żądaniu, nie będzie to robota ani długa ani trudna. W każdym razie ma pan szczególny pomysł. Powiedz mi przecież, co zamyślasz zrobić z tymi pieniędzmi, pociętymi na kawałki?

— Nie, nie mogę tego powiedzieć — odparł Fryderyk głuchym głosem.

— Rzeczywiście nie pomyliłem się — rzekł w duchu ślusarz — to wariat. Trzeba go uspokoić.

Fryderyk zaczął tracić cierpliwość.

— No, daj mi pan twoje sou — rzekł rzemieślnik. Fryderyk podał mu pieniądze. Ślusarz wziął nożyce, młotek i zaczął z łatwością rozcinać metal.

— Chce pan dwadzieścia kawałków? — zapytał.

— Tak jest, dwadzieścia.

Wkrótce robota była skończona. Ślusarz wsypał wszystkie kawałki do ręki.

— Masz pan — rzekł z uśmiechem — może pan sprawdzić, czy liczba się zgadza.

— Nie potrzeba — odparł Fryderyk.

Włożywszy kawałki do papieru, którym były owinięte obie monety, dał ślusarzowi franka i odszedł.

— Niestety, toż to skończony wariat — mruknął rzemieślnik.

Fryderyk zmierzał szybko ku Paryżowi. Przybył na bulwar Saint-Martin i wstąpił do składu zbrojownika.

— Panie — rzekł człowiekowi, wychodzącemu naprzeciw — chcę kupić pistolet.

— Mamy po wszelkich cenach, od osiemnastu do dwustu i trzystu franków. Pan chce zapewne kupić rewolwer?

— Nie, panie, nie rewolwer, lecz zwykły podwójny pistolet.

— I owszem, proszę pana, posiadamy je na składzie. Przypatrz się im pan za szkłem i wybierz, który ci się spodoba. Jak pan widzi, mamy wcale ładny wybór pistoletów; wszystkie są z naszych najlepszych fabryk. Inne znowu sprowadzamy z Anglii i z Ameryki.

Fryderyk wybrał podwójny pistolet, nieco większy od zwyczajnego pistoletu kieszonkowego.

— Ile pan chce za tę broń? — zapytał.

— Dwadzieścia pięć franków.

Fryderyk wręczył właścicielowi magazynu żądane pieniądze, wsunął pistolet do kieszeni, uklonił się i wyszedł ze sklepu.

Z bulwaru Saint-Martin, skierował się na ulicę Tempie, gdzie kupił sto dwadzieścia pięć gramów prochu do broni i kilka kapiszonów.

Załatwiwszy wszystkie zakupy, przeszedł ulicę i dzielnicę Tempie i wrócił do siebie.

Wypróbował oba kurki pistoletu, położył go na stole razem z prochem i kapiszonami. Następnie policzył kawałki miedzi, pocięte przez ślusarza. Było ich dwadzieścia, mniej więcej równej wielkości.

Rozdzieliwszy je po dziesięć, podarł papier, którym były owinięte na cztery części.

Uczyniwszy to, włożył do luf pistoletu dwa silne naboje prochu. Następnie założył dwa kawałki papieru. Wreszcie wsypał do każdej lufy po dziesięć kawałków miedzi i zabił wszystko resztą papieru.

Pistolet był nabity aż do otworu.

Przyłożywszy broń do oka, widział w lufach błyszczące ziarenka prochu. Zadowolony z dzieła, założył kapiszony.

Nabijanie pistoletu zajęło mu dosyć dużo czasu. Pomimo tego nie zawahał się ani na chwilę. Jego straszliwe postanowienie było owocem długiego namysłu. Teraz kiedy powiedział: tak zrobię, nic nie mogło odwrócić go od zamiaru, był przygotowany na wszystko.

Przeznaczenie każdej istoty jest zapisane od wieków, przeznaczenie Fryderyka musiało się również spełnić.

Twarz jego pozostała posepna, w oczach lśniły chwilami złowrogie blaski, lecz z ust nie wyrwał się ani jeden jęk, ani jedna skarga. Z pozoru był spokojny. Wszystko, co robił, załatwiał wolno i spokojnie. Nie spieszył się, wiedząc, że nic go nie wstrzyma w drodze i że dojdzie do celu.

Wziął skrzypce. Nie zadając sobie trudu otwierania futerału, przerznął go nożem. Chwycił smyczek za koniec, oparł go na kolanie i przełamał na dwie części. Skrzypce położył na środku pokoju i podeptał je nogami. Szczątki wrzucił do kominka i zapalił ogień przy pomocy starego dziennika, leżącego na marmurowym stoliku. Stał przed kominkiem, patrząc na rozpalony ogień, jak gdyby odczuwał przyjemność, widząc struny wijące się wśród płomieni i syczące jak węże.

Kiedy na kominku nie pozostało nic prócz węgli i kilku niedopalonych szczątków, otworzył okno i oparłszy się na łokciu, przypatrywał się przez kilkanaście minut osobom przechodzącym ulicą.

Odszedł od okna, które zostawił otwarte i wyjął z komody przybory do pisania. Potem usiadł przy stole i po krótkim namyśle napisał, co następuje:

Pani

Są na świecie ludzie bardzo nieszczęśliwi, bardzo nędzni i bardzo godni litości. Zdaje się, że pozbawione wszelkich radości ofiary te przyszły na świat z przekleństwem Boga. Jednym z tych nieszczęśliwych, Pani, jestem ja, a może nawet najnędzniejszym pomiędzy wszystkimi przeklętymi.

Miałem w życiu kilka szczęśliwych dni, lecz jeżeli oczarowany złudzeniami, stworzyłem sam sobie chwilę rzeczywistego szczęścia, to było

ono tylko szyderstwem przeznaczenia, które chciało mi dać odczuć tym boleśniej męczarnie, które na mnie czekały.

Nie będę Ci Pani opowiadał mego życia, jest ono zbyt okropne, zresztą mnie samemu brakłoby do tego odwagi.

Miałem i ja sny i marzenia w życiu, zdawało mi się, że mogę osiągnąć wysokości, do których wzbijają się jedynie prawdziwe talenty i geniusze, lecz wstąpiłem na fałszywą drogę i zamiast wznieść się wysoko, runąłem w przepaść. Ona mnie pochłonęła i zostało mi tylko tyle sił, ażeby do Ciebie Pani zwrócić się z rozpaczliwą prośbą.

Pani, przypadek zrządził, że poznałaś moją córkę, moją drogą małą Żanetkę albo raczej anioł stróż, opiekujący się niewinnym dzieckiem, postawił je na Twojej drodze.

Polubiłaś Pani tę maleńką, którą dwoje nieszczęśliwych wydało na świat. Ach! Pozwól mi Pani wierzyć, że stało się to za zrządzeniem Opatrzności! Pozwól mi wierzyć, że zrozpaczony ojciec, który pisze do Ciebie, okupił swym bólem szczęście swego dziecka! Pozwól mi wierzyć, że Twoja życzliwość dla tego aniołka jest darem zesłanym jej z nieba i że ten dar będzie dla niej osłoną przed niebezpieczeństwami, które mogłyby ją w życiu spotykać.

Od wielu miesięcy otaczała ją Pani tkliwą opieką; przez dobrodziejstwa, które jej Pani wyświadczała, przez życzliwość, którą jej okazujesz, stała się Pani po części jej matką. Zostań, Pani jej opiekunką!

Chciała Pani adoptować Żanetkę, chciała ją Pani uznać za swe dziecko; ja o tak wiele prosić nie mogę. Błagam Cię tylko, Pani, nie opuszczaj jej, nie opuszczaj!

W tej chwili doznaję ulgi, bo słyszę słodki głos, głos wołający z góry: „Uspokój się, biedny ojczy, pani de Mesie stanie się opiekunką twej córki.”

Nie, nie, nie chcę wątpić o tym. ani na chwilę.

Przez liczne dobrodziejstwa, którymi Pani szafuje naokoło siebie, znam wspaniałomyślność i szlachetność Twojego serca. Usłyszałem głos z góry, uspokoilem się. Tak jest, dobra Pani z Roure, opiekująca się słabymi, pocieszająca zasmuconych i wspierająca nędzę ludzką, usłyszysz mój krzyk najwyższej trwogi i będziesz czuwała nad przyszłością biednej sieroty.

Może ją Pani wziąć, ja Ci ją daję. Ponieważ wpoisz w nią takie uczucia, jakie sama masz, będzie Ci wdzięczna i pokocha Cię jak matkę. Ja, Pani, proszę nieba o wszelkie dla Ciebie błogosławieństwa. Błagania moje będą

spełnione, jeżeli wielka potęga, rządząca światem raczy zesłać tę łaskę nieszczęśliwemu, przeznaczonemu na śmierć.

Może Pani być spokojna; nikt nigdy nie upomni się o Zanetkę. Gdy Pani przeczyta te słowa, będzie już ona sierotą i tylko Ty będziesz jej strzegła i broniła przed nieszczęściem, które dotknęło jej ojca.

Racz Pani przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku.

Fryderyk Boissier Po tym pierwszym liście napisał drugi, zawierający te słowa:

Państwo Dorillot

Gdym Was wczoraj opuszczał, zmusiliście mnie do obiecania Wam, że podczas najbliższego pobytu w Bouchot spędzę u Was kilka dni. Nie powinienem był obiecywać Wam tego, oszukałem Was. A jednak nie mogłem Wam wtedy powiedzieć, że odwiedzając

Was w Bouchot, żegnam Was i małą Żanetkę po raz ostatni w moim życiu.

Od wczoraj powziąłem postanowienie zakończenia mego opłakanego żywota. Tak jest, życie, tak piękne dla wielu innych, jest dla mnie ciężarem zbyt trudnym do dźwigania, bo mnie ono przygniata.

Wiem dobrze, że czyn, który zamierzam spełnić, jest zbrodniczy, przerażający; lecz jakaś siła, której oprzeć się nie mogę, pociąga mnie, wołając rozkazująco: „Idź!” Żadna moc ludzka nie może przeszkodzić temu, co musi się stać.

Ach! Nie śpieszcie się z wydaniem potępienia. Gdybyście wiedzieli wszystko. Lecz nie, pragnę zamilknąć, nie powinienem Wam oznajmiać straszliwej prawdy. Jesteście dobrzy, oboje żałujecie mnie! Wierzcie mi, jestem rzeczywiście godny pożałowania. Bóg jeden wie tylko, ile mnie kosztuje takie rozłączenie się z moim dzieckiem! A pomimo tego nie cofam się przed myślą, że przeleję krew na tę niewinną istotę.

Nie zobaczycie mnie więcej; ucałowałem po raz ostatni moją ukochaną córeczkę.

Płaczę, łzy moje spadają na papier, ręka mi drży, muszę zatrzymać się na chwilę dla otarcia lez.

Do tego listu załączam drugi list, pisany do Pani de Mesie; proszę Was, abyście go jej wręczyli jak najprędzej. Nie mówię Wam, co list zawiera, Pani de Mesie sama Wam o tym powie.

Dziękuję Wam raz jeszcze za troskliwość, którą otaczacie moje dziecko. Kochajcie ją zawsze, ucałujcie ją za mnie oboje.

Do widzenia! Do widzenia!
Pomyślcie niekiedy o nieszczęśliwym
Fryderyku Boissier

Kończąc ten list czuł się bardzo wzruszony, lecz teraz podtrzymywała go wielka siła woli. Zdołał szybko opanować swe nerwy.

Wtedy złożył oba listy. Pierwszy włożył do koperty z napisem: „Pani de Mesie, w zamku Roure, w Nièvre”. Następnie, wsunął oba listy do wielkiej koperty, na której napisał: „Pan Drollot w Bouchot, gmina Pouilly-sur-Laire, Nièvre”. Po czym położył kopertę koło nabitego pistoletu.

Resztę dnia spędził zamknięty w swoim pokoju, przemierzając go wzdłuż i wszerz gorączkowymi krokami. Ilekroć zaś usiadł lub zatrzymał się na środku pokoju, zatapiał się w ponurych myślach.

Kiedy nadeszła noc, zszedł na dół do sali. Był głodny. W jakimkolwiek położeniu nasz umysł się znajduje, ciało ma swoje wymagania, swoje potrzeby; najpierw zjadł rosół, następnie kazał sobie podać mięso, jarzyny, wreszcie deser. Wypił całą butelkę białego wina. Na zakończenie, czego nigdy dawniej nie robił, wypił czarną kawę.

Dla niego była to prawdziwa uczta. Gospodyni zauważyła jego apetyt, raczyła uprzejmie zwrócić na to uwagę. Możemy być pewni, że grubej jejmości bardzo się podobało, gdy ktoś u niej wydawał pieniądze.

Po obiedzie Fryderyk wrócił do swego pokoju. Przez całą godzinę stał w oknie, podniósłszy głowę do góry, jak gdyby chciał policzyć gwiazdy.

Usłyszawszy że bije dziesiąta, zamknął okno i położył się do łóżka, mówiąc cicho: — Do jutra!

* * *

Obudził się o godzinie siódmej.

Trochę za wcześnie — pomyślał. Ubrał się z daleko większą starannością, niż poprzedniego dnia, po czym, usiadłszy na łóżku, czekał do godziny ósmej. Wtedy szepnął: — Już czas.

Wsunąwszy pistolet do kieszeni płaszcza, wziął kopertę z dwoma listami i wyszedł z pokoju, zostawiając klucz w zamku.

Przylepiwszy na liście markę pocztową, wrzucił go do najbliższej skrzynki pocztowej.

Dziś wieczór wyślą go pociągiem — rzekł w duchu — lecz do Bouchot przybędzie dopiero jutro rano, w samą porę.

Wkrótce znalazł się na zewnętrznych bulwarach. Szedł nimi aż do placu Moncey, gdzie stoi posąg z brązu, wzniesiony na cześć marszałka, księcia Conegliano, jednego ze sławnych obrońców Paryża przeciw sprzymierzonym.

Przeszedł szybko ulicę Havre i skierował się na ulicę Ferme-des-Mathurins.

Znalazłszy się na niej, zwolnił kroku. Prawdopodobnie ułożywszy plan cały z góry, nabrał przekonania, że żona jego, jak wiele osób jej podobnych, zmieniła nazwisko.

Naprzeciw bramy domu, w którym mieszkała Emelina, był mały sklepik korzenny.

— Tam znają ją z pewnością — pomyślał.

Wszedł do sklepu. Za ladą siedziała młoda osiemnastoletnia dziewczyna. Sądząc, że ma do czynienia z kupującym, powstała na widok wchodzącego.

— Pani — rzekł Fryderyk, oddawszy ukłon — bądź pani łaskawa udzielić mi kilku wiadomości. Bardzo byłbym wdzięczny...

— I owszem, proszę pana, jeżeli tylko będę mogła — odparła uprzejmie dziewczyna.

— Znasz pani zapewne młodą damę, mieszkającą na pierwszym piętrze przeciwległego domu.

— Znam ją bardzo dobrze, proszę pana, to nasza klientka.

— W takim razie, czy może mi pani powiedzieć, jak się ona nazywa?

— Pani de Narme.

— Ta pani często tutaj przychodzi?

— Nie ona, proszę pana, ale jej służący.

— Ach! Więc ma służących?

— Troje: kucharkę, stangreta i pokojówkę.

— A zatem to osoba bogata?

— Co do tego, proszę pana, nic nie wiem.

— Pewnie często wychodzi z domu?

— Przeciwnie, bardzo rzadko, zwłaszcza od dwóch czy trzech miesięcy.

— Więc sądzi pani, że w tej chwili znajduje się u siebie?

— Z pewnością. Przed chwilą widziałam, że stangret i kucharka wyszli razem z domu. To mąż i żona. Idą prawdopodobnie odwiedzić swoje dziecko, które zostawili u mamki w Argenteuil.

Fryderyk poczuł gwałtowne wzruszenie.

Biedacy, idą odwiedzić dziecko — pomyślał — a ona, nędznica, opuściła swoje!

Podziękowawszy młodej dziewczynie, wyszedł spiesznie ze sklepu. Chwilę zatrzymał się na chodniku, ażeby opanować wzruszenie, które nim owładnęło.

— To moje ostatnie szlachetne uczucie — szepnął. Błyskawica załśniła mu w oku i przeszedł przez ulicę, mówiąc:

— Teraz muszę dojść aż do niej.

Gdyby stróżka znajdowała się w korytarzu, byłoby mu trudno wejść na schody, żeby go nie spostrzegła; wiedział o tym i ten przypadek przewidział. Wkroczył śmiało do bramy, gdzie stróżka była w istocie.

— Dzień dobry pani — odezwał się — jak się pani miewa? Zagadnięta poznała natychmiast skrzypka.

— Patrzcie! To pan — rzekła — a gdzie pańskie skrzypce?

— Nie gram dzisiaj — odparł.

— Ach! Nie gra pan. Wie pan co, że grasz cudownie na skrzypcach; wielu lokatorów mówiło mi o panu, zwłaszcza jedna stara dama z trzeciego piętra która, jak mówią, była dawniej wielką artystką, śpiewaczką w operze. Wszyscy mi powiedzieli, że powinnam pana wpuszczać na podwórze, ilekroć pan tylko przyjdzie. Koniec końców, miałeś pan tu powodzenie i zapłacono ci nieźle. Ostatnim razem zniknąłeś tak szybko, że nie miałeś nawet czasu pozbierać wszystkich pieniędzy, które ci z okien rzucano. Masz pan, zebrałam je, aby ci je oddać; znalazłam pięć sztuk po dziesięć sou i sześćdziesiąt centymów drobnymi. Chociaż pan sam ich nie zebrałeś, niemniej jednak są one pańską własnością.

— Nie ma się o co troszczyć, moja pani, wezmę je za chwilę.

— A zatem pan powróci?

— Tak jest. Idę tylko do jednej pani, mieszkającej w tym domu.

— Do pani, tu mieszkającej? — powtórzyła kobieta ze zdziwieniem.

— Polecono mi załatwić u niej pewien interes — dorzucił szybko młody człowiek.

— Aha! U której to?

— U pani de Narme. Powiedziano mi, że mieszka na pierwszym piętrze.

— Tak jest. Pan zna panią de Narme?

— Znam ją, ale już dawno jej nie widziałem.

— Poznał ją pan w Paryżu?

— Nie, jesteśmy oboje z Tuluzy.

— W takim razie zna pan jej rodzinę?

— Tak jest, zlecenie, które mnie tutaj przywiodło, otrzymałem od jednego z najbliższych krewnych.

— No tak.

— Pani de Narme jest u siebie, nieprawdaż? Przyszedłem umyślnie tak wcześniej, aby mieć pewność, że ją zastanę.

Stróżka rzuciła spojrzenie na zegar, wiszący na ścianie.

— Za kilka minut dziesiąta — rzekła — pani de Narme prawdopodobnie już wstała.

— A więc mogę iść na górę?

— Trafi pan z pewnością, bo na korytarzu są tylko jedne drzwi. Pamiętaj pan nie odchodzić bez wstąpienia do mnie. Chciałabym jeszcze prosić pana o drobną przysługę, na której mi bardzo zależy, zresztą mam u siebie pańskie pieniądze.

— Nie obawiaj się pani — odparł Fryderyk dziwnym głosem — dzisiaj zabawię tu z pewnością dłużej niż ostatnim razem.

I zaczął wchodzić na schody. Stróżka zawołała.

— A zatem do widzenia!

Zostawiając ją bez odpowiedzi, przyspieszył kroku. Na korytarzu pierwszego piętra zatrzymał się przed wysokimi i szerokimi drzwiami. Zadzwoił i czekał.

— Może i on tam jest! — pomyślał.

Za chwilę usłyszał wewnątrz mieszkania kroki i prawie równocześnie drzwi się otworzyły. Wszedłszy do pokoju znalazł się oko w oko z

pokojówką swej żony, patrzącą na niego ze zdziwieniem, w którym przebijała nieufność.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała pogardliwie.

— Chcę widzieć się z panią de Narme.

— Pani nie przyjmuje.

— Mam jej coś do powiedzenia.

— Jeżeli pan chce ją o coś prosić, to może pan do niej napisać. Fryderyk zmierzył pokojówkę spojrzeniem ostrym i przenikliwym.

— Czy to pani de Narme wydała rozkaz odsyłania w ten sposób gości, przychodzących do niej? — zapytał.

— Tak, to ona.

— W takim razie — odparł — dzisiaj zrobi wyjątek. Proszę pannę — ciągnął dalej rozkazująco — aby poszła oznajmić swej pani, że ktoś koniecznie chce się z nią widzieć.

— Ależ panie — wyjąkała przestraszona pokojówka.

— Proszę iść — przerwał Fryderyk niecierpliwie.

— Nie — odparła — nie wejdzie pan, ja pana nie znam i nie wiem, kim jesteś, idź pan, idź!

Fryderyk zwrócił się ku drzwiom, lecz aby je zamknąć. Pokojówka nie spostrzegła, że obróciwszy klucz w zamku, włożył go do kieszeni.

— Co? — odezwał się gwałtownie — panna jeszcze tu jest? W takim razie pani de Narme ode mnie dowie się o moich odwiedzinach. — Postąpił kilka kroków naprzód. Pokojówka zagroziła mu drogę, wołając:

— Pan nie przejdzie! Nie przejdzie!

— Ta dziewczyna zwariowała — mruknął głucho. Chwycił ją za ramię i odepchnął do tyłu.

Tym razem przerażona pokojówka rzuciła się w głąb mieszkania, krzycząc:

— Pani, pani, pani!

Przejście było wolne. Fryderyk przeszedł przez przedpokój, salę jadalną i znalazł się w salonie, prawie jednocześnie z pokojówką. Nie zauważył ani zbytku, ani bogactwa.

Na krzyki służącej, przeciwległe drzwi otworzyły się nagle i pani de Narme, przestraszona, stanęła na progu salonu.

Ubrana była w peniuar z różowego jedwabiu, którego rękawy krótkie i szerokie okrywały powyżej łokcia jej ramiona, okrągłe i białe jak alabaster. Pantofelki również z różowego jedwabiu wiązały jej małe nóżki. Szyja była

odsłonięta, a prześliczne czarne włosy spadały w splotach na ramiona. W tym rannym negliżu, wyglądała czarująco.

Spojrzenie jej spotkało się z błyskawicą w oczach Fryderyka. Poznała swego męża. Zbladła jak ściana i z krzykiem przerażenia odskoczyła w tył.

Nie miała czasu zamknąć za sobą drzwi. W dwóch susach Fryderyk znalazł się przy niej. Oszałała z trwogi i drżąc jak w febrze, cofnęła się przed nim. Lecz jakby pod wpływem przyciągającej siły, oczy jej były przykute do straszliwej twarzy męża. On, skrzyżowawszy ręce na piersiach, wpił w nią ogniste spojrzenie i miażdżył nim nieszczęśliwą.

Przez chwilę patrzyli na siebie: ona oparta o mebel, on stojąc na środku pokoju. Można było usłyszeć muchę, przelatującą w powietrzu. To głębokie milczenie miało w sobie coś zatrważającego.

Oniemiała z przestachu pokojówka weszła, trzęsąc się, do pokoju swej pani. Przytuliwszy się do ściany śledziła z niepokojem poruszenia nieznanego.

Fryderyk zrobił dwa kroki naprzód.

— Pani — rzekł surowym głosem do Emeliny — mamy ze sobą do pomówienia; to, co pani powiem, nikt oprócz ciebie słyszeć nie powinien, bądź więc łaskawa odesłać pokojówkę.

Emelina stała nieruchomo.

— Pani — odezwał się Fryderyk rozkazująco — chcę, abyś kazała tej dziewczynie natychmiast się oddalić.

Tym razem Emelina odwróciła się do pokojówki i rzekła jej głosem ledwie dosłyszalnym:

— Zostaw nas.

Służąca nie życzyła sobie prawdopodobnie niczego innego, gdyż wyszła szybko z pokoju.

Fryderyk zamknął drzwi. Zauważył w nich zasuwkę i popchnął ją silnie. Potem powrócił do żony, która śledziła z obawą każde jego poruszenie.

— Teraz — rzekł — jesteśmy sami, możemy rozmawiać, będąc pewni, że nikt, tak przynajmniej sądzę, nie przyjdzie nam przeszkadzać.

Młoda kobieta zdołała opanować trwogę. Wyprostowała się gwałtownie w przekonaniu, że nadrabiając odwagę, porafi zaimponować swemu mężowi.

— Może się pan oddalić — oświadczyła sucho — nie mam panu nic do powiedzenia i nic ci nie powiem.

Szczególny uśmiech przemknął po ustach Fryderyka.

— Rzeczywiście — odparł — nic mi pani nie ma do powiedzenia, bo nawet w przeciwnym razie nie dowiedziałbym się nic nowego. To, co pani zrobiła, jest mi wiadome, czym zaś pani jesteś, o tym nie wątpiłem nigdy ani chwili. Te meble, pokrycia, dywany, obrazy, brązy, mówią za ciebie; mówią mi o twoim wstydzie, mówią mi o twojej nikczemności! Ach — ciągnął dalej z gryzącym szyderstwem — nie za meble z ulicy Montholon, które sprzedałaś, nie za moje skrzypce i mój fortepian, które również sprzedałaś, kupiłaś sobie to wspaniałe umeblowanie. Sądzę także, że nie za oszczędności, które pani zebrałaś, nie płacąc za karmienie twego dziecka, pozwoliłaś sobie na utrzymanie trojga ludzi, powozu i koni. Prawda moja pani, zupełna prawda, że nie masz mi nic do powiedzenia, nawet tego, ile kosztuje cię ten zbytek. Wiem o kobietach, sprzedających drogo swoje pocałunki.

Emelina zadrżała.

Fryderyk ciągnął, dalej nie zmieniając głosu:

— Tak więc poznałaś mnie pani natychmiast. Widocznie więc boleści i nieszczęścia, które na mnie się zwały i długie miesiące nędzy, nie zgięły jeszcze mego ciała i nie pokurczyły rysów. O! Zło, które mi pani wyrządziłaś, nie odbije się na mej twarzy, o nie! Ono leży tam, tam, głęboko w sercu i w duszy! Zewnętrzna powłoka jest jeszcze silna i nie uszkodzona, tylko wewnątrz wszystko naraz pękło i została ruina!

— A właściwie, po co pan tu przyszedłeś? — przerwała Emelina — czego pan chce ode mnie?

— Czego chcę od ciebie? Dowiesz się o tym niebawem — odparł głucho. I ciągnął dalej: — Pani mi nie ma nic do powiedzenia, a więc, przyznam się szczerze, byłem jeszcze dość głupi, aby sądzić, że zapytasz się pani o swoje dziecko. Bo przecież to twoja córka, ty ją przecież na świat wydałaś. I widzisz pani, pomimo tego, czym pani jesteś, nie wątpię, że dziecko to jest również moim dzieckiem. Tak jest, naprawdę, przychodząc tutaj, mówiłem sobie w duchu, że pani zapyta o swoje dziecko. Byłem głupi, nieprawdaż? Ach! tak, trzeba bardzo mało znać kobietę, ażeby nie wiedzieć, że gdy uchybi ona jednemu obowiązkowi, to zdradza je potem wszystkie po kolei. Kobieta bez serca i wstydu, spodlona żona, nie mogłaby mieć serca matki. Powinienem był to przewidzieć. Opuściła pani swoje dziecko i zapomniała o nim, tak być musiało. Zrozumiałaś bez wątpienia, że nie byłaś godna myśleć nawet o nim!

Pod wpływem tych strasznych słów Emelina spuściła głowę. Fryderyk mówił:

— Jeżeli matka opuszcza swoje dziecko, nie ma w tym przecież nic zadziwiającego. Wiele innych matek, wiele innych potworów ludzkich wyrzuca je na ulicę, katuje bez miłosierdzia, lub nawet zabija. Dla mnie, pani, pierwsze są godne drugich; jesteś pani jednym z tych potworów! Zapytywałam mnie przed chwilą, z naiwnością, której już u ciebie nie podejrzewałam, po co tu przybyłam; po pierwsze, ażeby ci to wszystko powiedzieć.

— A teraz? — przemówiła, podnosząc głowę.

— Teraz, jeżeli pani pozwoli, pomówimy poważnie o rachunku, który mamy do spłacenia między sobą.

— Rozumiem — odparła — jest pan biedny, potrzebujesz... pieniędzy. Powiedz mi pan, ile żadasz, a jutro wszystko otrzymasz.

Błyskawica zapaliła się w oczach Fryderyka, lecz zgasła natychmiast. Zaczął się śmiać nerwowo, przeraźliwie, przejmując dreszczem Emelinę.

RS

* * *

Po wybuchu śmiechu męża nastąpiło ponure milczenie, Emelina patrzyła na niego ze wzrastającym niepokojem, zapytując się w duchu, czy nie" ma przed sobą obłąkanego. Rzuciła wokół siebie szybkie spojrzenie, jakby szukając możliwości ucieczki. Lecz pokój nie miał innych otworów oprócz okna i drzwi, przed którymi stał Fryderyk.

Ten zaczął znowu mówić:

— Jestem wzruszony, tak jest, wzruszony aż do głębi duszy zainteresowaniem, które mi pani raczysz okazywać. Mógłbym zwrócić twoją uwagę na to, że myślisz nieco za późno o moim ubóstwie i potrzebie pieniędzy. Tak jest, trochę za późno, bo już przeszło od czterech miesięcy miałbym czas zdechnąć z nędzy jak parszywy pies, w jakimś ciemnym kącie lub wstrętnej jamie. Ale na co zda się mówić pani o takich rzeczach? — ciągnął dalej, potrząsając głową — i tak mnie nie zrozumiesz. Lepiej powiem pani, że nie spodziewałem się tej nowej niespodzianki, której mi dotąd oszczędzałaś. To pewne, że jesteś nędzna, podła, nikczemna; lecz nie sądziłem nigdy, że możesz być dość bezwstydną, ażeby mi zaproponować cynicznie, bym zanurzył wraz z tobą ręce w pieniądzech twego kochanka! Ach! Brakowało jeszcze tylko tej jedynej obelgi. Ostatnia ona, lecz nie najmniej krwawa! Pani uwieńczyłaś swoje dzieło! Widzi pani, mam więcej wstrętu niż gniewu! Bogu dzięki, nie jestem podobny do ciebie; to dobre dla takich jak ty dotykać złota, które parzy ręce, wypala oczy i jest zapłatą za hańbę! Lecz słuchaj mnie pani; dalej zależy mi na tym, aby ci wszystko powiedzieć, nic przed tobą nie ukryć. Jesteś kobietą zgubioną, jedną z tych istot, godnych pogardy, których imienia ludzie uczciwi nie śmiają nawet wymówić, ale pomimo tego kocham cię jeszcze, tak, kochałem cię zawsze. I to ta miłość, którą żywiłem do ciebie, która żyje jeszcze w głębi mego zranionego serca, dodała mi odwagi, ażebym przyszedł dzisiaj żądać od ciebie...

— Nigdy! — zawołała, przerywając mu — nie kocham już pana! Zrazu spojrział na nią ze zdziwieniem, lecz nagle zrozumiał i wzruszył pogardliwie ramionami.

— Ach proszę — odezwał się — cóż pani sobie znowu wyobraża? Co? Mogłabyś sądzić, że przychodzę zmusić cię do opuszczenia twego kochanka i dzielenia nadal ze mną mego ubóstwa i mej nędzy? Lecz nieszczęśliwa istoto, na świecie nie istnieje człowiek z sercem, szanujący

siebie samego, który by zechciał podnieść cię z błota, w które sama zabrnęłaś! Ach! Nie potrzebowałaś pani wołać tak głośno: „Nie kocham już pana!” Mogłaś łatwo powiedzieć, że nie kochałaś mnie nigdy... Lecz kogóż pani w życiu kochała? Nikogo. Ani swych rodziców, ani swego dziecka! A teraz kogo kochasz? Kochasz złoto, które twój kochanek, pan Karol Dumey, rzuca ci pod nogi, zbytek, który cię upaja, jedwab, który cię okrywa!

— Lecz pytam się raz jeszcze, czego pan chce ode mnie? — zawołała.

Dwie błyskawice zamigotały w oczach Fryderyka.

— Pani — odparł drżącym głosem, przybliżając się do niej — przychodzę cię zapytać, co zrobiłaś z moim honorem?

Przerażona pałającym spojrzeniem swego męża, Emelina cofnęła się kilka kroków.

— Tak, co zrobiłaś z moim honorem? — powtórzył posepnie — co z nim zrobiłaś? Odpowiedz pani, czy możesz mi go oddać? A moje złamane serce? A moje pogrzebane szczęście? A moje istnienie, które podeptałaś nogami? Złudzenia, które straciłem na zawsze? Talent, który zniknął? No, powiedz pani, czy możesz mi oddać to wszystko? Nie, prawda? A więc, oto rachunek, który musimy spłacić między sobą...

Emelina czuła, że przerażenie znowu opanowało jej członki. Stała nieruchoma, przygwożdżona, spiorunowana płomienistym wzrokiem swego męża.

Po chwili milczenia Fryderyk ciągnął dalej:

— Mogłem iść do domu twego kochanka, nie zrobiłem tego. Bez wątpienia, że to nędznik, podły... Ale pominawszy wszystko inne, jest on w swojej roli. Mając pieniądze, kupował; byłaś pani do sprzedania, kupił cię... Nie on tu zawinił, lecz ty!

Głowa Emeliny opadła jeszcze niżej.

— Czy przypominasz sobie pani, co ci niegdyś powiedziałem? — ciągnął dalej Fryderyk — jeżeli zapomniałaś o tym, jak o tylu innych rzeczach, mogę ci to przypomnieć. Powiedziałem ci: „Emeli-no, gdybyś mnie zdradziła, zabiłbym cię!”

Drgnęła i spojrzała nań z przestraczem.

— Pani — mówił Fryderyk ponuro — oszukałaś mnie, zdradziłaś, zbezczęściłaś! Postąpiłaś jeszcze nikczemniej, opuściłaś swoje dziecko i oddałaś się jak ulicznica! A więc trzeba za to wszystko zapłacić. — Po długim namyśle dodał z przerażającym spojrzeniem — oto co

postanowiłem: musisz zginąć. Wierniejszy od ciebie, chcę dotrzymać danej obietnicy: zabiję cię.

Emelina oszalała z trwogi, wydała chrapliwy okrzyk i rzuciła się do okna, chcąc wołać o pomoc. Lecz szybki jak błyskawica Fryderyk skoczył do niej, chwycił ją za ramię i popchnął gwałtownie w głąb pokoju.

Chciała krzyczeć, wołać, przerażenie obezwładniło jej język; jakiś charkot wydobył się ze ściśniętego gardła.

— Nie powiedziałem pani wszystkiego — rzekł Fryderyk — słuchaj jeszcze. Nie szukałem ciebie, sądziłem, byłem przekonany, że uciekłaś daleko, bardzo daleko, aby ukryć swą hańbę. Za pomocą pogardy, którą mam dla pani, miałem nadzieję zapomnieć o tobie; tak jest, gdybym o tobie zapomniał, byłbym cię zostawił w błocie, w którym się nurzasz z taką lubością, lecz przeznaczenie rozstrzygło inaczej. Słuchaj tego, pani, słuchaj dobrze: wychodząc z więzienia, do którego mnie popchnęłaś, do którego mi otworzyłaś drzwi, znalazłem się bez środków do życia. Pomimo tego, nie chcąc zginąć z głodu, lub rzucić się do Sekwany, jak chciałem uczynić pierwotnie, musiałem zacząć zarabiać w jakikolwiek sposób. Co zrobić? Gdzie pójść? Nieszczęśliwy, wychodzący z więzienia jest przeklętym pariasem... Wszyscy go unikają, wszyscy patrzą nań z ukosa, odpychają go, uciekają przed nim jak przed zapowietrzonym. Byłem więc dość nędznym i dość zrozpaczonym człowiekiem, ażeby skończyć wreszcie z tym życiem, które było dla mnie ciężarem; ale chciałem żyć dla mojej córki, dla naszego dziecka! Nigdzie nie można istnieć bez pieniędzy: wie pani, co zrobiłem, aby je zdobyć? Prawdopodobnie na twoje zlecenie sprzedano skrzypce; kupiłem inne i zostałem ulicznym muzykantem. Wychodziłem rano, udawałem się na podwórze jakiegoś domu i ze śmiercią w duszy, a łzami w oczach z piersią zranioną i krwawiącym się sercem, grałem na skrzypcach, ażeby otrzymać jałmużnę z rąk dobrych ludzi. Stawszy się żebrakiem, przyjmowałem jałmużnę. Wtedy myślałem o mojej córce, lecz myślałem także i o tobie. I na głowie czułem wieniec z cierni! Zarabiałem dosyć w tym bolesnym i smutnym rzemiośle. Nie tylko że jadłem chleb, ale nadto mogłem dać sześćset franków mamce mego dziecka. Widzisz pani, w twoim życiu spełniłaś tylko jeden piękny czyn i dziękuję ci za niego: zapomniałaś, że winna byłaś mamce twej córki po pięćdziesiąt franków za każdy miesiąc. Nie niecierpliw się pani, wkrótce skończę. Teraz opowiadam dalej: przed trzema dniami jako żebrak wstąpiłem na dziedziniec tego domu i wyciągnąwszy skrzypce spod ramienia, zacząłem

grać, czekając na datki litościwych osób. Skończyłem już grać, gdy nagle jedno z okien pierwszego piętra otworzyło się. Spostrzegłem w nim najpierw rękę, potem twarz kobiety. Poznałem tę kobietę, ty nią byłaś, pani! Widzisz pani, nie szukałem ciebie wcale;

tak chciało przeznaczenie. Ręka twoja rzuciła pod moje nogi cztery sou, owinięte w papier, podniosłem je z ziemi i oddaliłem się szybko. A teraz powiem ci pani, jaki użytek zrobiłem z twej jałmużny. Po pierwsze, pocałem obie sztuki na części, na dwadzieścia kawałków, po dziesięć z każdej. Może pani zapyta, dlaczego to uczyniłem? Zaraz się o tym dowiesz. Wyjął z kieszeni pistolet.

Na widok broni Emelina wydała przeraźliwy krzyk i odskoczyła w tył.

— Widzi pani — odezwał się Fryderyk. — To pistolet. Pistolet podwójny — mówił wolno — nabiłem go twymi pieniędzmi, pociętymi w kawałki, papier posłużył mi do zatkania otworów. Dziesięć kawałków jest po jednej stronie, dziesięć po drugiej, policzyłem je dobrze. O! Ja jestem wzorowym mężem, nie chcę skrzywdzić mej żony. Dwa sou dla jednego, dwa dla drugiego, podział równy. Pierwszy strzał dla ciebie, drugi dla mnie. — Z oczami błyszczącymi gorączkowo wyprostował się w całej swej postaci. Pani — przemówił straszliwym głosem — umrzemy razem!

Słowa te zadźwięczały w uszach Emeliny jak odgłos trąby sądu ostatecznego.

— Nie, nie! — krzyknęła przeraźliwie — nie zrobisz tego!

— Umrzemy razem! — powtórzył Fryderyk chrapliwie.

— Ależ to zbrodnia, zbrodnia!

— Jestem twoim mężem, ty jesteś zgubiona, mam prawo cię zabić.

— Nie, nie, to morderstwo!

— To kara!

— Jesteś mordercą, podłym mordercą!

— Milcz! Jestem sędzią!

Podniósł pistolet i zbliżał się do niej.

W tej chwili Emelina była całkiem oszalała z przerażenia.

— Nie, nie, nie zabijaj mnie. Łaski, łaski! — błagała ze złożonymi rękami.

— Jesteśmy oboje przeklęci — odpowiedział głucho — nie ma łaski dla przeklętych.

Załamawszy ręce, aż zatrzeszczały w stawach, z błagalnym spojrzeniem upadła na kolana.

— Ja nie chcę umrzeć! — krzyczała rozpaczliwie. — Łaski! Łaski! Weź mnie ze sobą, zrobię wszystko, co zechcesz!

Rzucił jej spojrzenie pełne pogardy i wstrętu.

— Będę kochała moje dziecko! — zaczęła.

— Za późno — odparł zimno — nasza córka nie należy już do nas, darowałem ją szlachetnym ludziom.

— Żałuję!

— Tym lepiej dla ciebie, może ci Bóg przebaczy!

— Litości, litości!

— Nie mam już litości, trzeba umrzeć! Była to okropna chwila.

Nagle Emelina podbiegła do okna, wydając z siebie jakiś niehumaniczny krzyk.

— Do mnie, do mnie, na pomoc! — krzyknęła. Fryderyk dał ognia.

Runęła na wznak, z rękami rozkrzyżowanymi, ugodzona kulą, z ogromnym otworem na środku czoła. Strzał nie chybił.

Fryderyk włożył pistolet do ust. Dał się słyszeć drugi wystrzał. Mąż upadł obok żony z otwartą czaszką. Dwa nieruchome ciała leżały obok siebie na dywanie. Dokoła panowała cisza.

* * *

Pokojówka, posłuszna swej pani, wyszła z pokoju, zadając sobie w duchu pytanie, kim jest ten nieznajomy, wydający w domu rozkazy i zachowujący się nie jak obcy, lecz jak gospodarz.

Ciekawa, jak większa część panien służących, pozostała w salonie, ażeby podglądać i podsłuchać ciekawą scenę, która miała się niebawem rozegrać. Przytknąwszy ucho do dziurki od klucza i wstrzymawszy oddech, słuchała. Dowiedziała się wkrótce, że ten człowiek tak nędznie odziany, z bladą twarzą i ponurym spojrzeniem, był mężem jej pani. Nie było to dla niej niespodzianką. Wiedziała od dawna, że osobę, która nazywała się panią de Narme, utrzymywał pan Karol Dumey; dotychczas nie wiedziała tylko, że pani de Narme ma męża i dziecko.

Odkrycie tej tajemnicy było dla niej bardzo cenne i może układała już w myśli, w jaki sposób zużytkuje na swą korzyść tak szczęśliwą sposobność. Przybliżywszy się jeszcze bardziej do drzwi, słuchała ze wzrastającym zajęciem.

Kiedy głos męża stał się groźny i gdy usłyszała, że zamierza zabić swą żonę, przestraszyła się. Pomimo tego nie ruszyła się z miejsca. Zależało jej widocznie na usłyszeniu tego, co miało nastąpić.

Usłyszała głos swej pani błagający i proszący o łaskę. Stała wciąż nieruchoma. Jej nieruchomość była może jednym ze skutków, jakie pociąga za sobą gwałtowne wzruszenie. Serce jej biło jak młotem, oddychała szybko, a wielkie krople potu perliły się na czole.

Kiedy jednak Emelina rzuciła rozpaczliwy krzyk „Do mnie, do mnie, na pomoc!” wyprostowała się jak na sprężynach, z oczami pełnymi przerażenia.

Na odgłos wystrzałów, następujących jeden po drugim, prawie oszalała z trwogi.

Rzuciła się do przyległego pokoju, wydając przeraźliwe krzyki. Znalazszy się przy wejściowych drzwiach, chwyciła za klamkę. Nie mogła ich otworzyć. Wiemy już dlaczego.

Wtedy, ciągle krzycząc, otworzyła okno i zaczęła wołać z całych sił na pomoc, machając w powietrzu rękami.

Zwabieni dwoma wystrzałami, odźwierna, wielu lokatorów domu, a nawet osoby z ulicy, wszyscy byli już na schodach.

Pokojówka usłyszała dźwięk dzwonka i kołatanie do drzwi.

— Otwórzcie, otwórzcie! — wołano.

— Nie mogę — odpowiedziała — nie mam klucza, nie wiem, gdzie jest. Zaczęła znowu jęczeć i płakać spazmatycznie. Na schodach można było usłyszeć, jak wołała:

— O! Mój Boże! O mój Boże! Co za nieszczęście! To okropne! Zabił ją, zabił się także! Co za nieszczęście! Co za nieszczęście!

Odźwierna i inne osoby nie mogły wątpić dłużej o tym, co zaszło w mieszkaniu. W domu popełniono straszliwe morderstwo.

Jakiś człowiek pobiegł po ślusarza, drugi pośpieszył zawiadomić komisarza policji. Tymczasem wszyscy lokatorowie domu zeszli na pierwsze piętro, schody były pełne ciekawych. Ogromny tłum zgromadził się na ulicy przed domem, do którego dwóch żandarmów broniło wejścia. W mieszkaniu pokojówka biadała coraz głośniej.

Nadszedł ślusarz. Przeszło trzydzieści osób rzuciło się w głąb mieszkania. Pokojówka poprowadziła ich do pokoju swej pani. Ci, co przybyli pierwsi, spróbowali otworzyć drzwi, lecz te były także zamknięte na klucz. Trzeba było ustąpić miejsca ślusarzowi.

Wreszcie zniknęła ta ostatnia przeszkoda, stojąca na drodze ciekawemu tłumowi.

Widzowie ujrzeli przed sobą dwa krwawe trupy. Widok był tak straszliwy, że nawet z najobojętniejszych piersi wyrwał się okrzyk przerażenia i zgrozy. Po tym okrzyku nastąpiło ponure milczenie.

Mężczyźni odkryli głowy. Kobiety zasłoniły twarze rękami.

Na ulicy, młoda kobieta, bardzo wykwintnie ubrana, utorowała sobie przejście przez tłum i stanęła u wejścia do domu. Jeden z żandarmów zagroził jej wejście, mówiąc:

— Nie wolno wchodzić...

— Dlaczego, mój panie?

— Popełniono przed chwilą zbrodnię, morderstwo, czekamy na pana komisarza policji.

Młoda osoba bardzo zbladła.

— Zbrodnia, morderstwo? — powtórzyła — o Boże! Ależ ja należę do domu, panie, pozwól mi wejść na chwilę.

— Czy pani tu mieszka?

— Nie chcę kłamać, jedna z moich przyjaciółek mieszka w tym domu, przychodzę złożyć jej wizytę. Odźwierna zna mnie bardzo dobrze, nazywam się Helena Surmain.

— Może pani wejść — odezwał się żandarm, usuwając się na bok.

Weszła. W stróżówce, której drzwi były zamknięte, nie spostrzegła nikogo. Przebiegłszy szybko schody, ujrzała przed sobą drzwi, prowadzące do mieszkania Emeliny. Jej serce ścisnęło się, coś jakby skurcz chwycił ją za gardło, a dreszcze wstrząsnęły całym ciałem.

W domu popełniono morderstwo. Czy to Emelina padła jego ofiarą?

Pomimo tego, nie słysząc żadnego hałasu w głębi mieszkania, próbowała się uspokoić. Wszystkie drzwi były otwarte. Przeszedłszy przez przedpokój i salę jadalną, znalazła się w salonie. Natychmiast spostrzegła mnóstwo osób w pokoju Emeliny. Nie mogła dłużej wątpić o strasznej rzeczywistości. Mgła zasłoniła jej oczy i nerwowe drżenie przebiegło po ciele.

Posunęła się machinalnie, bez oddechu, słysząc szum w uszach. Czuła, że ją coś ciągnie naprzód i popycha.

Odźwierna spostrzegła ją i poznała natychmiast.

— Ach, pani — zawołała — okropność! Chodź pani, chodź! Nowo przybyłej zrobiono miejsce.

— Patrz pani, patrz — ciągnęła dalej stróżka — czy widziano w życiu coś podobnego?

Oczy pani Surmain padły na oba trupy, kąpiące się we krwi.

Przy Emelinie poznała Fryderyka Boissier, człowieka którego niegdyś tak kochała, którego jeszcze kochała i którego ścigała bez przerwy swą zemstą.

Chwilę stała nieruchomo, z rozszerzonymi źrenicami i pałającym wzrokiem.

Nagle łkanie wydobyło się z jej gardła, rysy ściągnęły się nie do poznania, oczy zdawały się wychodzić z oprawy, twarz z bladej stała się zielona. Zachwiała się, zakręciła w miejscu, chwyciła się za piersi, jak gdyby dla zaczerpnięcia powietrza, wydała jeden tylko przerażający okrzyk i runęła bezwładnie na ziemię.

Podniesiono ją szybko i przeniesiono do salonu, gdzie położono ją na kanapie.

Odźwierna i dwie inne kobiety zaczęły ją cucić z omdlenia.

— To nic groźnego — mówiono — tylko omdlenie.

W chwilę potem przybył komisarz policji w towarzystwie lekarza, swego sekretarza i kilku agentów. Na jego rozkaz wszyscy wyszli z pokoju, po czym agenci opróżnili całe mieszkanie z ciekawych, pozostawiając tylko

pokojówkę, odźwierną i dwie inne kobiety, zajęte trzeźwieniem pani Surmain.

Lekarz stwierdził niebawem, że tak mężczyzna jak i kobieta nie żyli; pierwszy trzymał jeszcze w zaciśniętej dłoni pistolet i łatwe było do odgadnięcia, że zabił najpierw kobietę, a potem sam pozbawił się życia. Chodziło tylko o odkrycie przyczyny zabójstwa i samobójstwa.

Komisarz policji przeszedł do salonu, ażeby wy badać odźwierną i pokojówkę.

Tymczasem lekarz przypatrywał się ranom trupów i przekonał się, nie bez zdziwienia, czym była broń nabita.

Odźwierną opowiedziała komisarzowi, jak muzykant uliczny zjawił się u niej, oświadczając, że ma zlecenie do pani de Narme.

— Ach! Gdybym domyślała się czegoś — dodała przy końcu opowiadania — nie pozwoliłabym mu wchodzić na górę.

Początkowo pokojówka wahała się z odpowiedzią, nie chcąc przyznać się urzędnikowi, że ciekawość popchnęła ją do odegrania roli szpiega. Lecz przyciśnięta do muru, zmuszona do wytłumaczenia milczenia, które zachowywała podczas sceny poprzedzającej zabójstwo, opowiedziała komisarzowi policji dosyć wiernie i dosyć szczegółowo, wszystko, co przed godziną słyszała przez drzwi.

Od tej chwili dramat nie zawierał w sobie nic tajemniczego.

Żona opuściła swego męża i było widoczne, że zazdrość czy wściekłość doprowadziły go do zbrodni.

Lecz jakie było nazwisko tego człowieka i prawdziwe nazwisko jego żony? Tego ani odźwierną, ani pokojówkę nie mogły powiedzieć.

Urzędnik dowiedział się od nich, że pani Surmain była przyjaciółką pani de Narme. Obie kobiety dodały, że można było przypuszczać, iż znały się od wielu lat, prawdopodobnie nawet od dzieciństwa.

Podczas gdy komisarz zasięgał wiadomości co do zbrodni, lekarz wyszedł z pokoju. Obecnie czynił wszelkie usiłowania, aby pani Surmain przywrócić przytomność.

Komisarz policji czekał w nadziei, że pani Surmain dostarczy mu nowych cennych informacji.

Upłynęło jeszcze dziesięć długich minut. Wreszcie lekarz zwrócił się do komisarza, mówiąc:

— Oddech powraca, za chwilę odzyska przytomność.

W istocie, prawie natychmiast pani Surmain zadrżała, podniosła ramiona i otworzyła oczy.

Posadzono ją na kanapie, opierając na poduszce. Nagle stanęła na równe nogi, patrząc na otaczających ją błędnym wzrokiem. Komisarz policji zbliżył się do niej.

— Pani — odezwał się uprzejmie — jak się pani czuje? Czy mogłabyś już odpowiedzieć mi na kilka pytań, które pragnąłbym ci zadać?

Spojrzała na niego i zaczęła się śmiać.

— Och! — zawołał lekarz.

Pani Surmain posunęła się kilka kroków naprzód, przybliżając obie ręce do czoła. Następnie, przyłożywszy palec do ust, wyciągnęła szyję i nadstawiła ucha, jak osoba, która czegoś uważnie słucha.

— Pst! — szepnęła — czy słyszycie? Prawda, że gra cudownie na skrzypcach? Ach! To wielki artysta! Słuchajcie, słuchajcie! To on, to Fryderyk Boissier, tylko on potrafi tak grać na skrzypcach. To ustęp z jego kompozycji. Jakie to piękne, jakie to piękne!

— Fryderyk Boissier — szepnął urzędnik.

Pani Surmain ciągnęła dalej, śpiewnym tonem, kołysząc głową.

— Niewdzięcznik, kochałam go, a on poślubił Emelinę. Ach! Nie mówcie mu, że go kochałam, że kocham go na zawsze i że jestem zazdrosna. Nie bójcie się, będzie za to ukarany, będzie. Tym gorzej dla niego. Wiecie, co zrobiła Emelina? Opuściła Fryderyka. Karol Dumey jest jej kochankiem. A! Jestem pomszczona! Cóż on powie na to, on, Fryderyk Boissier? Nie wiem. Przez niego ja płakałam, przez Emelinę on będzie płakać. Tym gorzej dla niego. Jestem pomszczona! — Chwilę milczała. Następnie, kłaniając się na prawo i na lewo, jak gdyby wchodziła do salonu: — Panowie i panie — przemówiła — już dawno nie widzieliśmy się, bardzo mi przyjemnie was powitać. — Cofała się powoli, oddając ukłon. Nagle wyprostowała się gwałtownie i popatrzyła błędnym wzrokiem na osoby, znajdujące się w salonie. — Jacy jesteście śmieszni! — zawołała. I wybuchnęła głośnym śmiechem.

Osoby otaczające ją, przypatrywały się jej z litością.

— Nieszczęśliwa — rzekł smutnie lekarz — zwariowała.

* * *

Pod tytułem: Dramat przy ulicy de la Ferme-des-Mathurins, jeden z dzienników wieczornych zamieścił, co następuje:

Dziś rano, między dziesiątą a jedenastą, straszliwy dramat miał miejsce w mieszkaniu na pierwszym piętrze domu przy ulicy de la Ferme-des-Mathurins. Jakiś uliczny muzykant wszedł do mieszkania pani de Narme, oświadczywszy odźwiernej, że ma ważne polecenie do jej lokatorki. Stróżka puściła go na schody bez jakiegokolwiek podejrzenia. Niebawem, tak w domu, jak w większej części dzielnicy usłyszano dwa wystrzały. Podczas gdy kilkanaście osób rzuciło się na schody, przechodnie zgromadzili się przed domem, na ulicy. Kiedy chciano wejść do mieszkania, zastano drzwi zamknięte i klucz zniknął. Ten klucz znaleziono później w kieszeni muzykanta. Wkrótce sprowadzono ślusarza; równocześnie doniesiono o tym, co zaszło, komisarzowi policji. Wreszcie drzwi stanęły otworem. W głębi mieszkania, w jednym pokoju, znaleziono dwa trupy okropnie oszpecone, nurzające się we krwi. Zabiwszy panią de Narme strzałem z pistoletu, muzykant odebrał sam sobie życie. Według informacji, które na razie otrzymaliśmy, muzykant nazywa się Fryderyk Boissier, a pani de Narme, która nie była niczym innym, jak kobietą z półświatka, jest jego żoną. Jeżeli szczegóły, które umieściliśmy na łamach naszego dziennika są prawdziwe, w takim razie tajemnica znika i przyczyna dramatu jest zupełnie wyjaśniona. Mąż zabił żonę, ażeby pomścić swój znieważony honor, następnie zaś popełnił samobójstwo. Jakaś młoda dama, bardzo przystojna, przyjaciółka pani de Narme, czy Boissier, doznała tak gwałtownego wzruszenia na widok trupów, że skutkiem tego straciła zmysły. Jutro doniesiemy więcej szczegółów.

* * *

Przenosimy się do zamku de Roure w Nièvre, nazajutrz po wypadkach, które wyżej opisaliśmy.

Wiejski listonosz przybył przed chwilą i służący przyniósł dzienniki panu de Mesie.

Pan de Mesie prenumerował trzy dzienniki paryskie. Pierwszym, który wziął do ręki, był ten, który zamieścił sprawozdanie o śmierci Fryderyka Boissier i jego żony.

Pan de Mesie przebiegł szybko oczami pierwszą stronicę, następnie drugą i trzecią.

Siedząc przy oknie, o kilka kroków od męża, pani de Mesie była zajęta haftowaniem serwety na stolik.

Nagle jednym ruchem pan de Mesie stanął na równe nogi.

— Och! To okropne! — szepnął.

Pani de Mesie odwróciła się szybko. Zauważyła bladość na twarzy męża.

— Co się stało, przyjacielu? — zapytała z niepokojem — co nazywasz okropnością?

Pan de Mesie zbliżył się do żony.

— Czytaj — rzekł, kładąc jej dziennik na kolanach. — Tam, dramat na ulicy de la Ferme-des-Mathurins — dodał, wskazując palcem na sprawozdanie.

Pani de Mesie pożerała artykuł oczami. Przeczytawszy go, zwróciła się do męża ze łzami w oczach.

— Och! Tak — rzekła — to przerażające!

— Teraz pojmuję znaczenie pewnych słów mamki małej Żanetki — odparł pan de Mesie.

— O! Biedne maleństwo, biedne maleństwo! — powtarzała młoda kobieta, ukrywając twarz w dłoniach.

— Rzeczywiście, jest ona godna litości — rzekł pan de Mesie — biedna sierota.

Nastało obopólne milczenie, podczas którego młoda kobieta złożyła dziennik i rzuciła serwetkę na stolik. Po czym podniosła się, wzięła rękę męża i przemówiła:

— Wiesz, że kocham bardzo małą Żanetkę?

— Kochasz ją tak, że jestem czasami zazdrosny — odparł.

— Byłbyś rzeczywiście zazdrosny o moje przywiązanie do tego dziecka?

— Żartuję — odpowiedział z uśmiechem.

— Widzisz przyjacielu, przywiązanie, które można żywić dla dziecka, nie jest podobne do miłości dla męża.

— Wierzę.

— Ale ty sam, przyjacielu, czy nie kochasz także małej Żanetki?

— Kocham wszystko, co ty kochasz. Zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała gorąco.

— Teraz, kiedy ojciec i matka zginęli tak tragicznie, cóż mamy robić?
— zapytał pan de Mesie.

— Po pierwsze, musisz kazać zaprzęgać konie.

— A potem?

— Pojedziemy do Bouchot.

— Zgoda, jedźmy do Bouchot.

W godzinę później państwo de Mesie wysiadali z powozu przed domem mamki w Bouchot. Mąż i żona wyszli razem na ich spotkanie.

— Mój mąż wybierał się właśnie do zamku de Roure — rzekła kobieta szczególnym głosem, wskazując na swego męża.

— Dlaczego? — zapytał pan de Mesie.

— Aby państwu zanieść list od ojca małej Żanetki, który otrzymaliśmy z poczty przed chwilą. Ten list jest zaadresowany do pani de Mesie.

— Do mnie? — zawołała młoda kobieta ze zdziwieniem.

— Tak, pani. W tej samej kopercie znajdował się drugi list dla nas, list który nas bardzo zaniepokoił, gdyż pan Boissier donosi w nim, że zamierza położyć kres swemu życiu, to okropne.

Państwo de Mesie zamienili między sobą szybkie spojrzenie. Weszli do domu.

Mała Żanetka bawiąca się lalką, wydała cichy okrzyk radości na widok nowo przybyłych. Rzuciwszy lalkę na ziemię, przybiegła do pani de Mesie z otwartymi rączkami.

Młoda kobieta posadziła ją na kolanach, ucałowawszy w oba policzki i szepnęła ze współczuciem i tkliwością:

— Szczęśliwy wieku, szczęśliwa niewinności, szczęśliwa nieświadomości!

— Tak — dodał pan de Mesie — nieszczęście uderza wokół niej najstraszliwymi ciosami, nie mącąc w; niczym jej dziecinnych uczuć i radości.

— Kochana maleńka — odparła ze wzruszeniem — oby mogła o nich nigdy nie wiedzieć.

— Teraz — rzekł pan de Mesie — przeczytamy list pana Boissier. Wieśniak wyjął list z kieszeni i trzymał go w ręku. Wręczył go pani de Mesie.

— Nim przeczytacie państwo ten list, może zechcecie dowiedzieć się o tym, co pan Boissier nam napisał? — zapytała wieśniaczka.

— Ma się rozumieć — odparł pan de Mesie.

Pani Drillot wzięła list, leżący na półce i oddała go panu de Mesie.

Ten przeczytał go głośno. Kiedy skończył, Drillot zapytał:

— Czy sądzi pan, panie de Mesie, że pan Boissier spełnił swoje zamierzenia?

— Niestety! — odpowiedziała pani de Mesie boleśnie — nie cofnął się. Pisze w liście, że życie było dla niego za wielkim ciężarem. Nieszczęśliwy zastrzelił się wczoraj, zamordowawszy wprzód swoją żonę.

Oboje Drillot wydali okrzyk przerażenia. Byli w rozpacz.

— A więc — odezwał się wieśniak — wiedzieliście już państwo?

— Jeden z dzienników paryskich, który otrzymaliśmy dzisiaj rano, doniósł nam o tym tragicznym wypadku — odparł pan de Mesie.

— I natychmiast po odczytaniu tego artykułu wyjechaliśmy, aby was odwiedzić — dodała pani de Mesie.

— Straszliwy dramat się spełnił — rzekł pan de Mesie — my możemy tylko żałować i litować się nad tą biedną małą sierotą. A teraz — ciągnął dalej, zwracając się do żony — możesz odczytać list od nieszczęśliwego Boissier.

— Boję się go odpieczętować — powiedziała ze smutkiem pani de Mesie — ostatnie pismo przed zgonem.

Pomimo tego po chwili wahania, rozdarła kopertę drżącą ręką. Zaczęła czytać.

Przy pierwszych słowach jej oczy zwilżyły się łzami. Otarła je i czytała dalej. Lecz wkrótce wybuchnęła głośnym płaczem.

— Nie mogę, nie mogę! — rzekła stłumionym głosem. I podając list mężowi: — Bierz przyjacielu — ciągnęła dalej — czytaj, czytaj. Ach! To smutne, bardzo smutne.

— Mam czytać głośno? — rzekł pan de Mesie.

— Tak przyjacielu, czytaj głośno, nic nie potrzebujemy ukrywać przed państwem Drillot, zresztą oni powinni wiedzieć, co pan Boissier mi pisze.

Wśród głębokiego milczenia pan de Mesie czytał list. Na wszystkich twarzach malowała się boleść i współczucie. Pan de Mesie nie mógł opanować wzruszenia. Ostatnie wyrazy wymawiał słabym i drżącym głosem, ledwie dosłyszalnym.

Drillot był błydy jak trup. Obie kobiety zalewały się łzami.

— Nieszczęśliwy! — odezwała się pani de Mesie. — Ten list jest jego testamentem.

— Pisał go z pewnością ze straszliwym bólem w sercu — dodał pan de Mesie.

— Do mnie zwrócił się z ostatnią prośbą — rzekła młoda kobieta — liczył na mnie, właściwie na nas oboje, poleca mi swą ukochaną córeczkę, oddaje mi ją z pełnym zaufaniem.

— Ach! Teraz, kiedy nie ma ani ojca ani matki, to należy ona bezwarunkowo do pani — powiedziała mamka, ocierając oczy zaszłe łzami.

— Nie będzie opuszczona — mruknął wieśniak, zły sam na siebie z powodu wzruszenia, które go nagle opanowało na myśl, że przyjdzie mu się rozłączyć z tym drogim maleństwem.

Pani de Mesie zwróciła się do męża.

— A więc, przyjacielu? — spytała.

— Moja droga — odparł — ty powinnaś pierwsza objawić swoją wolę.

— Pragnęłabym spełnić prośbę i nie zawieść zaufania nieszczęśliwego ojca.

— Pochwalam twój zamiar.

— A więc chcesz?

— Chcę tego, czego ty chcesz.

— Ach! Jakiś ty dobry!

— Kocham cię!

— Zatem to ustalone; podejmujemy się wychowania i wykształcenia sieroty, będziemy czuwali nad nią i przygotowujemy jej przyszłość.

— Tak. Lecz czy to wszystko, czego pragniesz?

Pani de Mesie popatrzyła kolejno na męża i dziecko oczami pełnymi czułości.

— Trochę później, przyjacielu — odparła — poproszę cię pewnie jeszcze...

— Myślisz o adoptowaniu?

— Tak.

— A więc sierota będzie naszą córką.

— Ach! Dobrze mówił jej nieszczęśliwy ojciec, że jestem już jej matką.

— Otoczysz ją przywiązaniem, którego nie dała jej rodzona matka, a ja będę się starał zastąpić jej ojca.

Pani de Mesie przywołała dziecko i uściskawszy je, posadziła na kolanach męża, który je ucałował z wielką serdecznością.

— Biedne dziecko — odezwała się młoda kobieta, bardzo wzruszona — dawno już adoptowałam cię w mym sercu; tak jest, będziesz naszą córką, naszym dzieckiem. Nie będziesz niczego żałowała, potrafisz nas pokochać, będziemy zważali na twoją młodość, jak żąda twój ojciec, otworzymy ci w życiu łatwą drogę, z której usuniemy ciernie, wyboje, łzy i rozczarowania.

— Pani — rzekła wtedy mamka — to bardzo piękne, co pani robi. Ja i mój mąż musimy szanować wolę pana Boissier, my także kochamy maleńką, ona pocieszyła nas po stracie naszego dziecka. Dawniej miała tylko jedną z moich piersi, potem oddałam jej obie i otworzyłam jej moje serce, Drillot powie, jak ja kocham to dziecko; tak samo, a może nawet więcej od rodzonej córki.

— Prawda — potwierdził wieśniak.

— Proszę pani — ciągnęła dalej wieśniaczka — nie odbieraj mi jej natychmiast. Widzi pani, sprawiłoby nam to za wiele smutku, nie moglibyśmy się pocieszyć. Powoli przyzwyczaimy się do tej myśli, że maleńka od nas odejdzie. Pozostaw ją pani u nas jeszcze przez trzy lub cztery miesiące.

— Dobra pani Drillot — odparła pani de Mesie — wiem, że kochacie bardzo małą Żanetkę. Lepiej niż pani się o nią troszczy, nie potrafiłaby najtkliwsza matka. Pozwolę, aby została u was jeszcze jeden rok.

— O! Dziękuję pani z całego serca — zawołała kobieta. Radość błyszczała w jej oczach.

— Za rok weźmiemy dziecko — odezwała się pani de Mesie — przyjmujemy do niej nauczycielkę i będzie się wychowywała w zamku.

— Pozwoli pani odwiedzać ją czasami?

— Ma się rozumieć, panu Drillot również. Będziecie przychodzili do zamku, kiedy tylko zechcecie.

— Pani de Mesie — rzekł wieśniak swym nieco szorstkim głosem — jest pani dobrą kobietą.

— O! Tak, bardzo dobrą — powtórzyła wieśniaczka.

— Zresztą — zaczęła pani de Mesie — mała Żanetka nigdy nie zapomni o swej drogiej mamce, dzielnej i poczciwej kobiecie, do której zwracała się z pierwszymi uśmiechami, która pomagała jej wymawiać pierwsze wyrazy, która podtrzymywała jej pierwsze kroki. Będzie was odwiedzała.

Następnie rozmawiano o ostatnich odwiedzinach Fryderyka Boissiera w Bouchot.

Drillot zapytał panią de Mesie, jaki użytek ma zrobić z sześciuset franków, które miał u siebie.

— Musicie się zastosować do poleceń pana Boissiera — odparła pani de Mesie — ta suma należy do was. Za te pieniądze, panie Drillot, kupisz kawałek pola lub winnicę. Powiększy to trochę mały majątek twoich dzieci.

— Więc pani sądzi, że mam prawo rozporządzać tymi pieniędzmi?

— Tak, panie Drillot. Wieśniak podrapał się w ucho.

— Ano — rzekł po chwili milczenia — kupię winnicę ojca Lar-gon, którą wystawiono na sprzedaż.

Dramat na ulicy de la Ferme-des-Mathurins miał w Paryżu wielki rozgłos i zrobił głębokie wrażenie w świecie artystów i w półświatku, szczególnie między kobietami, które obrzucały różnego rodzaju obelgami samobójcę, rozczulając się nad śmiercią jego ofiary.

Lecz ludzie uczciwi mówili:

„Dobrze zrobił. Ten Fryderyk Boissier, który miał, jak się zdaje, wielki talent jako kompozytor i skrzypek, i mógł zostać sławnym człowiekiem, miał prawo do wymierzenia kary niewiernej żonie.”

Rozprawiano także o roli, jaką pan Karol Dumey, człowiek bardzo znany w wysokich kołach finansowych, odegrał w tym dramacie małżeńskim.

Kobiety, mamy naturalnie na myśli uczciwe kobiety, potępiały go stanowczo, nazywając wstrętnym uwodzicielem.

Pan Karol Dumey spostrzegł wkrótce, że jest przedmiotem ogólnej niechęci. Wielu dawnych przyjaciół unikało z nim spotkania. Nie podawano mu ręki. Nie rozmawiano z nim. Jeżeli się kłaniał, oddawano mu ukłon z zakłopotaniem. W spojrzeniach widział chłód i pogardę. Zresztą wiele osób z tych, które znał najlepiej, nie bało się wyjawić mu otwarcie swego oburzenia. Jego obecność w Paryżu stała się niemożliwa. Zrozumiał, że należy zniknąć na pewien czas. Jednego poranku pojechał pospieszonym

pociągiem do Lionu. Przez trzy lata podróżował po Europie, ścigany wszędzie przez obraz

Emeliny, kąpiącej się we krwi w mieszkaniu, które jej tak wspaniale umeblował.

Powrócił do Paryża w początkach tego roku sądząc, że o tragicznym wypadku, w który był zamieszany, zupełnie zapomniano. Lecz zauważył, że dawni znajomi udają, iż go nie poznają.

Wuj z Tuluzy umarł, zapisując mu cały majątek. Pan Karol Dumey posiada obecnie blisko trzy miliony. Lecz bogactwo nie daje szczęścia. Jest on tego najlepszym dowodem.

Chce się żenić. Szuka żony. Już oświadczał się cztery razy, za każdym razem odmówiono mu. Nigdzie go nie chcą.

Czy ożeni się wreszcie? Nie możemy nic pewnego powiedzieć, lecz nie jest to niemożliwe. Nie wszystkie młode osoby mają tę samą delikatność uczucia, te same przesady, uprzedzenia. A poza tym, tyle się wybacza dla majątku! Zawsze znajdą się czciciele złotego cielca.

Pani Helena Surmain jest w Auteuil, w szpitalu. Najślawniejsi lekarze stracili nadzieję przywrócenia jej zdrowia. Ciągłe mówi o Fryderyku Boissier, którego nazywa największym kompozytorem światowym. Najpiękniejsze opery francuskie, Meyerbeera, Rossiniego, Auber, Halewego, Herolda i Adama są według niej dziełami Fryderyka Boissier. Ci, którzy dawniej znali piękną i uroczą Helenę Surmain, współczują biednej wariatce. Nikt nie wie, że uderzyła ją ręka Boga.

W zamku Roure rośnie mała Żanetka i pięknieje z każdym dniem. Ma wielkie, czarne oczy, słodkie i pełne wyrazu, piękne, czarne włosy spadają w jedwabistych splotach na jej szyję. Z usteczkami wiecznie uśmiechniętymi, wesołym spojrzeniem i pełnymi policzkami, czerwonymi jak dojrzałe wiśnie, wygląda na cherubinka, którego za karę zesłano z raju na ziemię.

Zaczyna już paplać po dziecinnemu i w takich razach pani de Mesie gotowa jest udusić ją pocałunkami.

Zresztą, trudno by znaleźć coś bardziej uroczonego, bardziej zachwycającego, od tej małej osóбки.

Państwo de Mesie adoptowali ją, wkrótce ma się odbyć akt adopcji, lecz już dziś Żanetka jest ich córką. Wszyscy ją nazywają panną Żanetą de Mesie.

Dzielny Drillot i jego żona przychodzą często do zamku Roure, prawie zawsze w niedzielę, ażeby móc dłużej zostać przy małej Żanetce. Państwo de Mesie przyjmują ich uprzejmie, jak na to zasługują. Mamka nazywa Żanetkę swoim maleństwem. A kiedy ją weźmie na ręce, jak ją całuje! Drillot i jego żona nie wracają nigdy do Bouchot bez jakiegoś podarku z zamku, który muszą zawsze przyjąć.

O państwu de Revilly, ojcu i matce Emeliny, nigdy nic nie słyszano.

KONIEC

RS